

POMIERANIA



3

MARZEC
1979

- SUITA KASZUBSKA
- INTERLUDIUM
- PIESKI ŚWIAT
- JÓZEF DAMBEK
- OPOWIEŚĆ RYBAKA
- PRAWO LUDOWE W SŁOWNIKU
- WSPOMNIENIA ANNY ŁAJMING
- WIERSZE, OPOWIADANIA



POMIERANIA

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

Rok XVI

1979

Nr 3 (86)

W numerze:

- 1 RYSZARD CIEMIŃSKI – Suita kaszubska
- 6 LECH BĄDKOWSKI – Z arcydziełem do młodzieży
- 7 JAN TREPCZYK – Kaszëbskô w poezji
- 11 RYSZARD CIEMIŃSKI – Pokraśniało kwieciami rozmaitym
- 12 JAN WALKUSZ – ...; Bolesni rachunk
- 13 KONRAD CIECHANOWSKI – Józef Dambek syn Józefa
- 15 JERZY TREDER – Ze Słownika Sychty. Prawo ludowe i etyka ludowa
- 18 URSZULA OLSZEWSKA – Pamiętnik (15)
- 19 (L.B.) – Wokół autorki pamiętnika
- 20 ANNA ŁAJMING – Wspomnienia z młodości (9)
- 23 ANNA ŁAJMING – Nad jeziorem (5)
- 26 CZESŁAW KURIATA – Bogusław Dziesiąty (fragmenty poematu)
- 27 STANISŁAW JANKE – Wick na weselësku
- 29 JAN POWIERSKI – Interludium
- 32 Opowieść rybacka ANTONIEGO KORCZYŃSKIEGO
- 34 JERZY SAMP → Pieski świat i dziecięcy optymizm
- 35 Z życia Zrzeszenia
- 37 Kleka

REDAGUJE KOLEGIUM:

Konrad Ciechanowski
Jerzy Kiedrowski
Wojciech Kiedrowski
(redaktor naczelny)
Stanisław Pestka
Edmund Puzdrowski
Krzysztof Puzdrowski
(sekretarz redakcji)
Jerzy Samp

STAŁE WSPÓŁPRACUJĄ:

Lech Bądkowski
Tadeusz Bolduan
Józef Borzyszkowski
Edward Breza
Zygmunt Brocki
Ryszard Ciemiński
Ryszard Karwacki
Aleksander Labuda
Anna Łajming
Kazimierz Ostrowski
Jerzy Tredor
Izabella Trojanowska

ADRES REDAKCJI:

Długi Targ 8/10
80-823 Gdańsk
tel. 31-36-56
Konto PKO:
Gdańsk 19510-5890-132

WYDAWCA:

ZARZĄD GŁÓWNY
ZRZESZENIA
KASZUBSKO-
POMORSKIEGO

Cena 1 egz. 13 zł
Prenumerata roczna 150 zł
Nakład 2000 egz.
Druk. Gd. Wyd. Pras. Nr 236
U-7

Suita kaszubska

Ryszard Ciemiński

I wtedy Wanda, pełna temperamentu jak zawsze, pośród ożywionych niedzielnie głosów, teraz jakby tylko na krótką chwilę wyciszonych, wniosła sporych rozmiarów, obficie parujący od gorąca półmisek, ustawiła go pośrodku pokrytego bielutkim obrusem okrągłego stołu, przystanęła na moment, czy to wpatrując się weń, czy może reakcją gości sprawdzając, na koniec coś rzekła w stronę siedzących po przeciwległej stronie stołu szwagra swego i szwagierki.

— Z własnej hodowli te dróbka, dobrze jeść gdy jeszcze gorące...

Zerknęła przy tym na swego, Mariana znaczy, który, wielki, zwalisty, jak na murarza przystało, siedział w garnitur wpięty, godny taki na sofce wraz z bratem swoim, traktorzystą starzyńskiego SKR-u. Obaj zaś co i raz na trzeciego z braci, Romka, popatrywali z zaciekawieniem, bo miastowy on przecież, z Gdyni tu do nich przyjechał w niedzielne odwiedziny, pan inżynier z niego, nie było w rodzinie żadną tajemnicą, w tej wielkiej stoczni pracujący.

Irena zaś tą porą, ta Wandy siostra rodzona a Kazikowa białczyna, cichsza zdaje się być od siostry swojej. Już tak jest w kłanińskiej familli Klebbów, że żywsza z sióstr kresowianek we Wrocławskim po wojnie osiadłych, skąd też bracia obaj na Kaszuby je przełancowali, za bardziej flegmatycznego się wydała, znów ta bardziej spokojna za Kazka, przez naturę obdarzonego sporą ruchliwością. Irena zatem gromadką rozbrykanych dzieci zajęła się tymczasem — Beatką i Markiem, jej i Kazika rodzonymi, a i ponadto Andrzejem, Elką i Januszem, dziećmi Mariana i Wandy. Towarzyszyły jej w kuchni wszczynając ruch i zamęt niemożliwy.

— Już tak tu u was będzie zawsze — zauważy Roman — że w jednej kuchni dla dwóch rodzin szykować się będzie posiłki, gdy druga kuchnia, ta na piętrze, całkiem jest nie wykorzystana. Czemu to w jednej siedzicie, węgla wam na drugą szkoda, co? Na jednym korycie wolicie?

— To się dzisiaj mało zdarza — wtrąci Kazi, gdy go dojdą słowa brata.

— Dlatego im się podwójnie dobrze dzieje — dorzuci żona Romana.

— „Wy macie dobrych chłopów” — powiadają sąsiedzi we wsi — „ale bialci są jeszcze lepsze” — zauważy smolistej urody Wanda w sposób dla siebie zwyczajny, z błyskiem oka, dowcipnie.

Zabeloczy przy tym, zdradzając niejaki z miejscowym sposobem mówienia obeznanie. I doda z mieszcą...

— Mój Andrzej 16 lat ma a po kaszubsku jak stary Kaszuba wali. My tu wiedno belaczemy.

Przy czym to ostatnie słowo wypowie z wyraźną emfazą w głosie, jakby chciała nadać mu szczególne brzmienie.

— Ty Romek, pamiętasz — owzie się ze swojego miejsca Maryś — jak to gdy knopami jeszcze byliśmy, samoloty żeś nam różne szykował, rozmaite modele latające. Na stodołę żeś się potem wdrapywał, tę naszą starą jeszcze, bo potem całkiem inną się wystawiło, wlażyłeś aż na sam wierzch i ze zwieńczenia dachu samoloty te spuszczałeś w dół, w naszą stronę, a my z Kazim gapiliśmy się na to z rozdziawionymi gębami, bo jeszcze czegoś takiego tośmy nie widzieli.

— A ten wiatrak z prądnicą w środku — zawtórował bratu Kazek. — Prąd robił, gdy tylko wiatr lekki się zerwał, światła od tego zawsze trochę było,

zarówka tak sobie migała, jaka to zawsze z tego uciecha była.

— Z Jasiem od Pipków, naszych sąsiadów z drugiej strony drogi, z bratem jego Staszkiem, tośmy krowy razem pasali — zapali się Maryś we wspominkach. — Na te same łąki się je wyganiało. Pośpiewać sobie okazja była. Jaśkowych opowieści posłuchać, jego gódek uciechnych.

— Lubiany to Jasio przez nas był — przyzna Roman rzeczowo. — Przez wszystkie dzieciaki w okolicy. Bo zawsze coś wymyślił, a nasza siostra, Marta, to nawet wiersze recytowała, jak się tylko jakaś okazja trafiła.

Na te słowa brata Maryś wyciągnie z kąta zapomnianą zda się harmoszkę—guzikówkę i grać na niej pocznie.

„Gula, gula, gdes te przeszła
gula, gula od starszci”

— Jasio te słowa później przeinaczył, stary zaś Pipka na listku grał. „U nas na listku Pipka rżnie”, śpiewało się wtedy zawsze z przytupem, że aż huczało po okolicy. Janka ojciec taki sam jak i on był pocieszny. A Jasio to już wiersze mówił wtedy, bo inny on był jakiś...

— Jasio i Frync, brat jego starszy, do Zespołu Pieśni i Tańca w Starzynie należeli, cała właściwie familia. Ojciec Bazyli, brat Robert i Franciszek. Matka ich, Grudka, akuszerką była. Wszystkich co do jednego z porodu nas odbierała. — Urwie Maryś na krótką chwilę, w sobie się wypręży. — Ja w zespole na tej harmoszcze stale grałem, raz to nawet w Pucku pierwsze miejsce zajęliśmy. Marta grała na jednej, dziewczyny ze Starzyna też miały swoje i tak się grało.

— A cegielnię to Romek pamiętasz? — niemal w słowo wejdzie bratu Kazi. — Dwie tu zawsze w okolicy były. Prywatna jedna Józefa Muzy i druga tego Grassa, Niemca, co na majątku tu siedział. Zaraz po wojnie to Wojewski Wiktor z Gdyni obie przejął.

— Co nie mam pamiętać, każdy tu przecież w nich swoje przepracował. Cegły, sprasowane dopiero co, te pace, jak je nazywaliśmy, wozilo się lorkami, wózkami znaczy do suszarni, pace układało się na stosie równo, z pieca się je potem wyjmowało starannie jak bułeczki jakie, wagonikami dalej wozilo się je na kłanińską bocznice. A Muza to wpierv u Grassa, potem i Wojewskiego było kierownikiem, ale to wtedy jak już własnej cegielni nie miał. Piecowym się wtedy było, albo ceglarzem, układało się też surową cegłę na sztapel, inni przy zaklejaniu otworów byli przydatni. Przy „schietierce” to już najbliższa była robota, gdy murek z cegieł się stawiało w otworze drzewiowym. Zewsząd dzieciarnia w cegielni u Grassa pracowała. Z Werblini, Z Głuszewa, ze Starzyńskiego Dworu, z Radoszewa, z samego Kłanina to może i najwięcej do cegielni najmowało się. I jeszcze zawsze ludzi do pracy brakowało.

A potem, okazalymi już wagonami, od tej podpućkiej strony, wszystka ta cegła jechała w gdyńskim kierunku. Już tam na nią czekano, już jej wypatrywano, bo potrzebna była by stanąć mogło to miasto, którego, jak Kaszuby Kaszubami jeszcze na tych przymorskich piaskach nie było. Całe z cegły i kamienia stawiane, z cegły po całych Kaszubach wypalanej...

I tylko po tylu latach tę brunatno-czerwoną cegłę podmieni pustak i cement. Maryś Klebba, ten niegdyś gajowy, który później nieco okorowywał dęby i świerki z kaszubskich lasów, jeszcze zaś później browarnikiem był we Władysławowie, od „opy” swego, dziadka znaczy, krótko po ślubie, kielnię i poziomice dostał. To wtedy usłyszał te słowa dziadka: „Ty będziesz mauern”. Już i wyboru nie było żadnego. Odtąd Kaszuby drewniane przemieniać mu przyszło w muryrowane, parterowe — w kilkupiętrowe, leciwe — w nowoczesne. I tak już od dwudziestu lat przeszło zmieniła Maryś Klebba te Kaszuby swoje dawne, chędogie w całkiem inne.

— Żle nie jest za murarza być — stwierdza teraz z przekonaniem w głosie, bo robotę swoją i w budynku co go dla PGR-u stawiał widzi, w domu dla nauczycieli, w internacie przy Technikum Rolniczym w Kłaninie, w sali gimnastycznej, w kotłowni. Nie kryje przy tym dumy z tego powodu jako, że kłanińskie technikum, powiadają ludzie, jednym z najlepszych jest w całym gdańskim województwie.

— Przechowalnie ziemniaków w Parszkowie zbudowałem — rozpoczyna liczenie tego co po sobie kiedyś zostawi. — Szklarnię i cieplarnię w PGR Radoszewo. — Palec wskazujący przy tym odegnie. — Stację Hodowli Roślin w Krokowej stawiałem — za serdeczny palec ulapi. — w Karwińskich Błotach SKR-owską chlewnię na 1300 jałówek i do tego dwa bloki każdy na 18 rodzin. A i w samym Kłaninie — dorzuci prędko — dwa bloki na 12 rodzin się zbudowało i jeden na 8 rodzin. W Żarnowcu dom jeden 18-rodzinny. Zebrało się tego niemało — uzna na swój temat. — Jutro z samego rana w Instytucie Warzywnictwa w Rekowie mam robotę.

Co się za siebie obejrze — moje dziś stoi... — powie z przekonaniem w głosie.

„Jo brekuja i nie brekuja” — rzec raz miała Steincyna, sąsiadka rodziny Klebbów w Kłaninie, gdy przyszła dwieście złotych pożyczyć. Duma nie pozwalała przyznać się do odczuwanej potrzeby. „Wanda, ty pożycz mi dwieście złotych, jo brekuje i nie brekuja”. Zabudowania Klebbów po sąsiedztwie są we wsi położone z gospodarkami Lisów i Steinków. Znowu ogród oddziela ich tylko od ziemi do Starzyna przynależnej. Steinkowie zawsze ciut od Lisów i Klebbów ubożsi byli...

„My kupim so lepsi” zwykła Steincyna reagować na nowy zakup przez kogoś z dwójki sąsiadów uczyniony. „Me nic nie brekujemy, my kupim so nawicij tubów”.

Z nieskrywaną lubością w głosie snuje Wanda te sąsiedzkie opowieści. Z jednej z nich wyniknie nawet ten wiersz na temat Klebbów przez wieś uskładany...

„Klebba, dzeba, zjód pól grzeba
bel głodni, zjód cali”

— A w Jastrzębiej Górze i w Karwi to bez te lata jeszcze nie byłam — przyzna żona Marysia.

— Chyba byś na samych kamieniach siedziała — z właściwą sobie flegmą niekorzystny sąd o tamtejszej plaży wyda mąż jej.

Wszyscy we wsi wiedzą nadto dobrze, że u „Klebbów z Chojnowej Górki”, skąd do Starzyna przez dziurę w płocie przejść wystarczy, całą okolicę jak na dłoni widać. „Jo ni móg pod Klebbowa Górka podjechać”, te słowa nieraz się słyszy wypowiadane ustami zgniewanych na swoje konie kuczrów. Puszcza Darżlubska pod ich zabudowania prawie podchodzi. A dalej, hen i Rozewie widać, i Karwie, i Jastrzębią.

I bliższą okolicę, a jakże. Radoszewice choćby, gdzie na majątku ojciec Kazka, Maryś i Romana był zarządcą, zaraz jak tylko do Polski ze Szwecji powrócił. Ludziom drzewa owocowe nieznanych tu gatunków ojciec ich aż z Torunia od Elżakowskiego sprowadzał, o rasowe kury dbał, młóckarnie on pierwszy we wsi sprowadził. I Krokową, całą tę wieś niegdyś niemiecką, bo ewangelicką, stąd widać. Wierchucino, też, bywało, niepolskie. Dobry stąd widok na chałupy sąsiedzkie. Na chałupę obywatela Stanisława

Marszałka, dziwaka, jak go wieś sobie nazwała, filozofa, także za sposób w jaki w starzyńskiej karczynie przydrożnej do herbaty zwykły sączyć kroplę żółtkowej wódki, dziś zaś rolnika po prostu, tyle, że po przedwojennych jeszcze studiach w Krakowie. Wiatrak w Łebcu dostrzec stąd można gołym okiem, bliżej zaś „Krimpt” jest w dole, „Branteske Góra”, na której gorzelnia Grassa niegdyś stała, co też jednego razu sprawiło, że Kazik do głębokiego dołu z wywarem ziemniaczanym wpadł i przez pół roku oparzony był potem. Widok stąd rozciąga się na „Pilzową Górę”, na rzeczkę niedużą „Żlub” zwaną. Na „Młodi Las” w stronę Karwaszewa. To tam właśnie, jak zaraza w Starzynie była, tych zarażonych wywozili. I jeszcze drogę na Łebcz, prostą, tę co na Półwysep Helski prowadzi, widać z tego miejsca.

— A gdzie jest Jastrzębia Góra, to już wiesz? — spyta Roman Wandę, szwagierkę swoją. I z miejsca sam odpowie: — U Klebbów za stodołą.

Bo zajazd Bieszka (z szafą grającą!), drugi Konefki i ten trzeci Kaczonki już tylko we wspomnieniach domowników pozostały. I dwie rzeźnie — ta Kunca i druga Labudy, piekarnia Semmerlinga i tego Kanta co przechrzcił się na katolicką wiarę.

I jeszcze mamy ich gra na fortepianie dla gości zgromadzonych w ich domu w przypomnieniu przechowana zostanie.

Czternaście lat było Romanowi, gdy na stałe opuszczał te strony. Drogą przez Sławoszyń, wieś Zdradę, Półcyno do Pucka. I dalej przez Żelistrzewo, Sławutówek, Rekowo, miejską już bardziej Redę i Rumie, skąd już dostrzeże — zrazu niebotyczne zdadzą mu się — białe domy dużego miasta, tego, które niebawem jego już stanie się, wciągnie go w wir swoich spraw, a swój krwiobieg, on zaś zasili je mocą swego talentu i pracowitości.

...

— Sześcioro nas było rodzeństwa — powie inż. Roman Klebba w zaciszu swojego gdyńskiego mieszkania przy Czerwonych Kosynierów w dniu, gdy grypą przyciśnięty, nie przemierzy jak co dzień odległości pomiędzy „Domem Stoczniowa”, gdzie mieszka, a jego stocznia, w której od przeszedł dwudziestu lat niezmiennie pracuje. — Siostra Teresa — wyliczy z dużą starannością — w Leśniewie, rzec można, w Puszczy Darżlubskiej pracuje, Maria w helskiej „Kodze” w dziale socjalnym, siostra zaś Romualda asystentką jest medyczną w puckim szpitalu. Porozrzuciło nas po Kaszubach trochę...

Na te swoje słowa po zdjęciu rodzinne sięgnię, te czasem wyblakłe wyciągnię, ojcowe z początków wieku.

Na jednej z fotografii równe szeregi ćwiczących, powyżej zaś flagi państwowe Anglii, Stanów Zjednoczonych, Belgii, krajów skandynawskich.

— Wtedy ojciec miał 29 lat i na wyspie Bornholm do międzynarodowej szkoły gimnastycznej uczęszczał. Taką światową to była szkoła.

O drodze powrotnej ojca swego opowie. O tym jak w Kilonii przyszłą żonę spotkał. Elisabeth Joehnk była drobną blondynką o dość wysmakowanym usposobieniu. Gdy więc oboje na Kaszuby powrócili, dopiero co wbrew woli rodziców dziewczyny ślub się odbył, do Pelplina żonę swą posłał do sióstr zakonnych, by poza innymi przedmiotami, historii Polski uczyła się.

Był Antoni Klebba kapitanem ułanów u gen. Kleeberga. Krótka, kozia bródka przydawała mu swoistej urody. To on, dziadek Romana, słabość swą do koni w ten sposób objawiał, że z rodzinnych Mostów na Kępie Oksywskiej do Kłanina podróżował oklep na koniu.

Bowiem dziadek Joehnk, już w wiele lat po wojnie, zapragnie być blisko swej córki. Czy, że samotny poczuł się w swej „Bierstubie”? Wiele razy odwiedził w Kłaninie dom córki i zięcia swego. Na cmentarzu w Starzynie nakaże rodzinie by go pochowała. W kilka lat później grób jego sąsiadować będzie z grobem córki...

W Kłaninie byli prędko.

Wysiedlano kolejno. Dom po domu. Rodzinę po rodzinie. W marcu czterdziestego drugiego z czterestu kłanińskich gospodarzy, nie było już we wsi ani jednego. Jednych czekał Stutthof, innych Piaśnica. Za Związek Zachodni i za pomorskość swą. Za to jeszcze, że się tej ziemi strzegło jak oka w głowie. Bywało, że porachunki z niemieckim sąsiadem. Klebbę, ojca szóstki niesporych dzieci, czeka „Konzentrationslager Stutthof”. Wieś cała odpokutuje za nie podpisanie volklisty. Tacy jak Lis, Miotk, Labuda, Kos, Marszałek, Skrzypkowski, Steinke. I jak Klebbowie także.

Z dziadkowej Dominików rodziny, tej z Mostów, wymordują piątkę dzieci, z jedenaściorga dziadkowych dzieci, końca wojny doczeka czwórka. Dziadek zaś, osadzony w Oranienburgu, nie przeżyje jednej z kolejnych „kroplówek” stosowanych na przemian z mrożeniem w wodzie. Okoliczności śmierci w Dachau ojcowego brata Edmunda i jednej z siostr w Stutthofie nikt w rodzinie dziś nie zna. O wuju Klemensie tyle przynajmniej wiadomo, że zmarł w niewoli.

„Uparty jak kaszubski lud — napiszą o jego bratanku inż. Romanie Klebbie po latach wielu. Uporu nauczyły go wieki walki z morzem i wieki walki z naporem niemieczyzny”.

Słowo, jakiesz ty żałosne w swoim ubóstwie...

18 marca i po nich przyszl. Na własne sanie kazali wsiadać i pędzić co koń wyskoczy do Pucka. Tam, na kolejowej bocznicy, „Besarabi” już czekali. Jedni i drudzy patrzą na siebie niemym wzrokiem.

Jabłonowo Pomorskie. Biały, klasycystyczny o 110 oknach klasztor na zalesionym wzgórzu wysoko położony. Stąd, czym się dało, pieszo, wozem trzy kaszubskie rodziny z Kłanina — Lisów, Steinków i Klebbów wędrują do Potulic na linii grudziądzkiej. Do Potulic na grudziądzkiej linii.

Znów pół roku. Obóz w Golubiu-Dobrzyniu. Czeka ją na rozsyłkę po bauerach. Ale żaden ich nie chce; dzieci w tej rodzinie stanowczo za wiele. Łąduje w plebanii w Ostrowitem. Książdz okazuje się ewangelikiem. W sierpeckie los nimi rzuca. Do wsi o nazwie Zamość, do Rościszewa następnie. Tutaj Romek z siostrą poddani zostają „Rassenprüfung”, egzaminowi czystości rasowej. W swojej skrupulatności panowie egzaminatorzy dochodzą do niemieckiego pochodzenia ich mamy. Siostra przepadnie; niezbyt zda się rasowo właściwa.

Baraki, to pamięta. I że gdzieś pomiędzy Przasnyszem a Ciechanowem to było. Raz jeszcze pomiary i fotogrametria. Rychło okazuje się po co to wszystko. Swoista „szkoła jantzarów” tu powstanie.

Wokół niemieckie, litewskie, łotewskie, francuskie i polskie sieroty. Tych pierwszych najwięcej. Pośród nich Romek Klebba i Kazio Czulek z Gdyni. Po wojnie Romek nigdy Kazia już nie spotka. Niemieckie książki, wykłady na zmianę po niemiecku i angielsku. Nazwisk wielu trzeba się nauczyć — wysokich wojskowych, ministrów, przeważnie angielskich i amerykańskich. Zdjęcia czołgów im pokazują, samolotów rozmaitych, „Wellingtonów” i „Spitfigherów”. Czołg radziecki należy do pomocy szkolnych. Piosenek tu uczą angielskich. Tej o „Cornerze” choćby: „Corner co siedział w kacie i jadł swoje świetne kąski”. „What a good boy am I”, tak kończyła się ta piosenka. Jedna z tych, której znajomością zadziwiać będzie w wiele lat po wojnie brytyjskich stoczniovców. Znad Lebasee podesłano im któregoś razu kilkoro dzieci. „Zatem więcej jest szkół tego rodzaju”, wypowiada się ze swych rozmyślań dziecię tamtego wieku.

Evakuacja. Jego — pociągami. Z Marianem, kolegą swoim, zbiegają z transportu w Ostrowi Mazowieckiej. Dalej pędzą, bez zatrzymania. Pod Golubiem front jest od nich odległy o dwa dni, więc gdy Rosjanie wyszli im naprzeciw, nie zdziwili się wcale. Romek frontowym jest teraz dzieckiem. Przez dwa miesiące wędruje wraz z wojskiem. W Toruniu trafia do sierocińca dla 50 bezdomnych dzieci. Wojna już się skończyła. Pora wracać do siebie. W podgańskim Brzeźnie, jak wiść niesie, odbywa się zlot harcerzy. Zostaje jednym z jego uczestników. Już pod koniec je-

go trwania, odmeldowuje się do Gdyni. To już finał wojennej drogi Romka Klebby, chłopca z kaszubskiej wsi, dziecięcia wieku wojną rzuconego w świat, jakże dla niego rozległy i dziwny zarazem. Powróci dorosłym, mimo chłopięcego wyglądu, wypłowiałej blazy harcerskiej i czapki zawadiacko nasuniętej na oczy, bystre już wtedy i niejedno zdające się rozumieć z otaczającego go świata.

Wojewscy — ojcowi kuzyni — zdają się jeszcze przeżywać los swego dębu z ulicy Portowej, siekierą wyciętego przez Niemców „dla poprawy warunków jazdy”. Jest w Mostach gdy z wojennej rozsyпки powraca kilkoro ocalałych wnuków dziadka Dominika. Ich babka — cicha, kaszubska Niobe nieliczne zdołała ukryć wnuki w Smolnie w Puszczy Darżlubskiej. Dzieci straciła prawie wszystkie. I tylko wnuki ocalały, skryte w Domatowie, Głuszewie. Zaznać miały goryczy sieroctwa. I Roman także, gdy w dwa lata po wojnie obumarł go ojciec. W stosunku zaś do dziadkowego brata, ks. biskupa Konstantego Dominika wszczęto proces beatyfikacyjny.

Mama Romana odwiedziła raz ojca swego w Langgulli koło Millhausen. Miała zostać trzy miesiące, powróciła po dwóch tygodniach.

— Stała się zupełną Polką — orzeknie na jej temat Roman. — Już nawet w pewien szowinizm wpadała; w domu nic dobrego nie wolno było o Niemcach powiedzieć. „Ja się uczyłam historii Polski, mówiła, ja jestem Polką”.

Zamyślił się Roman na moment, coś sobie przypomniał, bo uśmiechnie się jakby...

— Nauczycielka spytała raz podczas lekcji w klasie, do której chodzi moja córka: „Dzieci, które z was jest Kaszubą?” Z całej klasy tylko moja córka uniosła rękę.

Nagle czternastolatek znalazł się, trochę nieoczekiwanie, bo o modelarstwie lotniczym marzył, o lotnictwie, w orbicie spraw morskich. Z Gdyni międzywojnia, gdy jako sześciolatek za rękę przez ojca prowadzony był na zakupy, został w pamięci jedynie wjazd od strony Grabówka, pamiętał też wizytę u kuzynostwa Wojewskich. Teraz spostrzegł w tym mieście kopki siana przy ul. Władysława IV, ale i ruch wielki, jakby stawianie się miasta powtórne.

Po puckiej „małej maturze” przywiodło do „Conradinum”, osławionego Technikum Budowy Okrętów przy Piramowicza we Wrzeszczu. Na nogach ma kaszubskie korki, na głowie maciejówkę. Jakiś dryblas ze starszego roku zaczął go.

— Skądka te jes? — spytał tylko Torliński z helskiego podwyspu.

Odrzekł zgodnie z prawdą, że z Kłanina.

— Po tych korkach jó ce poznól.

Nowa znajomość mieć będzie niejakić znaczenie, jako, że dryblas z dużo starszego jest roku, w szkole zaś tak pielęgnującej zasady hierarchiczności...

Mysł o szkole lotniczej już go i opuściła. Tak oto sprawie uprawy morza przybył jeszcze jeden adept.

— Z tyłu mnie na te korki nadeptywali, ja się tym nie zrażałem.

W szkole spotkanie z tymi co trudnią się morza tego uprawą od dziesiątków już lat.

Z ojcem naszego okrętownictwa Aleksandrem Potyrałą.

Z gronem niegdyś lwowiaków, już wtedy ludźmi morza co się zowie.

Z Ciołkowskim od geometrii wykreślnej.

Z inż. Piątkiem, jednym z konstruktorów legendarnych „Łosi”, tutaj w „Conradinum” — „wytrzymałościowcem”.

Z inż. Dreyerem — specem w sprawach spawalnictwa.

Z inż. Kozłowskim — od maszyn parowych.

Z kmr. Zelenay'em — wykładającym elektrotechnikę.

Podręczniki w przewodzie są niemieckie. Nie pierwszy to raz w Romka krótkiej biografii ma miejsce ta sytuacja. Matematyki, geometrii, od biedy nauki o wytrzymałości można się z nich uczyć bez trudu. Gdy uczniowie wracają do internatu, podręczniki starannie ułożone na brzeżku ławki, czekają na ich powrót do klasy następnego dnia. Do domu tylko no-

tatki wziąć wolno. Nawet miejscowi nie mają wychodu do domu. Wśród tych zatrzymanych jest też Zyga Perlicki, gdynianin, dziś żeglarz na całą Polskę sławny.

I wtedy Potyrałę zdejmą z funkcji dyrektora. Z prądem czasu nie szedł. Młody ZMP-owiec zasiada za dyrektorskim biurkiem. Nazwisko jego? Spamiętania niewarte. Rocznik Romka uznany zostanie za niepostępowy, jako, że wszyscy byli po starym gimnazjalnym kursie.

Z obszernego szkolnego podwórca buchają kłęby dymu, słup ognia wysoki jest na dwa piętra. Romek podbiega, słyszy jakieś krzyki, nawoływania. Domyśla się prędko, choć oczy nie chcą wierzyć, że książki chłopcy tu palą z poniemieckiej szkolnej biblioteki. Grube tomiska oprawne w sztywne, płóciennne wierzchnie strony ze złotymi literami gotykiem pisanymi. Dopada stosu, wyrwa jedną, potem i drugą księgę. To Goethego „Sammtliche Werke”, z wydania sprzed stu blisko lat, bo z 1854 roku, jeszcze dwa tomy Goethego w ten sposób wyrwa płomieniom. Dobywa Corneillewskiego „Cyda” w niemieckim przekładzie. Romek drobnym jest chłopcem, niełatwo mu przeto dźwigać te potężne księgi. Wyrwa się ciżbie, księgi rzuca pod pobliskie drzewo i zawraca, już wie jakie skarby kryje ten wysoki stos pełen książek. Znowu staje przed buchającym dymem i ogniem stosem. Oddycha ciężko. Na kolanach, pomimo prażenia już i na sobie odczuwanego, dopada do nadpalonego już nieco egzemplarza jakiegoś podręcznika. To podręcznik języka polskiego dla gdańszczan, wydany w drugiej połowie osiemnastego stulecia. Ostatkiem już sił pochwyty — „Poetical works” Longfellowa. Jedyne przy bogato ilustrowanej „Die deutsche Luftwaffe in Polen” zawahał się przez moment. Zachował jednak do dzisiaj tę książkę wydaną dla celów propagandowych przez sztab Goebbelsa pod koniec 1939 roku. I jeszcze spis floty jego cesarskiej mości uratował przed spalaniem. Podręcznik języka polskiego dla gdańszczan niebawem przekaże Bibliotece Miejskiej w Gdańsku, inne książki zapełnią regały mieszkania przy Czerwonych Kosynierów, stanowić będą zaczątek przyszłej książkowej kolekcji. Inna sprawa całkiem, iż niezwykajny zaczątek.

72 chłopców z jego rocznika w świat szeroki po latach nauki w „Conradinum” ruszyło.

Los siedemnastki absolwentów z rocznika 1952. Pionierów Szczecina, zaczynających jako mistrzowie, technolodzy, konstruktorzy. Ich nazwiska niektóre, dziś już słynne: Peters, Samsel, Jachimowicz. Ten ostatni — dyr. techniczny Stoczni im. Warszawskiego. „Dziki Zachód” był tam wtedy, ruiny i zgłiszczą. Ład zostawia po sobie i nowoczesność.

Prześledzić życiowe meandry tej siedemnastki, to opisać stawianie się Polski morskiej zaraz po wojnie. W nowym zupełnie kształcie rzeczy.

Pójść po śladach jakie na gdyńskim morskim piasku odcisnęli ci z jego rocznika — inż. Werner Janeczowski, dziś kierownik Wydziału Kadłubowego Stoczni im. Komuny Paryskiej, inż. Włodzimierz Gościński, kierownik stocznioowego wydziału pracy chronionej, pójść ich tropem, to wywołać z pamięci szmat historii najnowszej gdańskiego wybrzeża.

Dobry rocznik, nie tylko dlatego, że stary...

Kolega Romka, inżynier-lotnik z Wrocławia, oprowadzany po terenach stocznioowych, rozplakał się po prostu i zwyczajnie. „Nie myślałem, rzekł tylko, że nasz przemysł okrętowy tak bardzo naprzód poszedł”.

— A wszystko — dopowie Roman — dzięki tym naszym nauczycielom. Byliśmy ich rękami, oni nam wmówili żeby to robić.

Erazm Zabiello pierwszym był Romana nauczycielem w zawodzie. Dyrektor stoczni na jej starcie ponownym. Projekt 1 doku — to on, projekt drugiego — też on. Wszystko było pomyślane przyszłościowo, z oddechem. Nauczyli nas działać w życiu, nie tylko robić okręty.

Pajawili się inni. Okazja czyni ludzi wielkimi. Ludzie niepospolici w dniu swoim nieodświeżonym.

Czas jest jeszcze by nadgonić utracone i zapisać się na gdańską politechnikę, jej wydział budowy okrętów.

Równy z pracą iść także i w głąb niejako, ku poznaniu. Wieczorami zatem nad skryptami ślęczy, biegnie do Gdańska na wykłady, by ukończyć co się sobie samemu zamierzyło.

W pracy spotkać się z „liberciakiem” Bolesławem Przybylskim, tym od „wodowania bocznego”. — Trochę to może i dyrektor był — uzna na jego temat — krzyknąć lubił, on jednak kilkadziesiąt statków zbudował.

Spotkanie drugie — z Kazimierzem Medykowskim, starym mistrzem, ojcem „Bielogorska”. Gdy szedł na urlop, ruchem ręki Medykowski nakazał Romanowi z sobą iść, brygadzystów z pochylni mu przedstawił, że znajomości nazwisk przepytankę zrobił. I od razu „majstrować” przyszło. Chabowski, Boński, Rafalski. Do dziś pamięta Roman pierwszych swoich brygadzystów. Jeszcze tylko mistrz Medykowski stoczniowej elicie pokłonić się kazał, „kolonie” niterów znaczy, sztauerom, stoczniowym uszczelniaczom.

Tych nazwiska. Po latach jak z rękawa nimi sypie — Szura, pamięta, Góralek był z pochodzenia, Ogórkiewicz. Potem z ich synami do czynienia się miało.

Droga do stoczni mistrza kowalskiego z Jasła Franka Białoboka. Droga do przedwojennej stoczni marynarki wojennej. Wiedza tego człowieka i inteligencja. Słowa to być mogą. Inaczej więc: Białobok jako wzór kierownika. Ośrodek kadłubowy całkiem jest nowy. Białobok Romana czyni swoim zastępcą. „Adaptacja” — nikt tego słowa wówczas nie znał. Pierwsza rozmowa Białoboka z młodym chłopcem i z miejsca kupował go. O rodzinę spytał, o to co do tej pory szczawikowi trafiło się w życiu. „Człowiek, który nigdy nic nie kazał”. Tylko prosił, nie można więc było nie zrobić. Czytać lubił pisma różne, dokumenty dotyczące prawa pracy. Cenił sobie pogadac. Jego zastępca musiał być we wszystkim obyty, swia domych chciał mieć u siebie. Gdy „Rocznik Statystyczny” kupował, i o egzemplarzu dla swojego „wice” pomyślał. Zwykł mówić: „Kierownik, który więcej niż osiem godzin pracuje, nieudolny jest na tyle, że trzeba go zdjąć”. „Operatywka”. Termin to był mu nieznan. Człowiek czuł się u niego jak u kwoki pod skrzydłami, oceni Roman swego szefa sprzed lat. U niego społecznie trzeba było pracować. Sam prowadził Kasę Pożyczkową, ja — Radę Nadzorczą Spółdzielni Mieszkaniowej, stocznioowy Klub Techniki i Racjonalizacji. Białobok całe życie nie zaklął. Więc gdy zdarzyło mu się to raz jeden w obecności kadrowej, ta oniemiała wprost z wrażeń. Nazajutrz cała stocznia wiedziała, że Białobok zaklął.

Tą mniej więcej porą mianowano Romana dyrektorem Technikum Przyzakładowego.

Dwa pokolenia wyuczył. Na kolegach z wydziału wymuszała tę naukę. Połowa szkoły na „ty” mu mówiła. „Trudno się uczy kolegów z wydziału, wiele większa to odpowiedzialność, uczyć często starszych od siebie, fachowców. Na maturach, gdy tak klepali z pamięci, pięknie się na to patrzyło”.

To wtedy także napisał podręcznik — „Materiałoznawstwo okrętowe”. Drugi — „Teoria okrętu” — niebawem się ukaże w „Bibliotece okrętowca”.

ROZESZNIANIE W ŚWIECIE TRZEBA MIEĆ

Spostrzegł się wtedy, że po dwudziestu latach czas jest sposobny na odejście z produkcyjnego wydziału. Ku celom sięgnąć nowym.

Poddać trzeba dokładniej analizie przebieg stali przez stanowiska robocze. Wyznaczyć „czerwone linie”, sieć jej (stali) przebiegu. Określić należy w sposób naukowo uwiarygodniony. Wiele rzeczy uporządkowania wymaga. Wypisać trzeba numery poszczególnych stanowisk i grupy materiału. Prześledzić zależności pomiędzy nimi. Naukę o organizacji i zarządzaniu dobrze by było wprzeżyć do tego celu. Zatem wykresy, kartoteki, zestawienia. Skrzynki pełne kartotek. Porządek w ewidencji. Czas by wprowadzić najnowocześniejsze maszyny do cięcia blach. A także inne — sterowane numerycznie. Komputery. Psu na budę się zdadza, jeśli w stoczni będzie balagan. Kompleks ultranowoczesnych pras przystosowa-

nych do sterowania. Kształtem przypominają maszyny do szycia. Ustawione są w ciągu technologicznym — cały proces przebiega na transporterach — ruch surowca od magazynu aż po montaż blach sterowany jest przy pomocy komputera, za pomocą jego komputerowej pamięci.

Na tej ludzkiej orbicie spotkali się z sobą inż. inż. Klebba i Cwynar. Obaj, studiujący zagraniczne katalogi, jednakowo cisnęli na te sprawy. Bo, jak mówi jeden z nich: „rozeznanie w świecie trzeba mieć”.

Wkrótce dobił do nich trzeci — dr Czesław Skowron, Pomorzak z Grudziądza, spec od „zarządzania przez cele”.

Roman o Skowronie:

— Jest bez przerwy w przodzie przed innymi, wobec szefów, kierowników. Duży talent innowacyjny.

We dwóch rzucili hasło szkolenia całej załogi z dyrektorami włącznie. Na szkoleniach mówi się o zarządzaniu, stosunkach międzyludzkich. „Gry kierownicze” przypisuje dla lepszego samopoczucia. Efekt: całe kierownictwo stoczni mówi sobie na „ty”.

— Trochę pod przymusem, to inna sprawa — oceni rzecz współautor pomysłu. — Zasadą naszą: „fed back” — odbijaj grzecznie. Bywa, że na trzy dzionki pakujemy się wszyscy i do Wieżycy, gdzie uczymy się i bawimy. Albo inaczej: uczymy się bawiąc.

Zapewne z chęci owego „rozeznania w świecie” wzięli się Romanowie wyprawy jachtowe do stoczni i portów skandynawskich, niemieckich, holenderskich, szkockich i angielskich.

— Setki stoczniovców w świat wyprawilem — powiada o tej sprawie. — Bo i satysfakcja o ileż większa gdy się samemu, ale i innych ludzi wozi do świata.

„Jankiem Krasickim” byli w Bremenhaven. Stocznie zwiedzili, ludzi poznali.

Odwiedzili Wilhelmshaven i jego prezydenta Engelhardta. Tego dnia biało-czerwona wisiała na gmachu ratusza.

„Witam was w imieniu mieszkańców Wilhelmshaven — rzekł na powitanie burmistrz miasta, a słowa jego zanotowała miejscowa prasa co do jednego. — Chciałbym żebyście mieli na względzie te 40 tysięcy niewinnych mieszkańców, którzy z wojną do czynienia nie mieli”.

W stoczni kilońskiej spotkanie z inżynierem. „Ta wasza Irena...” o Polsce mu mówi, o artystach, że tęgich wydała, o zabytkach, miastach podniesionych z ruin. „Cały czas kładł mi do ucha o moim narodzie”...

W stocznich im nie wierzą, że podróżują tak sobie. Jakaś delegacja to być musi...

Chłopcy ręce pokazali swoje...

Gościna u właściciela portu w Niedersachen, w typie podobnego do naszego Portu Północnego. W barczanowej koszuli wystąpił z czwórką dzieci.

Wyprawa kolejna — do Szkocji.

On: — Naród to po Węgrach najbardziej nam bliski.

Oni: — Gdyby polska armia raz jeszcze kiedyś tu była, to w pierwszym rzędzie dokopalibyśmy Anglikom.

On: — Szkot jest skąpy tak jak Polak. Na te pierwsze pół litra mu szkoda...

Szkot o nazwisku Lawrence Rew. Znajomość z jachtowych wypraw. Przyjaźń pomiędzy nimi. Gdy raz interes miał w Grecji, zboczył z kursu i wstąpił do Gdyni po obraz pędzla Romana. A w tydzień później fotografię przysłał wskazującą płótno wiszące nad kominkiem.

On: — Tam już trzeba być komunistą. W ogóle za granicą człowiek reprezentuje swój kraj, swój ustrój, większość z naszych taka jest.

W Szwecji — żadnych przyjaźni. Choć był tam z osiem już razy. Kompletna trudność. W Danii inaczej. „Hello, Mister Klebba!” — zakrzyknął z pomostu w jego stronę tamtejszy działacz związkowy. — A potem okazało się, iż związkowcy czuli się urażeni, że z dyrekcją stoczni wdajemy się w rozmowy, ich pomijając. Tak, tam już trzeba być komunistą...

TYLKO DUŻA ZBIOROWOŚĆ

„Projekt konstrukcyjny dziesięcioletnicznika”. Taki był temat jego pracy dyplomowej na gdańskiej politechnice pisanej od kierunkiem doc. Wiśniewskiego.

I mocno przyszłościowy był projekt, fantazję pozwalał uruchomić. Tym większą — rok był 1957 — że stocznia w znacznym była zastoju. Flauta zupełna i kompletna. Zamówień na statki brakuje. Szalandy dla „Percipu” (Przedsiębiorstwo Robót Ciepłowniczych i Podwodnych) latały dziurę. Wulkanizatory dla ośrodków maszynowych. Imać się przyszło czego popadnie. Budowy pieców dla Nowej Huty. Skończyła się pierwsza seria statków dla Związku Radzieckiego, na drobniowce i trawery czekać przyszło półtora roku. Nimi zastartowali po okresie bezruchu. Po czasie gdy kuło się lemiesz, wytłaczało podwozia dla „Sanoka”.

Był pośród tych co podróżowali po Polsce szukając zamówień. „Próba była co stocznia i jej ludzie potrafią”, objaśni rzecz lakonicznie i dosadnie.

A przecież i na jego dziesięcioletniczniki przyszła pora... Świadcować będzie jak po 20 latach iść będą na żyletki. Taka to już stoczniowa kolej rzeczy.

* * *

— To jest taka trochę intymna sprawa — zwierzy się ręką wskazując płótna rozmaitych kształtów i wielkości. — Niepotrzebna nikomu, może zabawna. Moim malarzem jest Salvadore Dali, choć nie podoba mi jego stylu. Wyspiańskiego bardziej jako malarza aniżeli pisarza cenię. I Makowskiego, dzieci jego, główki okrągłe. Okolice Wieżycy lubię, ich pejzaż, czarne niebo i wodę zbełtaną wiatrem. I jeszcze zejście w Redlowie do morza lubię malować. Palcem lub szpachlą, ale palcem częściej.

Przed przybyciem odsłoni bogactwo całe wnętrza swojego mieszkania, w którym zakamarków wiele a z każdego co chwila wychynie, to model samolotu typu RWD, to model ślizgacza, meble przez siebie sprokurowane w „dziwności kształtów i funkcji. I miniaturki powozów, hobby inż. Klebby kolejne. Te wszystkie „wielbłądy prerii”, rzymskie „Cavus” w woły przyprzeżony, bryczki, dorożki, dyliżanse, angielski „Cadillac” i „Old mobil”.

A potem uruchomi magnetofon z nagraniem szkockiej melodii rzewnej bardzo i jakże rozlewnej w powtarzalności muzycznych motywów.

— Gdynia — zamyślił się na głos w pewnej chwili. — Młode miasto, ładniejszego nie spotkałem na całym świecie. Tegoroczny urlop, przeznaczyliśmy z żoną na zwiedzanie miasta.

Kaszubi... zastanowił się na koniec. — Najlepsi pod Rozewiem. Bardziej zamknięci w sobie, mniej od kościuszków gadatliwi. Zdarzy się, że raz na pół godziny jeden z nich powie: „No jo, Tona”. W moich stronach tak się mówiło: „Wszystko Kaszubi, tylko jeden z Pucka”.

I uśmiechnie się przy tym we właściwy sobie, łagodny sposób.

Z arcydziełem do młodzieży

Lech Bądkowski

W całkiem niezłej dziś się rozwijającej literaturze kaszubskiej „Remus” pozostaje pozycją wyjątkową. To samo zresztą dotyczy „Czôrlńskiego”. Te dwa dzieła, powstałe przed wielu laty, nadal stanowią najwybitniejsze osiągnięcia literatury kaszubskiej. Tym stwierdzeniem, które pokrywa się z powszechnym odczuciem czytelników, nie chcę umniejszać dokonaniom innych autorów, tylko uprzytomnić stan faktyczny. Wyjaśnić też trzeba, że w międzyczasie rozwinęły się inne gatunki piśmiennictwa, jak żartobliwa gawęda z głębszym podtekstem, której mistrzem okazał się Aleksander Labuda, lub krótkie opowiadanie z narracją polską i dialogiem kaszubskim, w którym celuje Anna Łajming.

W dalszym ciągu, również w najmłodszym pokoleniu autorów, najszerzej uprawia się poezję. „Czôrlńscy”, jako rozległa epopeja wierszem, jest wprawdzie odosobniony, ale obfitość i różnorodność powstającej poezji stawia dla niego alternatywę; widać to na przykładzie wydanego niedawno obszernego tomu „Odecknienié” Jana Trepczyka. Natomiast kaszubska proza „czysta” wygląda ubogo. Może z czasem wybitniej wzbogaci ją Jan Drzeżdżon, który jednak dotąd nie podjął próby napisania powieści kaszubskiej.

Tak więc „Zécé i przigodé Remusa” Aleksandra Majkowskiego samotnie stoją w historii piśmiennictwa kaszubskiego. Zarówno ta okoliczność, jak i ranga tego arcydzieła powodują, że od lat zajmujemy się „Remusem” i temat wciąż nie schodzi z wokandy.

Ostatnio spotkałem się z pytaniem, czy „Remusa” nie należałoby zalecać jako lekturę już dla dzieci. Pytanie mnie zaskoczyło i zmusiło do pomyślenia nad jego przedmiotem. W odniesieniu do dzieci odpowiedź nie wydaje się trudna: oczywiście nie. Książka ta po prostu jest za trudna i pod względem treści, i pod względem formy, trzeba by opatrzyć ją mnóstwem przypisów, które i tak nie byłyby w stanie objaśnić wszystkiego, natomiast zatrutyby lekturę i zabiły jej piękno. Nie jest to książka dla dzieci i koniec. Wielu dorosłych ma z nią kłopoty.

Warto za to zastanowić się, czy należałoby polecać ją młodzieży. Jeśli chodzi o starszą młodzież, odpowiedź uważam nie tylko za łatwą, ale wręcz pewną: tak, można i trzeba. Znaczna większość literatury „dla dorosłych” nadaje się również dla młodzieży, a ograniczenie tu wprowadza jedynie stopień trudności odbioru, ograniczenie zresztą ważne, bo młody czytelnik, nie uporawszy się z określoną lekturą, odepchnięty od niej, pózniej już weźmie jej do ręki, chyba że powo-

dowany jakąś szczególną okolicznością. W wypadku „Remusa”, mimo współlistnienia w nim dwu planów, rzeczywistego i nadmysłowego, także mimo epickiej konwencji należącej jeszcze do XIX w., stopień trudności odbioru nie jest zbyt wysoki dla starszej rozzagarniętej młodzieży, zwłaszcza ukształtowanej w kaszubsko-pomorskim kręgu kulturowym.

Co można powiedzieć odnośnie do młodszej młodzieży, w wieku 12 – 15 lat?

Myślę przede wszystkim, że rzecz należałoby traktować selektywnie, nie wszystkich więc tak młodych zachęcałbym do czytania „Remusa”, a tylko lepiej rozwiniętych i przygotowanych. Spodziewam się, że ze strony osób starszych opór przeciw podawaniu tej powieści jakimkolwiek czytelnikom w wieku 12 – 15 lat powodowany byłby głównie obiekcjami natury moralnej. Mogłyby one dotyczyć właściwie tylko jednego problemu w życiu osobistym postaci tytułowej, mianowicie jego sytuacji emocjonalnej.

Pamiętamy, że prostackie, głupie i złośliwe środowisko podstępnie wmusiło Remusa w małżeństwo z Trąbiną, wdową po towarzyszu jego wędrówek i, co prawda nie równoprawnym, przyjacielu. Remus gardził tą marną kobietą i na ślub zgodził się jedynie pod presją wioskowej i parafialnej opinii publicznej, nigdy małżeństwa nie dopełnił i zaraz po ślubie opuścił żonę, zapewniwszy jej udział w swoich skromnych zarobkach. Nastąpił krótki piękny rapsod – spełnienie miłości z ukochaną Klementyną, upostaciowaniem mitycznej królewianki, rapsod gwałtownie zamknięty zniszczeniem gniazda ich szczęścia i rozstaniem. Domyślamy się, że syn Remusa i Klementyny będzie jego następcą, przejmie trud ojcowskiego dzieła.

Oto cały „problem moralny” powieści. Nie ma w ogóle potrzeby rozpatrywania go w kategoriach wąsko-tradycyjnych. Inna sprawa, że zrozumienie tej przenośni wymaga pewnego przygotowania intelektualnego i obyczajowego. Otóż to właśnie, zrozumienie całej powieści w jej przenikających się różnych płaszczyznach, wątkach, symbolach, subtelnościach stanowi istotne zagadnienie przy rozpatrywaniu kwestii, jak wcześniej można podawać ją do czytania młodzieży. Wielka szkoda, że do tej pory szkoła nie zainteresowała się „Remusem”.

Zapewne warto by się zastanowić, czy ktoś nie powinien pokusić się o sporządzenie wypisów tej powieści z myślą o młodszej młodzieży. Wybrane fragmenty, łączone słowem objaśniającym, pokazywałyby historię, obyczaj, krajobraz, uwypukla-

łyby postawy ideowe, oddawałyby piękno języka i barwę humoru, a zarazem przytaczałyby przygody bohatera, których wcale jest niemało, chociaż powieść, rzecz jasna, do przygodowych nie należy. Tak zrobione wypisy można by śmiało przedstawić młodszej młodzieży. Tylko kto się podejmie ich opracowania?

Musimy sobie wyraźnie powiedzieć, że „Żecé i przigodé Remusa”, mimo trzech wydań od 1964

r. — w sumie zresztą, w obu wersjach, kaszubskiej i polskiej, liczących zaledwie 17 000 egzemplarzy — jeszcze nie weszły w powszechny obieg, jeszcze w naszej formacji kulturowej nie odgrywają roli, jaka im się należy i, co ważniejsze, jaką powinny spełniać. Toteż potrzeba dalszego upowszechniania tej prawdziwie wielkiej powieści. Musimy szukać sposobów.

Kaszëbskô w poezëji

Ian Trepczyk

Na ojcowistech plónach,
W rodny, kaszëbsczy wsë,
Na gladach, morzczach gónach
Gdzie moi domôce,
Tu môl môj wiedno mdze,
Tu lubi mie.

Gdzie mowa starków zwęczy,
Kaszëbów warô ôrt,
Naszińc napinô łęczy,
Gdzie w biôtci jic je wôrt,
Tu jô jem u se le,
Tu lubi mie.

O, snôzota zabëtô
Naj kaszëbszczeh ustrón,
Widzałosc nijak czëtô,
Pojużny, dzyrzci gón!
Miec naszenę kol se,
To lubi mnie.

Ze skarnią rozzôloną,
Kaszëbskô, do ce lnę
I dargą rozwidnioną
Jô biôtci prowadzę!
W tech biôtkach widzec se,
To lubi mie.

W tech biôtkach o poczestnosc dlô swoji zemi,
o ji ulubieni i o widzali na nią pozdrzatk, widzímé
wszetczech kaszëbszczeh pisôrzów. Bez mała
kojzdi dokôz kaszëbsczy poezëji je przemikli ulu-
bieniem do tego naszigo kaszëbszczigo nórćeka,
zaostatigo slôde w rozwicym swoji domocenne,
swoji dëszewny kultere a osobliwie swoji mowe,
jakô je motorę całi naszi leterature — ji powsta-
niô, rozwicô i dobetnigo brzadowaniô.

Ta naszô malinkô ojczëzna, ta najô tatzëzna,
mielota do ni, przedstôwiani ji na spodlim dze-
jów, rozpomiônowani ji sposobnigo wëdzratku,
to są temate, co zajmaja nòpoczestniëszy môl
w naszi poezëji. Żlë da tema „Kaszëbskô” dodô-

më drëdzi tema, jaczim je kaszëbsczy lud ze swo-
jima dzejama, zgrôwama ë biôtką, to mómë te-
matikę, w jacji obrôcają sę kaszëbsczy lëteracczi
dokôze. Usôdzków na temacie ogłowolëdzci je
jesz baro mało. Może to temu tak je, że sama
kaszëbizna, w jacji naj usôdzcowie sę wëpowiô-
dają, wiedno jesz zjakosalo trzimie sę le swoji
chëcze i nie dzyrzi sę wyńc na butnowi szërze.
Cali kaszëbsczy lud je w bezustónkowi biôtce
o utrzymani swoji jeste, swojigo jô. Tak tej w ca-
losce pisôrze, co z tego lëdu wëchôdają, chowią
w se nę udbę biôtci swojigo lëdu i zgrôwają na
pierszim môlu do postawieniô swoji zemi, swojigo
lëdu — jego mowe i kultere na oczny i widzali
stëpiń, żebë udostac nòprzód swojich do te, żebë
bële buszny ze wszëtczigo co je kaszëbsczy, a
probleme ogłowolëdzci ostôwiającë sledzy na
drëdzi môl.

Kaszëbskô je przednym motiwem dokôzów
F. Cenowe. Ję opisywô w swoim dokôzu „O pa-
nu Czôrlinšczim” H. Derdowszci. Ale uprocem-
nieni sę do ti tematiczi tak, że mielota zemi, ji
piknota ë widzałosc są przednym motiwem poe-
ticczigo dokôzu, może le dopiërze potkac kol
młodokaszëbów: Majkowszczigo, Karnowszczigo
i Hejczci.

Majkowszci w swoim dokôzu „Kaszube” widzy
nasz kaszëbsczy nórćek jakno zaczarzoną ziemię,
skopicią bôjk i powiôstk, co żdaje na cëdowny
wëbawieni ze swoji nimoce, swojigo spiku i bez-
wole:

Tu są naju chudi piôscci
I zaspali chójczy,
A na nich so szari gape
Powiôdają bôjczy.

Oj, te gape, szari gape,
Co tak cëcho sedzą,
One mało powiôdają
A tak wiele wiedzą.

One wiedzą, gdzie pod górą
O wojnę za wiarę
Wojska żdzą, jich strzegą święci
Józef i Barbara.

One wiedzą, gdzie pod górą
Zwón gbur płęgem trący,
Ju pług dali jic nie będzie
A kón stanie drżący.

I zwón lądem wołac będzie
Po pomorczim kraju
I rycerzi stanie wojsko
Kuli kwiatów w maju. <...>

A nad nimi sę na niebie
Wieldzi Grif ukôże,
Jednym skrzydłem Brdę zamący
Drëdżim gduńszci morze.

Ale one nie powstaną
Te żelôzny rzoze
Jaz połowę gór w dolene
Pług rataja zorze. <...>

Orztaż rëchli, bo ju waju
Dżinie mowa, wiara,
Nie mdze czego bronic miała
Patrónka Barbara. <...>

A w „Śpiéwie gbura” Majkowsczi rzecze:

Jô z cwiardi zemni, kęde wrzos
I kamień łómią płudzi,
Kęde pszenice złoti-kłos
Ni wszędzie w szcibie dludzi.

Jô z zemni, kęde chojne pień
Żëwicę w słuńcu warzi,
A żniw za pełen prôce dzeń
Ni wiedno Pón Bóg darzi. <...>

Nad zwëk udało przedstawiô Karnowsczi w
swojich dokôzach kaszëbską ziemię, czej sę piô:

Znôsz tã ten krôj,
Gdzie jałowc szumi w borze,
Gdzie gorô blôsk
Durch na chojowi korze,
Gdzie płowi piôch
Te nasze strojå wrzose,
Gdzie pola gón
Wstec łaknie deszczu, rose?
Znôsz tã ten krôj?

Kożdi człowiek nôwicy teskni do swoji zemi,
do swojigo dodomu, czej je od ni dalek, czej na-
mienieni trzimie go dalek od jego domôków.
Karnowsczi wëpowiôdô tã teskniączkę za swojå
domocëznå hewo tak:

Nijak ce ni mogę zabôczec,
Biédny kraju mój, drodzi!
Dôwno, ju dôwno jem od ce precz,
W twoji ju nie wrôcë prodzi.

Chocy tu wkoło wiesoli swiat,
Słodkô muzyka zwoni —
Co mie tam cëzy, pôchnący kwiat,
Czede mie teskniączka goni.

Goni mie zawde ob dzeń i noc
Borów rzewlewi szum,
Z pólów gdes wołô głosów mie moc:
Chadej że, chadej do dóm.

Jô wëpowiôdóm te same mësle, tã teskniączkę
za swojim dodomem znów tak:

Dalek jem od dodomu,
Dalek w cëzenie,
Nijak wierę ju wicy
Nie obôczę go.

Jidze mie wcyg na oczë,
Wiedno chłoscy mie do se,
Kojdzi nört i kojdzi môl
Podskôcô za nim mój zôl.

Moji doma, mojô chëcz,
Ogniszczë święti,
Starków mowa, snôzô zwëcz
Płomę we mie zgli!

Moja mësla — wieczny gón,
Do rodnych mie cygnie strón!
Tu ubetku nie mdę miôl,
Jaz jô doma uzdrzę znów.

Moja nenka, sosterka
Teskniå tam za mnå
I ze skomå sę co dnia
Mie spodzëwajå.

A jô hewo wiedno sóm,
Ni mogę do rodnych strón...
Grëdi namienieni mie
Dalek trzimie w cëzenie.

Ks. L. Hejka wëpowiôdô swojå mielotę do ka-
szëbsczi zemi w tim rozmienim, że tu je wszëtko
swoji, wszëtko swóńszci, tu sę czëje wespiek i mô
sę ubëtk. Ti swoji môli ojczëznie, jakå zwie Ka-
szëbskô, chce służec i wëstawic pomnik w swo-
jich piesniach:

W jinech krajach mili żëcy,
Lubny woniô wiosne kwiat,
Ach, tam nie je moji bëcy,
Bo to mie je cëzy swiat.

W naszym kraju moji bëcy,
W naszym łåce mój je kwiat,
Tu mie rosce słodczy żëcy,
Mój kaszëbsczi, môli swiat.

Tu je moja moc i chwałå,
Mégo serca święti dżël, —
W jego słuźbie jô sę trawię,
Zdrzåcë w jego wiôldzi cël.

Kaszëbskô,
Jô ce pomnik chcôl wëstawic

I po całim kraju szukôł
I gdzie jaczi był le kamiń,
Rzezbe młotem jô go stłukôł.

Ale wszëtcki sę w obróbce
Mie pod ręką rozsëpał,
Bo od dludżigo leżeniô
Bële one rozwietrzali.

Smutny jô do chëcze wrócel,
Sôd na progu zniechęcony
I so zdrzôł na pola naszi
Wiôldzim spikem umorzony.

I jô rzek: O biédny kraju!
Wstani że i rzeczë słowo!
Stôł sę cud, Kaszëbskô wstała
I zaczinô jic na nowo. (...)

Ona rzecze: Wez zaspiewej! —
I mie złotą lutnię dała.
We mie serce zadërgało,
Prisnął zdrój i ręka grała.

W boru szum i morza grome
Moji spiëwe wtór sę wstawi:
Żij Kaszëbskô! Twoji chwale
Pomnik w pieśni sę ujawi!

Wikszzi dzél swoji poeziji poświęcywô pësznice
naj zemi St. Bieszk. Ju same miona jego sonetów
jak: Kaszuby, Brda, Wda, Radunia, Szmelta, Bôłt,
Bore, Oliwa, są tego dokôzem. Spiëwie on
wjimną tczë dlô swoji zemi — tatczëzne. Jego
ulubieni Kaszëbszci grańczy ze zôwzëcym. W ji
snôżoce nalôżô mir ë szczescy. Ona je pokrzë-
snotą jego zmôłkligo dëcha i zmetlaligo cała:

Lase!
Z trzôsku swiata i z pichu szaseji
Jô pod cenią waj szed i szëmny lëczy,
Wëszawny buczy wa i dëbe jëdrzny,
Zelony, rëmny domiszczë wa moji.

Objimô remniem ojcowistim knejô.
O! jaczi, mir, cyszô dobrotnô smucze
Sosterną ręką mie klepiący spicz
I cygnie na cëniasti kline swoji.

O, kuli razy lég jem tam zmetlali —
Nad mną welbądzi lëstny sę cziwałe
A blónik znojma wësok niebem lecy.

W jinszim, daleczim, o, jak szczestnym swieceł!
I tesznota w mie z szëmem lasa szôłô
W no modri szczescy, w ny zôwieczny dôle!

Zaborskô zemia.
Nie uschła wietew dôwny, brzadny krôse,
Co rosło czedes z nij Cenowów wiele —
Pierszi stanecznicë kaszëbstwa bële
Oswiate polszci wëczarzony rosą.

Ko w Chojnicach Adam w swojî trzimôł szkole
Naj otroków: Majkowca, Dërdę, Wôsa,
Uzerac nowi wid orłowim blôsem
I wzlôtëwac w słuńce kaszëbszci wole.

Zaborskô wiërnô zemia! Të plón żëzny,
Kaszëbską, bëlną ręką jes obsónô
I kwiatów pôch môsz stôri kaszëbizne.

Nié zabôczony je ce Kaszëb miono.
Przëbôczë dzysô wiôldżëch sënów zôsku
W rozklëcym zôsny, w ôdpojécô blôsku!

Tę samę nôtę ulubieni swoji zemi prowadzy
Z. Narszci czëj pisze:

Snile mie sę moji strone,
Nibë jawa, nibë dôka — snôzi kraju wizerunek.
(...)

Abo Jan Piepka:

Moji strone,
moji strone
są nôlepsi z wszëtczëch strón,
Móm w nich kwiate,
wode, lase,
w polu rosce żëtny plón.

Ten tema piasteje téż Alojzy Nôdzël wezmë we
wiërzce „Moja wies”:

Gdzie w Dąbrówce wietwie grają,
spiëwe stôri, smëtny, pësny,
gdze jô w Mulku wałë znają,
szemarzeni jego cëchi,
tam je moich starszëch grób,
tam je moji chëcze próg.
Tam sę moja mamka zdżiba,
czëj kolibkë modrą zyba.
Taczë zwëczôj tede miëwa,
że tak czësto smutno spiëwa:
„Gdzie Czelónka z Czelną plënie,
tam të na swiat przëszed sënle!”
Czelno, të lubotnô wies,
dlô mie të nôdrogşô jes!
Są pësniëszë miasta, wse,
le të jes nômilşô mie!

Nôwicy równak môla, nôwicy mielôte a ulubie-
nigo dlô swoji zemi dôł okoma Bieszka, Jan
Rompszci ze se. Jaczi trzeci dzél jego poetic-
czëch dokôzów, to znaczi w przëszło sto wiërz-
tach czidô o ten tema. U Rompszëgo mielôta do
rodnych naj strón doszła do dżibu ukochanigo,
czëj rzecze:

Tej mie moja w sercu zemia
Gruzel swoję zmiësza z krëwią.
Dësza cëcho jakbë stamia,
Pierwszą splënę bólu łzą.
I jem poznôł ojczëznę,
I jem poznôł co je lud,
Şwiëtszą sta sę Tatczëzna. (...)

Chcôłbë on, żebë ta zemia stała sę taczim
poprôwdzë swônşczim nôrcëkem, w jaczim më
bë sę czële poprôwdzë doma, pojiżny a wolny,
niezrëszony cëzeną... A zjiscy to sę, czëj nalize-
më se, czëj duńdzëmë do swiãde swoji jeste:

Tej choc wlëzą w twój nórt,
bez nokców wlëzą,

bo scynô z môla Twój Nôrt
rozkrzniati w pałac,
gdze wiedno mdziesz sobą. <...>

Rompschi opisywô Kaszëbską w ji sposobnym
wëdrzatkù, dzejowim obstojenim, biédnym brza-
dowanim i że ni wiedno je matką dlô swojigo
lëdu:

O, klinie chlebny, tak dlô lëdu niewdżeczny!
Zbradzony dniama nieba,
dawôj nama ni le prostowigo chleba!

Same Kartuze opisywô w dzewińc sonetach pod
mionem „Kartesczi nôkoli”:

O, moja pażec widnech gór i gorni,
I słuńce kaszëbsczigo rena sniti!
Ach, modrôku kaszëbstwa wiedno wiérny,

Pokrzésny rose czelchu wiedno piti!
Przed wôltôrzem jak Mekką klëczë czestny
Jô, twojch słów, orzłowech czënów wiestny!<...>

Wdôrziwô, że dlô nie, jakno młodigo człowie-
ka, nie bëło tu zôrôbku. Ale zato nalôz w Kartu-
zach swoję kaszëbską drogę — kaszëbską deję:

Kartuze snôzi, jak gwiondzka gdzes nieba,
Grëdo tu biôtkowac lëdzóm o chleba.
Procem te kaszëbstwo sëjało w słuńcu,
Pierszą jô zwëskôł tu deję w tim szuńcu.

Zôtozem biôtków wkôł przetkło mie dëcha.
Wiele to razy mie dësza tu chlëcha!
Le słowem Méstra Majkowszczigo wspiartô,
Jak w ogniu biwa pizesëtô, nôpartô! <...>

Czidô on skrzydlama poeziji o môle nasi słô-
de, naj dzejowigo namienieniô, czej gôdô:

Je wiele môłów naj nôrodných wdarów
I wiele stegnów do nech môłów jidze.
Urôbk to wieków, płom w komudnym widze
Rozczidô wãptia bezwôrtnech wkôł narów. <...>

To żëwi môle w jich zaslédnym sztridze,
To majewi piegleszcza rodnech starów,
Oliwa brzadnô, paradnica zdarów
Krejamno zwitô dzys w gradłowi szlidze.

Szerok ë dalek rozjimóm remiona.
Widzali gwiondze z môchem bądë szczëdac,
Żebë obsadzec stegne naszym mionem,

Gdze upadnq i klëczec musisz w modłach,
Opowiesc dzejów w naszech pisac godłach,
Jich miełoce na miônczi sławe przëdac! <...>

Jakuz skruszec może jego wiôlgô mielota do
naszigo dodomu, do domocëzne, czej wołô:

Moji Doma! Gdzeż ono je?
Skądkaż to wołô mie?
Doma bez chëcze z ogródkem w kwiatach,
Bez mowe dzejów o moich bratach?

Gdzeż moi Doma
Bez barnie, szłoma? <...>

Moji Doma w kaszëbszci starnie,
Westrzód swych, domôków karnie,
Gdze spiëwa, lata w mowie zwëczy starków —
Te mégo Doma nie kładzta do zarków! <...>

A z jaczim to wsczëcym pisze przë jiny orëdze:

Modri niebo tak daleczy,
Modri oczka wdôrzô mie
Moji bialczy, mojej dzeczy,
Jejich zdrowas z blëze sle.

Choc mie niebo blónem zaszło,
Dobrze wiém, co doma je.
Hejne słuńce wieczór zgasło,
Doma wzeszli wcyg mie żdze.

Modri niebo tak wësoczy,
Jego parmiń kojzdi mô —
Serce ledzci nie zasmroczi.
Pokrzës niebo wiedno dô.

Ach, to Doma mie wësniti!
Farwny jak latny porénk,
W lubną wonią kwiatów zwiti,
Wiedno jak młodi borénk!

Za ce jidë w grëdi biôtci,
Za ce së zatôrczóm wczas...
Gowôr twój i rodny gôdci
Wiedno w sercu będe pas.

Modri niebo rozparmiony
Na ubëtk naj Doma zdrzë!
Niech mdze wiedno uczestniony
Doma naji ojczëzna!

A czymże je ta ojczëzna?

Ojczëzna, to zemia
I straconô o nië krew,
To je twójô mowa,
Co o tatkach dôwô czëc.

Ojczëzna, to lase
I łakowi, snôzi kwiat,
To je twoji czëcy,
Że kaszëbszci twój je swiat.

Ojczëzna, to chëcze,
Zôgóncki i twój ogródk.
Prawo, swoji zwëczy
Żebë wiedno bëłno tcëc.

Ojczëzna, to lëdze,
Co są hewo od statat.
Dulczq wstec tu warac —
Kojzden z nich, to je twój brat...

Kaszëbskô zajimô przëdny môł w dokôzach ka-
szëbszci poeziji. Snôzi one są ë widzali. Czë

one przëscygna gón wëzbiwaniô sę swojizne?
Czë naj poece, wiestny swoji posëlezne, ten pra-
wie tema pocyskaj w przódk, że tu jidze biôtka
o bëcy? Jô móm hewo taką dbę do ti sprawie:

Më jesmë i më mdzemë wstec
Na ubrzegach naj Bôłtu
I mómë wolą hewo miec
Naj farbe czôrno-żôłti.

Më jesmë i më mdzemë wcyg
Kaszëbama z naj dëcha:

Tu nasi słôwe drëmie zbieg,
W pojmanim jesta chlëcha.

Më rozskacymë wiôldzi wid
Na urzmach nasi zemi
I dómë wiëdzą, że nasz lud
Ju oprzestôł bëc niemi.

Le żebë udbe hewo te
Zjisceniô miałe skarnie,
Barzi sę zemknąc do grëpe
Më muszimë w naj karniel{...}

Widziane z Warszawy...

Pokraśniało kwieciem rozmaitym

Ana, Anka, Aneczka, Anetka, Anusza...

Imiona dziewcząt kaszubskich. Takich jakie znamy, bo są, bo były pośród nas. Ich uśmiechy skryte, nieśmiało przywołujemy, z pamięci chcemy wywołać, by, nasyciwszy się nimi, pamiętać na wiele dorosłych już lat. Choćby i przyszło z dala od nich pozostawać, prze cie będą wspomnieniem stale acz nieuchronnie oddala jącej się młodości naszej męskiej-niemęskiej.

Hanka, Hanica, Nusza, Nulka...

Brutki, białci, białczyni. Dziewczęta naszych dni pierwszych, chciałoby się rzec — nieodległych. Owe „nieszczelnej białci” na tę okazję już i wspomnieć nie wypada. I także „tej co z inszymi psë pasë”. Już raczej tę „Barbare co o rëbokach pamięta”. I inne: te co głową są domu, jego duszą i rozsądkiem. Jego poświęceniem i przemilczeniem rozumnym spraw poniekdórych. Matki kilkunaściorga, kilkorga dzecuszków. Te co dawnymi laty przy wierze praocjów trwać nakazywały domownikom, przy obyczajach wytrwać, przy obrządkach odwiecznych kaszubskich, podtrzymujące, migotliwy bywało, ogień w kaszubskim palenisku. Lecz i rozbawione, rozśpiewane za młodu dziewczęta, i te także co haft po Kaszubach niegdyś rozpowszechniły.

Jak Teodora Fethke-Gulgowska i jej wdzydzkie hafciarki, powołujące do istnienia we wzorach haftów barwy i kształty kwiatów rosnących na kaszubskich polach i łąkach, w lasach naszych. Jak siostry Zofia i Jadwiga Ptach, Władzia Wiśniewska, jak Anna Konkel, Elżbieta Ebel i Jadwiga Kreft. I ta jedna hafciarka, osobna, jesienią życia swego postanawiająca oddać się tej sztuce z dawien dawna kaszubskiej — matka moja.

Witostawa, Damroka, Białogarda...

Przez wieki całe trwa na Kaszubach pamięć o trzech tych kaszubskich księżniczkach. Jedna z nich wręcz miano „Dzikiej Małgoški” zyskała sobie. Takie fertyczne, by rzecz ująć łagodnie, niewiasty pomieszkwały niegdyś ziemię tą wcale wówczas rozległą. Z pełnienia przywódzkiej roli późniejszymi czasami jak gdyby zrezygnowały. I z rzadka już tylko szlachetny swój profil i en face dziś wystawiają na ogólne podziwianie.

A towarzyszek mężów swych na całe Kaszuby i ościennne krainy sławnych. Hieronima Derdowskiego białka. Ta z rodzinnego poślubnego konterfektu. Stojąca u boku swego, siedzącego, męża, zwyczajem żon — Po lek z czasów zaborów w żałobnej sukni, z białym welonem na głowie. Rozalia Narloch, poetka z Karsina

wcale nie ludowa, „kaszubską Konopnicką” zwana. O jakież wyrazistej osobowości musiała być to niewiasta, twarz jej, utrwalona na zdjęciu, zdradza indywidualność nieprzeciętną, znów ubiór — kobietę dbałą o wygląd swój zewnętrzny.

Apolą, Polóna, Pola, Polesia...

Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Czy złowrogi czas naprawdę zatart po nich wszelki czas? Po łącznicze kaszubskich partyzantów Agnieszce Koszałce trwa on w naszym wdzięcznym o niej myśleniu, jeszcze i z tej racji, iż jest pośród nas ta gowidliska dziś bibliotekarka. Twarz innej łączniczki, Gertrudy Puźdrowskiej, wyraża spokój i opanowanie, gdy flankujący ją po obu stronach mężczyźni, partyzanci z „bunkra Gryfów” w Kamienicy Królewskiej, ukazują oblicza zastygłe w napięciu, którego nie odgoniła krótkotrwała przecież przerwa na wykonanie pamiątkowej fotografii. Takie były...

... Cisa, Cilka, Cesa...

Może nie w czasie gdy Bałtyk, to nasze morze, wyobrażano sobie na kształt kłęczącej, odmawiającej w skupieniu modlitwę dziewczyny, z twarzą na wschód zwróconej. Może też i nie wówczas gdy o czarownicach kaszubskich szeptało się po cichu, jako, że dużo miało być ich niegdyś w tej przymorskiej krainie. Tych co godzinami patrzeć mogły prosto w słońce bez oczu zmrużenia. Nad jedną z nich, jak mniemano, Krystyną Ceynowiną, sąd się nawet odbyć miał dawnymi czasy na Kaszubach, co znów przypominane zostało za sprawą Wandy Brzeskiej, niedawno zmarłej, wyśmienitej, choć zapomnianej nieco, pisarki, autorki „Sprawy gminy Ceynowa”, tej jedynej w swoim rodzaju powieści, bez wątplenia wartiej czytelniczego jej przypomnienia.

Pisarki inne jak i ona nie z kaszubskim rodowodem, lecz Kaszubom przyjazne, wierne, ziemi tej nierzadko oddane bez zapamiętania. Dociekać się będzie po latach czemuż to autorka „Rybaków bez sieci” i „Akwamaryny” Nina Rydzewska raz zetknęwszy się z tematem kaszubskim, już przy nim na dobre pozostała. To tak jakby w stosunku do Conrada pytać o źródła jego, zdeklarowanego niegdyś szczura lądowego, nagle fascynacji morzem, jak Byrona posadzać o orientalne snobizmy, Paula Cazin — „Kazinka” podejrzewać o polskie pochodzenie, Jerzego Putramenta o to, że jest rodowitym opolaninem. Z wielu wszak strun składa się ludzki instrument: rzecz w tym ile z nich bywa potrąconych.

Disa, Beta, Bietka...

Autorka „Wyspy”, powieści już dziś nieledwie klasycznej, Róża Ostrowska „od tych wzgórz malowanych zbożem rozmaitem” przybyła niegdyś w podobne tamtym pejzaże. I pośród nich doczekata końca dni swoich, tak bardzo z ziemią swą z wyboru sprzęgnięta, odczuwająca ją całą sobą, choć przecie tamtą pierwotną w powidokach przechowującą.

W dorosłości, wolno mniemać, za pióro sięgnęła Anna Łajming. Widząca te swoje południowo-wschodnie Kaszuby, krainę Gochami zwaną, od słupskiej strony. Tak wyraziście ją widząca jak gdyby nigdy się z nią choćby i na krótką chwilę nie rozstała.

Jelża, Julia, Julena, Juliszka...

I jeszcze panie rozumne, te spod znaku „mędrca szkiełka i oka”. Badaczki Kaszub rozliczne. Bożena Stelmachowska od tej toruńskiej strony, Kutrzeba-Pojnarowa wręcz od warszawskiej, te, czy nie spod znaku Panny, w otoczeniu prof. Stieberta pozostające — Zuzanna (Topolińska), Hanna (Popowska-Taborska), Jadwiga (Zieniukowa), Ewa (Feleszko), Kwiryna (Handke). I jeszcze z maszoperiami wojująca nadwyraz konsekwentnie Jadwiga Kucharska, gdańszczanki liczne: Urszula (Kęsikowa), Jadwiga (Kuszczyńska)... I te inne, bo wszystkie wyliczyć nie sposób.

Kaszycą, Katinka, Katarzyna...

Na ziemi, gdzie latarnię morską od imienia żeńskiego zwą kaszycą, na Kaszubach tworzą swe „obrazy na szkle malowane” gnieźdźewskie Bosmanki — matka i córka czwórka. Tamże pomieć po ojcu swym utrwala Damroka Majkowska, zaś „ciocia” Bystron za sprawą zespołu „Kaszuby” z Kartuz, w nim zaś roztańczone, rozśpiewanych dziewczątek, stawna jest dziś na Polskę całą i przybaltyckie kraje na dokładkę. To tutaj także dziewczęta z fabryki fajansu w Lubianie wymalowują na porcelitowych naczyniach, wazonach, serwisach różnobarwne kaszubskie wzory. Inne zaś wzory, te Kazimierczakowe, wzorcowo kreśli Stefania Liszkowska-Skurowa. Znow Leokadia Trepczyk mężowi swemu wytrwale w jego życiowej drodze poety towarzyszy, swój udział mając w znacznym rozbawieniu kaszubskiej diatwy.

Matika, Malita, Mica, Mita...

Na tej ziemi gdzie wciąż jeszcze żywa jest przypowieść o kaszubskiej Balladynie znad Gowidlińskiego Jeziora, na której mory dręczące ludzi pod postacią dziewcząt bywają ukazywane, tutaj także wykwitają wciąż nowe, kwiatom podobne, wdzięczne dziewczęta.

Takimi nam pozostańcie: Ireny — prawniczki, Elki — działaczki, Krystyny — poetki i poetom muzy.

RYSZARD CIEMIŃSKI

Jan Walkusz

Słowa cepli
jak scëśniący rączy
i lubotni
jak wezdrzenie mulka
barwni
jak zelonosc môja
i prosté
jak usmiéch dzecka

chtëż tëch słów
nie weznie
— delikatnëch
jak zetkniącë dënëdži
ze strądem
a mocnëch
czôj wiôldzi
sztorm

BOLESNI RACHUNK

Licę słowa
jak
okriszinczi chleba
jak
złotë oczë
na modréj
plachce nieba
licę të
co wiôlgosc
i moc stolema
mają
co jak
letni wieczór
strënama
prôwde i milczenigo
grają
licę téz të
co słowama nie są
chtërne blós
melodię gorzu
i zlosce rżnq

— mój
rachunek
zaczinóm
wcąg od nowa
chcę rzec wynik
— nie móm SŁOWA

Józef Dambek, syn Józefa

Konrad Ciechanowski

Późnym wieczorem 4 marca 1944 roku od strony Sikorzyna w kierunku Tasów pod Gołubiem Kaszubskim biegło przez pola dwóch mężczyzn. Za nimi, ścigając ich, podążało kilku żandarmów i trzech gestapowców. Mężczyźni stale powiększali odległość dzielącą ich od Niemców. Tuż przed lasem jeden z uciekających przystanął.

– „Jur”, dalej już nie mogę – złapał towarzysza za poly kurtki.

– Musisz! Już niedaleko. Aby tylko do lasu, za tory kolejowe – odpowiedział „Jur”.

W tym momencie usłyszał:

– „Lech”, jesteś aresztowany. Nie uciekniesz, teren jest obstawiony.

„Jur”, nazwany „Lechem”, odwrócił się raptownie. Zaskoczony stał przez chwilę bez ruchu, ale błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Doskoczył do drugiego mężczyzny.

– Ty szpiclu – wyrzucił z siebie i silnym pchnięciem powalił go na ziemię.

Spojrzał w stronę Sikorzyna. Ścigający ich żandarmi byli niedaleko. Ruszył szybko w kierunku lasu, wbiegając na tory kolejowe. Powalony podniósł się na kolana i nie wyjmując pistoletu z kieszeni, strzelił oddalającemu się w plecy. „Jur”, trafiony, zachwiał się, upadł i stoczył w dół w kierunku jeziora. Zaciśnął rękę na pistolecie, którego nie mógł już wydobyć z kieszeni. Zabójca doskoczył do leżącego i wyszarpnął mu broń. Odwrócił go twarzą do góry.

– „Lech” – zwrócił się do leżącego – podaj prawdziwe nazwisko, a daruję ci życie.

W odpowiedzi usłyszał jednak tylko:

– Ty psie, hitlerowski szpiclu.

Były to ostatnie słowa leżącego. Jego morderca spojrzał w stronę ostrożnie zbliżających się żandarmów. Otarł pot okrywający mu ze strachu i zmęczenia twarz i oddał kilka strzałów w powietrze. Czekał, aby żandarmi i gestapowcy podeszli bliżej. Następnie odrzucił broń i podniósł rękę do góry. Do pierwszego z żandarmów, który nadbiegł, powiedział po niemiecku:

– Ich bin Unterscharführer Hans Kassner aus dem Gestapo aus Danzig und da liegt der Hauptkommandant des Greifs Pommerllan. Er ist schwer verwundet, aber wir müssen ihm helfen, weil er noch ein paar Stunden leben muss. (Jestem Unterscharführer Hans Kassner z gestapo z Gdańska, a tam leży główny komendant „Gryfa Pomorskiego”. Jest ciężko ranny. Musimy mu pomóc, ponieważ musi jeszcze parę godzin żyć).

Słowa te żandarma zaskoczyły. Nachylił się nad leżącym i stwierdził:

– Er ist tod. (On nie żyje).

W tym czasie zbliżyli się pozostali ścigający. Gestapowcy pogratulowali Kassnerowi ujęcia „Lecha”. Unterscharführer był jednak niepokieszony.

– „Lecha” miałem ująć żywcem – tłumaczył.

– Teraz nie otrzymam obiecanej nagrody.

– Bądź zadowolony, że ty żyjesz – pocieszało go koledzy.

W kilka tygodni później w ściśle tajnym Biuletynie Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy – nr 3 z 21 maja 1944 roku, przeznaczonym dla wyższych dowódców SS i policji, w rozdziale „Polinsche Widerstandsbewegung” (Polski ruch oporu) Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, Urząd IV informował, że w ciągu kwietnia w wyniku przeprowadzonej akcji zdołano aresztować 43 czołowych działaczy Tajnej Organizacji „Gryf Pomorski”, a wśród nich: ks. Leona Dögnera – kapelana Rady Naczelnej i mgr. Jana Białego – kierownika Wydziału Administracji Państwowej i Samorządu w Głównym Biurze Organizacyjnym. Dalej była mowa, że zdobyto szereg dokumentów dotyczących przygotowania do przyjęcia zrzutów broni. Informacja kończyła się klauzulą: „Przez rozbięcie kierownictwa organizacji „Gryf Pomorski”, a szczególnie przez unieszkodliwienie głównego komendanta „Lecha” kontakty organizacji zostały zerwane, w wyniku czego w najbliższym czasie nie należy się liczyć z możliwością zrzućtów broni”.

Od tamtych tragicznych wydarzeń minęło 35 lat. Nikt dokładnie nie wie, gdzie „Lech” został pochowany. Jego zabójca twierdził na rozprawie sądowej w 1954 roku, że spoczywa na Zaspie w Gdańsku. Kiedy w Święto Zmarłych zapalamy świeczki na grobach naszych bliskich, na grobach pomordowanych i zabitych, na mogile „Lecha” one nie płoną. Wciąż nie wiadomo gdzie się ona znajduje.

Cóż dziś w ogóle wiadomo o „Lechu”? Niestety niewiele więcej, niż w tamtym okresie wojny. Najogólniej tylko to, że był założycielem Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i jej kierownikiem. Nikt z historyków nie podjął się bowiem dotąd opracowania biografii „Lecha”. W pracach na temat „Gryfa Pomorskiego” wspomina się tylko, że „Lech” to Józef Dambek, z zawodu nauczyciel. Więcej jest natomiast różnych ocen jego postępowania i działalności w latach okupacji, jako kierownika organizacji. Bo „Lech”,

czyli Józef Dambek, miał jak każdy inny człowiek nie tylko przyjaciół i zwolenników, ale również przeciwników. Toteż nawet te skromne, do-tychczasowe notatki biograficzne, oparte przede

wszystkim na relacjach, różnią się znacznie. Szczególnie drastycznie, gdy oceniając „Lecha” opierano się na zeznaniach jego mordercy Hansa Kassnera vel Jana Kaszubowskiego.



W 1867 roku, 3 września, w miejscowości Zdroje, w ówczesnym powiecie świeckim, w rodzinie Dambków — właścicieli niewielkiego, siedmiohektarowego gospodarstwa rolnego, urodził się syn, któremu dano na imię Józef. Trudno dziś powiedzieć coś więcej o tej rodzinie, poza tym, że panowała w niej polska świadomość narodowa, którą rodzice wpajali swoim dzieciom, broniąc je przed germanizacją. Kiedy Józef Dambek dorósł i miał być powołany do wojska, w rodzinie Dambków zapadła decyzja: Józef nie będzie służył w wojsku pruskim. O sposobie uchylenia się od tej służby zdecydował sam Józef — postanowił wyemigrować do Ameryki. O samej podróży, przygotowaniach do niej brak bliższych informacji, poza tą jedną, że wyjechał w 1886 roku. Nie wiemy również w jakiej części Ameryki się osiedlił, gdzie i w jakim zawodzie pracował. Przebywał tam pięć lat i powodziło mu się nie najgorzej; musiał być energiczny i przedsiębiorczy skoro dorobił się małego kapitałiku. Tesknął jednak za krajem i już w 1891 roku wrócił do ojczyzny, do rodzinnej wsi Zdroje w Borach Tucholskich.

Zaoszczędzone pieniądze pozwoliły mu na otwarcie, jak to się wtedy mówiło — sklepu kolonialnego. W sklepiku jego poza artykułami spożywczymi można zresztą było kupić wszystko czego potrzebowali mieszkańcy Zdrojów. Mieszkańcy wsi odwiedzali sklep Józefa Dambka również po to by posłuchać o powiadań o życiu w dalekim kraju, niewielu z nich wyjeżdżało bowiem dalej niż do Tucholi czy Świecia, kilku zaledwie było w Westwalii. Dambek opowiadał barwnie, i nie tylko o Ameryce, ale także o Polsce, która była kiedyś mocarstwem, a przede wszystkim o tym, że znowu przyjdzie czas, gdy Polska powstanie. Ze był człowiekiem towarzyskim, więc nigdy mu słuchaczy nie brakowało. Dużo też czytał i pisywał różnego rodzaju pisma mieszkańcom wsi.

Nie wiadomo, czy już przed wyjazdem do Ameryki, czy też dopiero po powrocie poznał Matyldę Szczęsną z sąsiedniej wsi Lniano, córkę bogatego gospodarza, urodzoną 10 marca 1872 roku. W każdym razie w rok po powrocie — w 1892 roku, zawarł z nią związek małżeński. Po ślubie przez następnych dziesięć lat prowadził swój sklepik. W Zdrojach urodziło się sześcioro jego dzieci. Pierwsza córka, Anastazja, która przyszła na świat w 1893 roku, zmarła w wieku dziecięcym. Podobnie pierwszy syn Antoni, urodzony w 1898 roku. W roku 1894 urodziła się Teresa, a w dwa lata później znowu córka, Bronisława, po czym w 1900 roku Monika. Po trzech latach, 7 lipca 1903 roku, rodzina powiększyła się o syna, który otrzymał imię ojca — Józef. W rok po urodzeniu się Józefa Dambkowie przeprowadzili się do Sierosławia. Tu również, do 1910 roku, Józef Dambek — ojciec prowadził sklep. W Sierosławiu w rodzinie Dambków przyszli na świat jeszcze dwaj synowie: Hieronim, urodzony w 1906 roku i Paweł, urodzony w 1909 roku.

W 1910 roku Dambkowie kupili w Gackach, w powiecie świeckim, niewielkie gospodarstwo i nieczynną młeczarnię, którą Dambek zamierzał uruchomić. Wymagało to jednak zezwolenia władz administracyjnych, a Niemcy niechętnym okiem patrzyli na przedsiębiorczego Polaka. Poza tym dał się im poznać jako Polak świadomy; chociaż nie mogli mu zarzucić oficjalnej wrogi przeciw państwu pruskiemu działalności, podejrzewali, że odegrał niebagatelną rolę w czasie strajku szkolnego. I nie tylko to. Był Józef Dambek jednym z bardziej aktywnych lokalnych działaczy polskich. Toteż teraz, bez uzasadnienia władze powiatowe na uruchomienie młeczarni nie dały zgody. Licząc na to, że zechce odzyskać pieniądze, zaproponowali mu natomiast jej wykup, wraz z gospodarstwem, przez Komisję Kolonizacyjną. Jednak Dambek nie ustąpił. Wniósł sprawę do rozpatrzenia

do sądu w Grudziądzu, a gdy sąd oddalił jego protest i utrzymał decyzję władz administracyjnych — skierował odwołanie do Sądu Krajowego (Landgericht) w Kwidzynie. Ale nim jego sprawa została rozpatrzona doszło do nowego zatargu Dambka z niemieckimi władzami administracyjnymi.

Fragment książki biograficznej roboczo zatytułowanej „Józef Dambek, założyciel i kierownik Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski”, która ukaże się w bieżącym roku nakładem Oddziału Gdańskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

W domu Dambków w Gackach urodziła się kolejna córka, której postanowiono dać imię Joanna. Niemiecki urzędnik pruskiego urzędu stanu cywilnego w Drzycimiu, działający zgodnie z zarządzeniem kanclerza Rzeszy księcia Bernharda Bülowa, które zabraniało używania w dokumentach polskiej pisowni imion, napisał imię dziecka Johanna. Dambek odmówił podpisu w akcie urodzenia. Urzędnik odnotował więc w księdze, że ojciec podpisu odmówił, ponieważ imię dziecka zostało zapisane po niemiecku. Tym samym Dambek jeszcze bardziej naraził się pruskim władzom administracyjnym. Gdy doszło do rozpatrzenia odwołania Dambka w sprawie zezwolenia na otwarcie młeczarni, Sąd Krajowy w Kwidzynie został też poinformowany o jego buntowniczej postawie, przeciwstawianiu się zarządzeniom samego kanclerza i — zalecił władzom administracyjnym wydanie zezwolenia na uruchomienie młeczarni w Gackach, ale pod warunkiem, że jeżeli później wnioskodawca zrezygnuje z jej prowadzenia prawo pierwokupu i młeczarni i gospodarstwa będzie miała Komisja Kolonizacyjna. Ponadto: po śmierci właściciela nie będzie mógł nikt ani młeczarni, ani gospodarstwa dziedziczyć, przejdą one na własność Komisji. Chociaż uruchomienie młeczarni w Gackach mogło dać Dambkom większe dochody, warunku tego nie przyjęli. Nie chcieli ani teraz, ani później polskiej ziemi i polskiego dobra oddać w ręce niemieckie.

Dawano również Dambkowi do zrozumienia, że wyrok mógł być inny, gdyby nie uczestniczył tak aktywnie w polskim życiu. Nie wpłynęło to jednak na jego dalszą postawę. Mimo, że niewielkie gospodarstwo z ledwością zapewniało utrzymanie rodziny, liczącej w tym czasie dziewięć dzieci, Józef Dambek nadal dużo czasu poświęcał na bezinteresowną pracę społeczno-polityczną. Chociaż sam ukończył tylko szkołę ludową — dużo czytał i był stosunkowo dobrze zorientowany w problematyce prawnej. Wielokrotnie występował do pruskich władz administracyjnych: pisał okolicznym chłopom podania i odwołania od krzywdzących ich decyzji władz lokalnych. Nazywano go też „rechtsanawatem” (adwokatem).

Mieszkanie Dambków było miejscem spotkań nie tylko chłopów z Gacków, ale także z sąsiednich wiosek. U Józefa Dambka można było zawsze pożyczyć polską książkę, czy „Gazetę Grudziądzką”, był on bowiem od samego początku jej prenumeratorem, a wcześniej — „Szkoły Narodowej”. Potrafił interesująco opowiadać o historii Polski, o dniach jej chwały. Na drzwiach w jego mieszkaniu wisiała mapa Europy, na której były uwidocznione granice Polski przedrozbiorowej. Był też aktywnym członkiem Towarzystwa Czytelni Ludowych i organizatorem różnego rodzaju wieców polskich, tak rocznicowych, związanych z wielkimi wydarzeniami z historii Polski, jak protestacyjnych, w okresie strajku szkolnego. Jako stały prenumerator „Gazety Grudziądzkiej”

wstępuje Dambek w 1912 roku do założonej przez wydawcę tej gazety, Wiktora Kulerskiego, Polsko-Katolickiej Partii Ludowej. Na ile można wnioskować z opinii ludzi jeszcze go pamiętających — co partii tej przyciągnął go nie tyle przymiotnik: „katolicka” w nazwie, co przede wszystkim jej bojowość i akcenty radykalizmu.

Od 1912 roku, w którym ostatecznie przegrany został spór w sprawie uruchomienia mleczarni, a dochody z małego gospodarstwa przestały wystarczać na utrzymanie dziesięciorga już dzieci (w Gackach urodziło się bowiem również ostatnie dziecko Dambków, córka Leokadia), Józef Dambek zaczął pracować zawodowo w filii Banku Ludowego w Drzycimiu. W dalszym ciągu aktywnie uczestniczył jednak w życiu społeczno-politycznym. Złośliwi — wspominając go — mówią czasami, że powinien był więcej dbać o rodzinę. Dom i małe gospodarstwo prowadziła wówczas jego żona Matylda. Choć pochodziła z rodziny bogatych gospodarzy umiała pracować. Dbiała o to, aby dzieci miały co jeść i w co się ubrać. Nie narzekała też widząc męża zaangażowanego w pracy społecznej dla wyższej, bo polskiej sprawy. Starala się go wyręczać wspólnie z dziećmi w pracach gospodarskich. Stawiała też dzieciom ojca za wzór człowieka, godny naśladowania. Chętnym okiem patrzyła, gdy zaczynał starsze z nich wciągać do pracy społecznej. Ich pierwszymi krokami w tej działalności było recytowanie wierszyków i udział w dziecięcych teatrzykach. Zespoły te występowały na wieczornicach i spotkaniach ludności polskiej organizowanych w Gackach i Drzycimiu.

Wybuch wojny w 1914 roku zahamował te legalne działania. W zaborze pruskim, zwłaszcza w końcowym okresie pierwszej wojny światowej, zaczęły się natomiast, nielegalne konspiracyjne przygotowania do zbrojnej walki o odzyskanie niepodległości Polski z chwilą klęski Niemiec, w którą wierzyła ludność polska na całym obszarze zaboru. Nie wiemy czy Józef Dambek brał udział w konspiracji, znając jego zaangażowanie można jednak przypuszczać, że chyba raczej tak. Z chwilą powołania Rad Ludowych jest bowiem znów aktywny — w Powiatowej Radzie Lu-

dowej w Świeciu. Zostaje także wybranym delegatem na Sejm Dzielnicowy zaboru pruskiego, który został zwołany przez Komisariat Naczelnej Rady Ludowej na dni 3 — 5 grudnia 1918 roku w Poznaniu. Następnie aktywnie uczestnicząc w działalności społeczno-politycznej, poświęca się przede wszystkim pracy oświatowej i gospodarczej. Nadal pracuje w Banku Ludowym w Drzycimiu.

W styczniu 1920 roku Dambek jest organizatorem uroczystego powitania wkraczających do Drzycimia oddziałów wojska polskiego z armii gen. Hallera. Tego dnia została zorganizowana uroczysta akademія, w której artystycznej której wystąpili, recytując wiersze patriotyczne, trzech jego synowie: najstarszy Józef oraz Paweł i Hieronim.

Kiedy Polska wróciła na Pomorze najstarszy syn Józefa Dambka, Józef, miał 16 lat. Wychowany był w gorącym patriotyzmie, pełnym oddaniu dla Polski. Wiosną 1920 roku młody Józef Dambek, niespełna 17-letni, rozpoczyna pracę, jako robotnik, przy budowie elektrowni w Gródku. Można przypuszczać, że skłoniła go do tego przede wszystkim sytuacja materialna rodziny. Z dziesięciorga dzieci był przecież najstarszym synem. Jednak marzeniem, tak ojca jak jego własnym, jest praca w szkolnictwie. Po roku Józef Dambek — junior zwalnia się też z pracy i mimo ukończenia tylko niemieckiej Volkshule (szkoły ludowej) staje do egzaminu na roczny „kurs dla nauczycieli sił pomocniczych”. Egzamin zdaje pomyślnie i 4 kwietnia 1921 roku rozpoczyna naukę w Świeciu. Na kursie jest pilnym słuchaczem, choć musi pracować dużo, bardzo dużo. Kończy kurs 9 kwietnia 1921 roku, z ogólnym wynikiem dobrym. Jego zachowanie zostaje ocenione przez kierownictwo kursu seminaryjnego jako „chwalebne”.

Po ukończeniu nauki Józef Dambek wrócił do rodzinnego domu w Gackach, aby po 15 dniach odpoczynku rozpocząć samodzielne już życie jako nauczyciel. Tak spełniło się marzenie jego ojca, który widział w nim swego następcę w pracy oświatowej i społecznej dla ludu polskiego na Pomorzu. Dla młodego nauczyciela ojciec, który bez reszty oddał się sprawie społecznej, był wzorem do końca życia.

Ze Słownika Sychty

Prawo ludowe i etyka ludowa

Opracował Jerzy Treder

W Sychtowym Słowniku kilkadziesiąt razy pojawia się kwalifikator „prawo ludowe”. O ludowym prawie nie wspomniano jednak pod hasłem prawo (t. IV, s. 161) czy zwęczôj i zwęk (t. VI, s. 252), pod którymi mówi się o uświęconych tradycjach zwyczajach: Cò to piérwi bëło rozmajitých zwęków na Kaszëbach. Tu też utarty zwrot: jic za stòrim zwëkem, tj. postępować według starego zwyczaju. Do prawa najogólniej odnosi się przysłowie Gdze nick ni ma, tam cysòrz prawo tracy (Puzdrowo) I 130, też w wersji Dze nick ni ma, król tracy prawo (III 256).

W związku ze zwyczajem chłostania różgami kobiet, szczególnie dziewcząt i młodych mężatek przez młodzież męską w poniedziałek wielkanocny, czyli tzw. dëgusami I 193 pozostaje prawo lu-

dowe: Czié dzëwczëcu udało sę z jizbë wëdostac do sjiniëgo chléwa i wëpuszczë sjinie, té wszelcziego dëgowaniëgo bëł kuńc. Dëgurze brele dëguszi pod pôchë, ju nie żdelë za dëgowónym, le zmikelë v nodzi, bo sjiniów oni jednak nie chce lë dëgowac. Przed taczim dëgurzem, cobë sę odwôził dali dëgowac, bëłë na drëdzi rok zamknięté wszëtczëzi dwiërze we wsë (Puzdrowo) I 195. Ze Sławoszyna Sychta notuje: Tak długo mógł białkę dëgowac, poczim ona bëła w łózk, a chocbë ona z łózka wëskokła, le czië ona bëła boso. Skorno ona nogawice oblekła, té dëgownicë tracëlë prawo do dëgowaniô. Bël zòkòz dëgowac, ëzle białka bëła wstònô a uporôja (III 28).

Przyjmowanie służby: Piérwi na Michała godzëlë służbë (I 335). Gdzie indziej Sychta traktuje to

jako zwyczaj: *Na świętego Michała rzidzëlë wic piérwi dzéwczë, a na świętego Môrcëna parobków* (pn) III 165, też: *Więc piérwi rzędzëlë czelôdz na świętego Môrcëna, zôs potemu colemało na Nowi Rok* (IV 391). *Wic piérwi urzëdzënë* (godzenie służby) odbiwalë sę w Môrcëna i Michała, późni w Stari Rok (Puckie) VI 32. Z tym zwyczajem czy nawet prawem wiązą się pewne utrwalone zwroty, np. *zrobic môrcynczi, tzn rzucić robotę, służbę przed terminem* (Kępa Żarnowiecka) III 49 czy *zrobic michalska*, czyli odejść, czy nawet uciec ze służby przed św. Michałem (Kępa Swarzewska) III 166. Wspomnijmy wreszcie o *bożôku*, tj. napiwku dawanym służbie z okazji godzenia jej do pracy: *wzác bożôka* – zgodzić się na służbę sezonową oddać bożôka – zerwać umowę o wstąpienie do pracy (I 52).

Prawa dotyczące wypasu: *Na niczëjiznie kôzdi mógł pasc, chto chcôł. Po świętim Michale wszëtcië pola bëlë niczëjizną* (Odargowo) III 258. *Po świętim Michale wszëdze pôsalë*, albo jak mówiło przysłowie: *Święti Michôł grańce rozpichô* (śr,pd) *II otmikô wrota* (pn), czyli po św. Michale wolno było wszędzie paść poza własnym polem (I 354, IV 40). Pod hasłem *grañca* (I 354) pisze się nadto: *Grańca mô dwa kuńce i o te kuńce lëdze sę nôwięcy prawują* (Podjazdy). Tradycja ludowa głosi, że *jak jesz greńców nie bëło, to sę lëdze o ziemię bilë jałowcowima czijama* (Puzdrowo).

Z granicą wiąże się inne prawo ludowe, które nakazywało orszakowi weselnemu udającemu się na ślub stanąć *na grańcy wsy i zatańcowac trzë tańce* na znak pożegnania panny młodej jako dziewczyny z gromadą, orszakowi zaś wracającemu od ślubu nakazywało na tym samym miejscu znów zatańczyć trzy tańce na znak powitania nowożeńców przez gromadę i przejścia ich do społeczności kobiet zamężnych i mężczyzn żonatych (Lisewo). Dodajmy, że granica odgrywa wielką rolę w zwyczajach pogrzebowych, w wierzeniach o duszach pokutujących i w magii (I 355).

Prawo ludowe związane z pracami na roli. Za robotę przy kopaniu ziemniaków względnie wrywaniu brukwi pracownicy otrzymywali niegdyś *krôj* (skraj pola), na Kępie Żarnowieckiej otrzymują jeszcze dziś (II 234). Za związanie ostatniego snopa żniwiarka otrzymywała kiedyś od gburą miskę mąki i bochen chleba, a za wykopanie ostatniego krza ziemniaków kosz kartofli (śr, pn-zach) I 25–26. Odwołać się tutaj można do zwyczaju ujętego w zwrocie *zajca uchwacëc*, tj. zakończyć kopanie ziemniaków, *zajc* bowiem znaczy również 'ostatni krzew ziemniaków'. Otóż kto pierwszy schwycił *zajcã*, ten otrzymywał w nagrodę bochenek chleba (pn) VI 173. W związku z wykopaniem ostatniego krza ziemniaków pozostaje zwyczaj: *Chłopiec upatrzywszy sobie dziewczynę stara się jak najprędzej ukończyć swą lëchę* (redlinę), ażeby *zajść* dziewczynę z przodu i pomóc jej w kopaniu, bo wie, że otrzyma za to *całusa* (II 319).

Prawo ludowe: *Kruszewé* (opłata za pokrycie krowy) *le sę rôz płacy. Cziej krowa nie ostónie, tej kruszewého sę nie płacy drëdzi rôz* (pn) II 267.

Prawo dotyczące opłat za usługi weselne. *Kucharka gotująca na weselu nie otrzymywała osobnego wynagrodzenia, tylko drobne datki zebrane wśród weselników* (II 288), skąd zwyczaj: *Z chochlq kucharka chodzi na weselim i zbiërô piëniëdze* (II 44). Podczas wesela muzykant zbierał *piëniëdze* datki w glinianą miskę. Innych *piëniëdz* nie otrzymywał (Kępa Żarnowiecka) III 146.

Prawo ludowe: *Ten, co trôwë zesecze na odezrmim* (granicy na szczycie zbocza), *ten ję pierszi bierze* (Puzdrowo) III 286.

Przejęcie gospodarstwa. Nie zawsze otrzymywał najstarszy z synów gospodarstwo, lecz czasem ten, który sę *nôbarzi na gbura nadaje*. W tym celu urządzał niegdyś *ojciec pewnego rożdzaju zawody między synami* będącymi jeszcze w wieku chłopięcym, wyjeżdżał mianowicie z nimi orać pole, gdzie najstarszemu oddawał *pług, lejce i bat*, które młodsi bracia starali się mu odebrać. Jeśli najstarszy syn zdołał je utrzymać w garści, stawał się następcą ojca, jeśli zaś nie, gospodarstwo dziedziczył najmocniejszy, który pokonał i odsunął od siebie braci, a sam opłaniał konie i pług. Identyczne prawo ludowe znają także Kociewie (III 333).

Z faktem przejścia po ojcu gospodarstwa pozostaje w związku prawo ludowe o tzw. deputacie, dochlebiu, starkowiźnie itp. O ile najstarszy syn albo w niektórych wypadkach także córka otrzymuje gospodarstwo, spłacają oni resztę rodu, podczas gdy rodzice usuwają się na starkowiznę. Idący na starkowiznę rodzice *wëmôwiają* sobie zwykle pomieszczenie w postaci starkowścięgo *kuńca*, czyli połowę chaty lub samej tylko *starkowści* *jizbë*, ponadto opał, *parę régów bulew* (redlin ziemniaków) długości 15 stóp, mleko, a niekiedy nawet krowę, oraz rozmaite świadczenia w naturze, m. in. furmanki do kościół lub do miejsc odpustowych. Ponieważ starkowizna bywa, a raczej bywała niegdyś dość wielka, ciążyła na gburstwie przez długie nieraz lata, stawała się ona powodem częstych zatargów rodzinnych i procesów. Porównaj nadto: *Przôdë dzelëlë môł* (gospodarstwo) *na partë. Kôzde dziecko dostało swój part w myśl przysłowia: Kuli dzeczy, tëli partów* (IV 35).

Prawo ludowe na Kociewiu nakazywało jeszcze około r. 1900 dawać służbie trzy razy w tygodniu, mianowicie we wtorek, czwartek i niedzielę jako dodatek do obiadu *sajt*, czyli dużą skibę razowego chleba, a na niej *glónek*, czyli kawał mięsa. Było to tzw. *dochlebie* (I 225).

Jako prawo ludowe funkcjonował również zwyczaj następujący: *Chłopiec biorący za żonę dziewczynę z innej wsi musiał parobkom ti wsë wëdac statk piwa, w przeciwnym razie nie wëdalë mu dzëwczëca, a jego samého zbilë na kwasné jabko* (Kępa Żarnowiecka) VI 136.

Prawo ludowe o złodziejach i niewiernych żonach. Niegdyś oprowadzano złodzieja po wsi z rzeczą skradzioną i wołano: *Wëchodzta, przëpatrzta sę na złodzeja*. Oprowadzał go zwykle sołtys w towarzystwie dwu *przisëżnëch* (ławników) (Zabory). Podobny los spotykał niewierną żonę, mężczyzny zaś, który zdradzał żonę, nie piętnowano publicznie (Zabory) VI 235. Porównaj poza tym zwyczaj *wëswięcëc gapę*, czyli wy-

wieść kobietę lekkich obyczajów za granicę wsi wśród bicia w patelnie. Wywożono ją na wozie do gnoju, zaprzężonym w woły lub na taczce. Prawo ludowe zakazywało jej wracać (Chmielno) I 301.

Prawo ludowe w rybołówstwie: *Bit*a (przedmiot wyrzucony na brzeg przez morze) je tego, co je należe (Przymorze) VII 14. To, co *rëbòk* złapòł, *nòlëż* do niego, ale *wëgorz*, co mu sę zeslizgnął z *bòta* i *ucekł*, *nòlëż* do tego, co go złapòł (Przyjezierze Żarnowieckie) VI 224. Przy połowie siecią włókową, np. niewodem, właściciel względnie dzierżawca jeziora brał sobie *rëbë* z *dupë* (końca sieci, matni), a *rëbë* ze skrzydeł *bëlë dlò najëtëch chłopów*. Podobne prawo istniało na Kociewiu (VII 56). Charakter prawa ludowego posiadały następujące zwyczaje: Od połowu łososi ksiądz w Jastarni otrzymywał dawniej jedną czwartą, czyli tzw. *mëdel*, kościół zaś dwa mędle (III 26). Połowę pierwszego połowu łososi w dzień św. Józefa otrzymywał w Kuźnicy ksiądz (III 251).

Prawo ludowe – jak świadczą powyższe przykłady – silnie tkwi w prastarych zwyczajach, które za Sychtą przedstawione zostaną później. Niniejszy fragment zakończmy paroma przykładami etyki ludowej, łączącej się zwykle z wierzeniami,

do których w Słowniku Sychty jest moc materiału. A więc z etyki ludowej:

Topielcowi, którego wyrzuciło morze, można wszystko zabrać. *Cziej jes mie obrabowòł, tej mie pochowi* – zdaje się mówić *denat*. W przeciwnym razie *topiëlc* bądze tak długo strószil, jaż go sę po chowie. Pogrzeb powinien się odbyć w największym milczeniu i bez oglądania się poza siebie należy wracać do domu, inaczej można dostać pręgę na twarzy (Hel) V 369.

To *bél grzech*, *chiejbë bialka przódë nosëła jeden warkocz* (Rewa). *Wiksi grzech* je szczëptę *tobaczi zesëpac* na ziemię, niż kawał chleba *rzëcëc* w błoto, bo *chlëb* zebierzą *płószczy*, a *tobaka* sę zniszczi (Kępa Żarnowiecka). To je *grzech rozlewac mlëko*. *Grzech* je zabic *skowronka*, *bocóna* abo *jaskuleczkę* (I 376).

Grzeszi, *chto rechuje pączczy i kwiatë* na drzewach, abo *stëbla zbożëgo* na polach (Mojuszowska Huta). *Smiertelno grzeszi dzëwcę, co gwiżdże: jak dzëwcę gwiżdże, to djòblë sę tak ceszą, że jaż całë piekło drzi* (Łapalice) I 377.

Niektóre z tych poglądów łączą się z kultem zwierząt i roślin, inne zaś z przesądami. O tym również wiele spostrzeżeń dostarcza Słownik ks. dra Bernarda Sychty.

WSPÓLNY INTERES

Z satysfakcją przyjąłem wiadomość o rozstrzygnięciu konkursu na reportaż prasowy, ogłoszony przez Waszą Redakcję wspólnie z Oddziałem Gdańskim Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego oraz Wojewódzkim Ośrodkiem Kultury – wyrażając głębokie przekonanie, że plon konkursu przyczyni się w istotny sposób do spopularyzowania wśród społeczeństwa naszego kraju piękna Ziemi Kaszubskiej, problemów jej mieszkańców, codziennej ciężkiej pracy rybaków, marynarzy, stoczniowców i portowców.

Jest naszym wspólnym interesem dalsze pogłębianie już wypracowanych form popularyzacji piękna i wartości kultury kaszubskiej, trosk i radości mieszkańców regionu kaszubsko-pomorskiego, ludzi morza a szczególnie rybaków, propagowania piękna krajobrazu i unikatowych wartości przyrodniczych i re-

LISTY

kreacyjnych terenów wchodzących w skład Nadmorskiego Parku Krajobrazowego.

Pragnę zapewnić Obywatela Redaktora, że w miarę posiadanych możliwości, wesprę każde działanie Waszego Zespołu, zmierzającego do realizacji tych szczytnych celów. (...)

GERHARD SIKORA

Naczelnik Miasta Władysławowa

Pamiętnik (15)

Urszula Olszewska

5 marca [1936]

Jestem zupełnie sama. Ojciec wyjechał na 10 dni do Torunia na jakieś kursy.

W sobotę ma Zbyszek imieniny. Mam koniecznie pójść, ale mi się nie chce. Jakoś się tam wymówię. Sama nie wiem, dlaczego nie mam chęci tam pójść.

Kinia oddaje mi czasem w szkole listy od Zbyszka, w których są fotografie. Zbyszek jest pod względem wykształcenia dziecinny. Nie bardzo umie pisać listy i czasem zdarzają mu się błędy ortograficzne. Już teraz żałuję za tamto. Gdyby to był kto inny, ale taki „mały Zbyszek z błędami ortograficznymi”...

9 marca

Dziś znów inaczej myślę. Zbyszek był wczoraj. Siedzi mi na kanapie.

— Widzisz, jak ja będę chciała, to cię pocałuję, a inaczej nie.

— No to chciej!

— Kiedy nie chcę. Ja cię wcale nie lubię, Zbyszku.

— Naprawdę?

— Ani trochę!

— Zupełnie nie?

— Nic, wcale nie, no... nie cierpię cię!

— No, jeszcze coś? Mów!

— Jeszcze?

— Tak.

— Jeszcze?

— Tak.

— No to masz! — I pocałowałam go w policzek.

— Ale zdaje mi się, że ja cię jednak trochę lubię.

— Tylko trochę?

— No, tyle, ile ty mnie.

— O, to bardzo!

— Wcale nie. Bo tak malutko — o!

— Skąd?! Ja cię kocham, a to jest więcej.

— Nie wierzę.

— Ty nic nie wierzysz.

— Wierzę!

— Ach, Ulka!

— Nie chcę!

Pocałowaliśmy się na pożegnanie i poszedł.

Długo myślałam o tym chłopcu, który mnie pierwszy pocałował...

15 marca

Już od dzisiaj pożegnałam się na zawsze z tą „małą Urszulką” — długi pocałunek w usta.¹

Do wszystkiego ja muszę wprowadzić trochę poezji, czaru i bajkowości. „Oni” są strasznie prozaiczni. Po prostu rozpacz!

Ciągle mam przed oczyma parę z „Ingeborgi”, Axela i Ingeborgę. Podobają mi się. Chciałabym mieć kogoś podobnego do Axela, który by mi bajki (tak!) o leśnych duszkach i kwiatach opowiadał — chciałabym mieć kogoś zupełnie podobnego do Axela.

A „oni”? Jak mają powiedzieć np. małą bajeczkę, to tak jest: „Była sobie maleńka królewna Ula i i... dalej nie wiem”.

— ?!

— Ech, lepiej ty opowiedz.

„Teraz mi się już wszystkiego odechciało” — mówię w duchu.

20 marca

Ciekawa jestem, co sobie Zbyszek wczoraj o mnie myślał. Czy nie miałam humoru, czy co, w każdym razie byłam dosyć poważna. Sama nie wiem dlaczego, ot, pewno tak mi na myśl przyszło, powiedziałam, że jakoś wątpię, że mnie kocha. Strasznie naturalnie zdumienie, przez chwilę niedowierzanie, wreszcie rozgoryczenie.

— Więc mówisz, że ja tobie kłamałem?

Milczenie.

— Wierzysz, że to wszystko, wszystko co było, to tylko tak sobie?

— Tak mi się zdawało.

— Wiesz, Ula, nie spodziewałem się tego.

Chciałabym tak naprawdę wiedzieć, czy on mnie (przynajmniej w tym czasie, bo potem to przecież przejdzie, to zrozumiałe) naprawdę kocha. Zaraz wiedziałabym, jak się do niego odnosić. Bo tak naprawdę nie wiem.

Na drugi tydzień przyjeżdża Jadzia. Cieszę się już ogromnie.

12 maja

R o w e r !

15 maja

Prawie całe święta leżałam, bo mam anginę. Do szkoły pójdę dwa dni później niż inni.

1 VI 36

Dzisiaj byłam znów na dość długiej przechadzce na rowerze z Wisią. Pierwszy raz byłam (27.IV.) też z Wisią. Zdawało nam się, że to była śliczna przejażdżka, lecz teraz inaczej myślimy. Dzisiejsza wycieczka była cudowna. Byliśmy gdzieś daleko (Pomorska Góra). Nagle zobaczyliśmy w dali duże, błękitne jezioro. Poszliśmy, prowadząc rowery, szeroką, piaszczystą, polną drogą. Szliśmy długo. Nareszcie ukazało się jezioro. Na nim ludzie łowiący ryby, dalej półwysep z szalasek z desek.

Zdaje mi się, że to było olbrzymie torfowisko, gdyż ziemia się lekko pod nogami ugięła.

Przejechaliśmy kawałek — nagle rzeka z ślicznym, miniaturowym wodospadem! Potem pojechaliśmy kawałek naokoło jeziora, gdy wtem z niedalekiej zatoczki głośno pracując motorem wyjechała mała motorówka, a w niej jeden człowiek.

Stałyśmy zdziwione i oczarowane. Zupełnie jak w powieści. Niby: na wyspie szajka przemytników, a w motorówce ich strażnik. Motorówka skierowała się w naszą stronę. Człowiek siedzący w niej machał do nas ręką. Nie czekając, aż do nas dojedzie, wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy polną drogą na szosę i do domu.

Myślałam sobie, żeby tak to jezioro pokazać Zbyszku? Lutek i Helga pożyczyliby sobie rowery i byśmy razem pojechali, bo samej to przecież znów... nie wypada.

Żyję jednocześnie w otoczeniu kilku światów: muzyki, wycieczek, domu i szkoły, którą najmniej lubię. Jestem taka bezgranicznie szczęśliwa, bo mam fortepian. Jedyna moja, ukochana muzyka!

Już kilka „kawałków” skomponowałam. Ostatnie tango („Po co?”) nawet udane, a ksiądz Węgielewski coraz to nowe słowa do niego wymyśla.

Wokół autorki pamiętnika

Rozpoczynając druk dzienników Urszuli Olszewskiej zwróciliśmy się do czytelników z prośbą o informacje odnośnie do autorki i jej rodziny. Udało nam się skontaktować z czterema osobami, które mogły nam ich udzielić, co prawda w ograniczonym zakresie.

Ojcem Urszuli był Konrad Olszewski (w gronie blizszych znajomych mówiono do niego niemieckim skrótem Coni), urodzony w Toruniu lub pod Toruniem. Studiował chemię w Niemczech. Czy je ukończył, nie wiadomo. W każdym razie uprawnień aptekarskich nie posiadał, chociaż pracował w aptece w Wejherowie, mianowicie „Pod Orłem”, przy rynku, narożnik ul. Puckiej. W czasie wojny kilka domów w tym miejscu uległo zniszczeniu i obecnie znajdują się tam arkady. Właścicielem apteki był Niemiec, niejaki Rehfeld.

Chociaż nie miał jednej nogi, którą zastępowała mu proteza, Olszewski był zapalonym automobilistą. Posiadał nowoczesny naówczas samochód sportowy. Sprawiał wrażenie, że dysponuje znacznymi pieniędzmi, że źródeł niejasnych i podejrzanych. Nielegalnie praktykował jako lekarz, odbywał nawet wizyty domowe u chorych. Z tego powodu w okresie międzywojennym wytoczono mu sprawę sądową i został skazany na grzywnę, z apteki jednak nie usunięto go.

Należał do niemieckiej organizacji rolniczej. Często jeździł do Sopotu, mawiał, że do kasyna gry. Po polsku mówił dobrze, ale w wymowie wyczuwało się niemiecczynę. Przypuszczano o nim, że jest agentem niemieckim. Rzeczywiście tuż po wybuchu wojny ujawnił się w pełni jako Niemiec i zwolennik hitlerowskiej władzy. Nie ma jednak wiadomości, że aktywnie szkodził Polakom. Nie tylko zresztą nie zrobił kariery politycznej, ani zawodowej, lecz właśnie musiał odejść z apteki, jako nieuprawniony, zarządzeniem odpowiedniej władzy niemieckiej. Podjął wtedy pracę w firmie chemiczno-farmaceutycznej „Rhenania Werke” w Berlinie; przyjeżdżał na okupowane polskie wybrzeże jako jej przedstawiciel.

Matkę Urszula straciła, gdy była jeszcze dzieckiem. Ojciec ożenił się ponownie, i to ze siostrą swej pierwszej żony, bodaj tylko po to, aby córce zapewnić opiekę i wychowanie. Macocha miała na imię Janina, pochodziła z Wejherowa lub z okolicy. Olszewski podobno nie żył z nią i w ogóle trzymał się z boku od rodziny, prowadząc dość swobodny tryb życia, co zresztą przynajmniej częściowo znajduje potwierdzenie w zapiskach córki. Olszewscy mieszkali przy ul. 3 Maja, obecnie — 1 Maja.

Tyle streszczonych informacji odnośnie do tła rodzinnego autorki interesującego pamiętnika, których w nim brakuje. Trzeba zauważyć, że młoda wejherowianka, szczerze i obszernie relacjonując swe doznania emocjonalne, po części także intelektualne (będzie o nich więcej w dalszych odcinkach), na temat najbliższej rodziny zachowuje wielką powściągliwość.

Posiadamy zdjęcia Urszuli, jej macochy — w pamiętniku zawsze nazywanej matką — i młodego męża, który w zapisach występuje pod swym nazwiskiem, w druku jednak — pod kryptonimem; jest ono amatorskie, małe, wykonane w czasie wycieczki pod Wejherowem w czerwcu 1936 r., do reprodukcji się nie nadaje.

Mamy trzy zeszyty pamiętnika Urszuli Olszewskiej. Ostatni zapisany jest do końca z ostatnią datą 9 marca 1940 r. Możliwe zatem, że autorka dalej prowadziła zapisy, które do nas nie dotarły. Owe trzy zeszyty znalazł jakiś robotnik przy rozbiorce domu (ruiny?) w Berlinie Zachodnim, zorientował się, że pisane są po polsku i zaniósł je do Polskiej Misji Wojskowej w tym mieście. Tam stwierdzono, że dotyczą one wejherowianki i wysłano je do Gdańska. Tutaj znalazły się w naszych rękach.

Wynikałoby z powyższego, że autorka po dacie 9 marca 1940 przebywała w Berlinie, gdzie zresztą pracował jej ojciec. Co później z nią się działo, z jej ojcem i macochą — nie wiemy. Może jednak czytelnicy uzupełnią jeszcze podane tu informacje. (L.B.)

13 czerwca

Już nikomu nie pokażę Jeziora Orlego. Skończyło się. Zbyszek „chodzi z inną”.
Smutne i... śmieszne.

15 czerwca

I znów jest lato — takie jak zawsze. Tylko, że mnie się wydaje to wszystko nieprawdopodobne. Sama nie wiem dlaczego. Wszystko jest takie miłe. Już nie wiosennie-mdłe, ale pełne życia, letniego.

Za kilka dni — duże wakacje.

Byłam we Wilnie i Warszawie na tygodniowej wycieczce. Byłyśmy w Wilnie w Ostrej Bramie, w wielu kościołach, w Trokach i na kalwarij w Trypolu. W Warszawie na audyencji u pana Prezydenta.

Widziałam się z Jadzią.

Ten T.B.² teraz często z nami razem przebywa. (Chyba nie z sympatii do mnie, chociaż dał mi czerwoną różyczkę a mamusi białą.)

Dziecinny Zbyszek od czasu do czasu także bywa. Jest niezmiernie ograniczony i nudny. Odczuwam to bardzo — czy jako karę?

25 czerwiec

Coś dla mnie nowego.

T.B. nie daje nigdy odczuć, że się mną interesuje. Chociaż niektóre jego słowa?... To daje dużo do myślenia. Można to sobie różnie tłumaczyć. Może tak jest naprawdę, a może udaje... jak tamci?

Sama nie wiem, co o tym myśleć — w głowie chaos i pełno niepewnych myśli. Mam jakieś przeczucie, o

którym się tu boję pisać, po prostu dlatego, żeby się nie ośmieszać, chociażby we własnych oczach.

Jestem siódmoklasistką. Zbyszek „wsiał”. Cóż za pech! Westphal nie zdał matury, a teraz ten. Widocznie obydwa ogromnie inteligentni. Czy ja tego wcześniej nie zauważyłam?

Jeździmy z T.B., a czasem z księdzem, na dalekie wycieczki rowerem. Gdzieś w nieznane, po werstepach, lub celowo do kogoś na mleko.

Jest zawsze ślicznie!

1 lipca

T.B. dał mi pierścione — o tak, żartem, ale teraz go nie chce wziąć. Ile razy chcę go oddać, mówi: „Jeszcze trochę proszę ponosić, to będzie mnie przypominać”. Ciągłe myśleć: udaje, czy naprawdę tak myśli? — To ciekawe.

1 sierpnia

Pojutrze pewno pojedę do Brösen³. Ciocia i chłopcy już są. Wcale się na to nie cieszę. Może dlatego, że „zbierze się” miłe towarzystwo w Wejherowie. Więc: Lutek i Helga, Zbyszek i ja, Jasek i... nie wiadomo.

Jest ogromnie miło — taki prawdziwie koleżeński stosunek. Bardzo ich lubię.

13 grudnia 1936 r.

Wczoraj byłam u Jadzi na tańcówce. M. in. był też jakiś Witek. Co za śmieszny chłopiec! Widział mnie tam po raz pierwszy, a gdy bawiliśmy się w telefon, on mi nadał „kocham”.

Za co ten uważa miłość? Czy wszyscy tak myślą? Zdaje mi się, że T.B. ma o tym inne wyobrażenie. Chociaż — może i on udaje.

25 grudnia

I znów jeden rok mija! Znów jedna Gwiazdka przeszła.

Chciałabym zapisywać wszystkie bardziej wartościowe przedmioty, które otrzymuję przy różnych sposobnościach, dla kontroli dat. Na Gwiazdkę dostałam: szafę do nut, narty, pierścioneł, nuty, lampę na fortepian, dużo chusteczek, buty granatowe, dużego porcelanowego kota i ładną nocną koszulę.

Nie mam żadnych planów na wakacje. Ot, będę robić, co się nadarzy. Będzie śnieg — będę chodziła z Tonym na narty; nie będzie śniegu — będę coś innego robiła. Zobaczę, czy lepiej będzie spędzić wakacje „z planem”, czy bez niego.

Jedyne nieszczęście, że nigdy nie umiem napisać „utworów”, które „skomponowałam”.

Już drugi miesiąc chodzę na lekcje do p. Bereńniczowej. Czasem odczuwam satysfakcję, a czasem mam chęć wszystko rzucić i iść!

27 grudnia 1936 r.

O Boże! Jakże bym pragnęła, aby tamte kartki były czyste zupełnie. Bez tych słów. Bez tych strasznych słów! Czuję się jakąś niegodną.

Taka prawdziwa, poważna miłość... Wiem teraz, że ona jest czymś pięknym, ale i strasznym, naprawdę.

Jaki on jest inny, wyjątkowo inny. Przy końcu zapytał o pozwolenie pocałowania mnie w rękę. Co by ci „inni” w takiej sytuacji zrobili?!

Nigdy już! Nigdy!

Biedna, mała dziewczynko. Masz dopiero siedemnaście lat, a już takie uczucia dają tobie. A ty? Jeszcze nic. Jesteś naprawdę biedna, dziewczynko.

Czy życie twoje będzie obfitowało w takie niespodzianki?

Czy miłość naprawdę dopiero budzi się w siedemnastym roku życia?

I ja czuję w sobie piekło!

2 stycznia 1937 r.

T.B. ciężko chory leży w szpitalu.

Gnębi mnie jedna myśl. Myślałam niedawno: żeby on zachorował i umarł, wybawiliby i siebie, i mnie. Czy to się sprawdza? Ciągłe myślę, że chyba tak źle nie jest i że wnet wróci do zdrowia.

Jestem chyba człowiekiem bez serca i jakichkolwiek ludzkich uczuć. Jakoś wcale się nie czuję przejęta. Owszem, z początku przejęłam się nawet trochę, ale teraz...

Na pewno przyjdzie ktoś z jego rodziny i będą się nim zajmować. Proszę bardzo — jeden kłopot mniej!

List od Leona, który dziś przyszedł, był mi też do szczęścia potrzebny.

4 stycznia 37 r.

Stan zdrowia T.B. się pogorszył. Matka chodzi do szpitala. Mnie „nie wypada”. Jego matka też przyjechała. Czuję się odsunięta. Jest mi dziwnie przykro. Czasem myślę, że to może naprawdę zesłana przez Boga próba dla mnie.

Pomimo wszystko chciałabym jednak, żeby o mnie zapomnieli. Byłoby mi może z początku trochę przykro (nie, jak tylko zranione uczucie próżności), ale wolę to.

(cdn.)

1) To zdanie lekko ołówkiem przekreślone z dopiskiem: „Rozpacz!”.

2) W oryginale podano nazwisko, które ze względów dyskrecyjnych zastępujemy kryptonimem.

3) Chodzi zapewne o Brzeźno (niem. Brösen), dzielnicę Gdańska.

Wspomnienia z młodości ⁽⁹⁾

Anna Łajming

I znowu przyszedł czas, kiedy wieczorami zbierali się na naszych ławkach sąsiedzi z całej wsi i gawędzili. Tylko Windorpski, oparty o futrynę drzwi swego mieszkanka, cniąc fajkę, przyglądał się nam z dala. Chciałam odwiedzić chorą Martę Rekowskich bo miałam jeszcze dwie landrynki, ale był u niej jakiś człowiek z aparatem do ściągania krwi, więc zaniechałam wizyty i przysłuchiwałam się sąsiadom. Najpierw mówiono o nabożnym Teodorku, którego podejrzewano, że mógł w kościele odtrącić ramię figury Zmartwychwstałego Chrystusa, które żadnym sposobem nie można było przytwierdzić. Tylko on stał w pobliżu figury. Teoderek dowiedziawszy się o tym, tak się obraził, że od tego czasu na niedzielne nabożeństwa dreptał siedem kilometrów do kościoła w Brusach. Chłopi wciąż debatowali, czy to on zrobił czy nie? Potem zastanawiali się, gdzie podział się Murawiec, skoro wyszedł z więzienia? Zamiótł po sobie ślady jak lis, który swoje ślady na śniegu zaciera ogonem. A przecież mógłby się pokazać.

— On nie zdżinie — odezwał się Okuniewski, przeciągając się i ziewając głośno. — Mo z czego żec. Mo złoto, wróży z kartów.

— Z tych kartów napleskocze człowiekowi bele co, we łbie pomący i jesz plac — powiedziała markotnie Windorpska.

— A wiele te mu tych detków dała? — zapytał Zblewski zaczepnie. — Żeby nie on, jesz bes dzys z parchu nie welazła.

— A żebe wa ju roz o tym parchu beli sztel! — obrazila się.

— Hrabina mo prowda — odezwał się Okuniewski — z kartów łze, le sę kurzy.

— Te, Okonku, lepi powiedz — zapytał Zblewski — cze te ju nalożł tę moją secierę? Wiem, że mioles ją w pazurach, jak me ten las trzewili. No, nie wiesz? W ten som dzeń, jak żes nalesnemu cos pleskotol i smorknoł jemu na but.

Rekowski, który siedział ze spuszczoną głową, cieniutko zachichotał. Spoważniał natychmiast gdy na progu domu ukazali się znachor i jego żona, która mrugała do niego. Rekowski wstał i kulejąc podszedł do nich. Znachor żądał za wizytę zbyt wygórowaną cenę. Rekowsky zadłużył się kupując konia i centryfugę, ale „lekarz” był nieublagany. Ja tymczasem wśliznęłam się do chorej, która leżała blada i wymęczona. Na ciele miała krwawe, bolące pieczętki. Dwie landrynki, które jej podałam, chciały włożyć do ust.

Na drugi dzień rano wyjmowałam cioci z palców kolce ostu, który w polu rwała dla świń. Janek z Florianem i Antonem wałęsali się na drodze i rechotali. To z listu Alfonsa, z którego dowiedzieliśmy się, że Janek napisał mu, że do jednego z uli wszedł z wizytą do pszczoł trzmiel. Alfons odpisał, że gdyby tylko trzmiel spróbował, pszczoły by go tam tak przywitały, że wyciągnęłyby go stamtąd martwego. Alfons bardzo niecierpliwił się, że nie mógł uzyskać trzech dni urlo

pu. A zrobił wielki błąd, jak twierdził Janek. Zamiast powiedzieć prosząc o urlop, że zachorował ktoś z rodziny, powiedział prawdę, że musi zajrzeć do pszczoł, które mogą się roić. No i wyśmiano go.

Bezrobotna trójka śmiała się jeszcze Windorpskiego, któremu w drodze do kościoła spadła obroż z koła wozu i koło się rozpadło. Był też rozgoryczony, że ktoś zadenuncjował go za tajny szynk. Policja przeszukała całe mieszkanie ale wódki nie znalazła, butelki z wódką przezornie schowane były w szopie pod sianem, a papierosy w piecu. Teraz Windorpski trzyma w domu w pogotowiu zgniłe jajo, które zrzucił przez lukę strychu na tego, który wieczorem podsłuchiwał będzie pod jego oknem.

Zdawać by się mogło, że w tej małej wsi, schowanej w lesie, nic się nie działo, ale tak nie było. Każdy dzień przynosił wiele wrażeń. Punktualnie co miesiąc zaglądał do wsi domokrążca Knyba z Brus. Zmądrzał tylko, bo z góry pytał, czy chcą towar kupić czy tylko obejrzeć. Jeśli tylko obejrzeć, nie zrzucił płachty z pleców a szedł dalej. To zjawiał się jakiś żebrak, którym zapiekował się ojciec, albo jakiś pogorzelec, który z papierem od sołtysa żebrał na pobudowanie nowej stodoły lub chaty. A jeśli otrzymał jakieś grosze, musiał dokładnie opowiedzieć, jak to się stało, że wybuchł pożar? Czy nie od grzmotu? Czasami też pokazał się głuchy Teoderek z Kruszynia, aby pograć na flecie. Listonosze, Apolon Janta z Ząbowa i Mejer zmieniając się co miesiąc, przynosili gazetę i listy. Dni były pogodne a nocami przepadywały ciepłe deszcze. Toteż już na początku czerwca rosły w lesie kurki.

Wracałam raz z pełnym koszykiem grzybów z lasu i wtedy po raz pierwszy ujrzałam mamę siedzącą z innymi kobietami pod drewnianą ścianą chaty Zblewskich. A na słońcu pod ścianą chrapał z otwartymi ustami stary dziadus Zblewski, dawny żołnierz wojny francusko-niemieckiej. A że miał rentę, nikt nie śmiał mu zabronić codziennych wypraw do Windorpskiego na kieliszek. Włókł się wtedy przez podwórka na wpół zgitych kolanach czorząc drewniakami. A mama grzebała we wspomnieniach. Opowiadała o zaginionym Leterskim, którego, jak się potem okazało, zamordowano; o dobrych sąsiadach Heringach i bogatej baronowej, żonie nadleśnego z Przymuszewa, do której przylatywały gołębie i przychodziły wiewiórki. Baronowa tak bardzo pragnęła mieć dzieci, a ich nie miała, tak bardzo kochała świat i biednych ludzi a los ją tak straszliwie doświadczył. Jej mąż w czasie walk w Rosji został ciężko ranny, szrapnel rozszarpał mu biodro. Położony wraz z innymi rannymi w jakimś drewnianej chacie spalił się żywcem, kiedy trafił w nią zapalający pocisk.

Kobiety były wstrząśnięte.

— To dopiero po wojnie tacy znajomi saniteter opowiadali to temu memu, bo on tam był — dodała mama z westchnieniem.

— A ona wiedziała o tym? — zapytały sąsiadki.

— Choba nie... Bo napisali, że poległ. Tej ona ządała cało, a oni ni mogli ji go dac... Mój Boże!

Zblewska miała łzy w oczach. Mama sięgnęła do kieszeni po chustkę, ale otarła tylko nos i dodała: — Zebe nie ona, to bęm ju dawno prze Łucji boła w ziemi...

— Coż na świece z wojnami! — zawołała inna sąsiadka. — A jak wej ten Sisiela z Poloszka trzasnął Okunka sekoczem w łeb, dostał przyz. A jak we wojnie się zabijają i żewcem się palą, to je dobrze? Niech piekło spoli tego, co wojnę wemesłol.

Mama już zaczęła mówić o dużym parasolu, który został w Przymuszewie na strychu, kiedy spostrzegła na drodze kruszyńskiej zbliżającego się ojca z jakimś nieznanym człowiekiem, który pchał taczkę. Ma ma urwała rozmowę i zmrużyła oczy. A że ojciec zawsze wracał z kimś kto miał kłopoty, mama zapytała mnie, kto tam idzie? Natychmiast wstała i obie poszłyśmy do naszego domu. Był to młody człowiek z pustkowia Belfort, któremu urodziło się pierwsze dziecko, a nie miał kołyski. Wobec tego zniesiono ze strychu naszą. Przyjrzałam się jej, bo przecież ona nas wszystkich wykołyasała. Była śmiesznie wysoka, miała długie nogi i cienkie, zużyte już bieguny. I na te cieniutkie bieguny młody chłop pokiwał głową.

— Tec na to jedno dzecko kolebka wytrzymo — zartował ojciec — choba że będziesz choć mieć więcy dzecey?

Chłop nic nie odrzekł a tylko ładował kołyskę na taczkę.

— Bóg wam zapłac wiele razy! — zawołał odjeżdżając.

— A niech wam tak długo służy jak nom! — krzyknął ojciec.

Rekowska stała na progu i również przyglądała się obcemu. — Mój Boże! — westchnęła prawie płacząc. — Ledze się żenią, potem się rodzą. Nasza Marta znowu leży jak płoczek. Pewno umrze bo je coraz to chorszo.

Na święta Bożego Ciała niespodziewanie zjawił się Alfons w mundurze wojskowym. Ujrzałam go z kuchennego okna, jak lekkim, żołnierskim marszem zbliżał się do mostu, spoglądając w stronę uli. Nie obszedł ogrodu naokoło, a zreznym ruchem przeskoczył płot i prawie biegnąc szedł między grządkami ze świeżo posadzoną kapustą do swoich uli. Ożywił dom opowieściami o życiu w wojsku. Mówił dużo, często dodając nowe słowa, jak „psia krusz”. Mama wydobyła nawet z szafinierki szkło zaprawionych wisien, niby że to już niedługo będą wiśnie świeże, prosto z drzew.

W samo święto rano, kiedy ojciec zaprzęgał konia, zjawiła się u nas Agata w białej koronkowej bluzce z paczek amerykańskich. Już na progu chytrze uśmiechnięta zawołała do mamy:

— No widzisz, jak Somionce mnie znowu potrzebują! W noce po mnie przedrabowali, bo u Franciszki nalazło się czworcie. Teru znali do mnie drogę. Tak to je. Dłotego jo dzys z Kaszube do koscola zrobiolam hok na Porzyn, żebe to wam powiedzec.

— Jeny, ale jako te mosz ładną bluzę! — wydziwiała mama, oglądając ją.

— Mów le! Tec aż Somionce się ślepią zaskrzyło! — powiedziała Agata, śmiejąc się. Drżały jej nie tylko głowa ale i ręce. Mocno poredlone czoło jeszcze bardziej zmarszczyła, kiedy mrużąc oczy spoglądała na szkło z wiśniami. Powiedziała przymilnie:

— Dajcie mnie, Marynko, tech wisni zdziebelko... Jo mom tako oskome.

Mama podała jej talerzyk i łyżkę. Agata łyżką zaczęła wiskie i głośno zachleptała. Z pełnej łyżki sok kapnął na jej białą bluzkę i wtedy Agata przeżażona narobiła krzyku:

— O rety kochany! Jak jo się teru z taczim kleksem na procesji pokoże!

— Hej komedia! No jakże te to zrobiola? — również zawołała mama.

— Co tu je za rejbach? — zapytał ojciec, otwierając drzwi do kuchni — Sadejta, bo ju je czas!

Pojechali: mama, Agata, dwie z młodszych sióstr, ojciec, Janek i ciocia, która zobaczyć chciała procesję. Na wóz wskoczył jeszcze Alfons i to już w biegu, bo lubił się popisywać swoją zręcznością. W to święto musiałam w domu kucharzyć.

Któregoś dnia, kiedy skończyliśmy już jeść obiad a ciocia składała talerze, wszedł do nas Knyba z Brus. Mama przedko wskazała mu krzesło przy stole, a Janek miał okazję niepostrzeżenie wymknąć się na papierosa.

— Niech Kneba sobie wej tu przesadnie — rzekła mama. — Mielismie dzys bulwe z masłonką i kurzajczy. Grzebe żesme ju zjedli, ale masłonka je a bulwe jo odsmaže.

— Bóg zapłac, Trzebiatowsci — odrzekł Knyba z głośnym westchnieniem, odkładając czapkę. — Jak to człowiek tak dalek się todra, rod zje. — Rozglądał się też, gdzie położyć płachtę z towarem.

Mama zniknęła w kuchni.

— A jakże wam idze? — zapytał ojciec, przyglądając się jemu.

Knyba usiadł i znowu westchnął. — Jakże może nom isc? Kobieta nibe sprzedaje doma a jo w kraju. Jo. A tyle moma tego profetu jakbe trzezwu zgubiol a napity nalozi. To nie worto tij turbacji. Ledze ni mają detków, i wej tak.

Siedział za stołem i powoli warzącwią czerpał z kamiennego garnka masłankę. — To je częszczy ka wałk chleba — dodał — a pic się chce jak paralusz.

W tej chwili weszła mama z talerzem dymiących kartofli obłanych tłuszczem z kawałkami boczk. Żeby nie patrzeć na posilającego się gościa, sięgnęła po więdzlo, a ojciec odszedł do okna. Tak stojąc wypitywał o nowości.

— A co tam nowygo w Brusach? Mom tam sostrze nieć, ji chłop je rymorzem, Paubiecy sę nazywo.

— Ach, Paubiecy? U nich nalazło sę małe.

Mama podniosła głowę i zapytała: — Knop cze dziewczę?

Ale tego Knyba już nie wiedział, mówił dalej:

— Jedni sę rodzą, dredzy umierają. Tak to je. A w tji waji maslonce pływają same grupczy masła, tako je tłusto...

Mama zapytała: — A ten krowc. Prochowicz, nie żeni on sę?

Knyba przestał żuć i spojrział na mamę. — Tec ten ju nie żęje! — powiedział. — Przece mówię, że jedni sę rodzą a dredzi umierają. A jesz ból młody. Le niedawno na suchote umarł.

— Czaśe dobroce! — zawołał ojciec kołysząc głową.

— Inaże! — wyszeptala osłupiała mama. Spojrzała na Knybę a potem na mnie. Zaczzerwienila się i wiazała dalej. Nie wiem czemu parsknęła śmiechem, choć nie chciałam. Prędko skierowałam się do drzwi. Rodzice patrzyli na mnie z oburzeniem. Mama krzyknęła za mną: — Co te będziesz sę z umarłych śmiała!

— Ale niechże sę dziewczę śmieje — mówił Knyba — póczy je młodo i póczy ji sę śmioc chce.

Z sieni weszłam do kuchni, gdzie jeszcze przez okienko w ścianie słyszałam jak mnie bronił Knyba: — Młode wiedno sę śmieją i to z bełe czego. Jak sę ożenią, to im sę śmioc odechce.

Moim najmilszym zajęciem było łowienie ryb i zbieranie grzybów, najchętniej samotnie. Pewnego razu, kiedy rodzice wyjechali do krewnych na Łysą Banię po uprzedzony len, w lesie znalazłam tyle grzybów, że zbierając je zabiłam. Nie mogłam wybrać z lasu i zaniepokojona, z pełnym koszem biegałam po suchych trzeszczących gałązkach tu i tam, jak dzika, albo stawałam w miejscu i z biciem serca nasłuchiwałam. Byłam w głębi lasu bo nie słyszałam żadnego ptaka. Stukały tylko dzięcioły. Niebo było zachmurzone i trudno było zorientować się po słońcu w którą stronę mam pójść. Szum iglastego lasu przerażał mnie. Ten las był dla mnie obcy. Co innego w Przymuszewie. Tam od dziecka poznawałam po numerach na kamieniach każdy leśny rodzaj. Tak wędrując po lesie, pamiętam, trafiłam na śpiącego pod drzewem z otwartymi oczyma zająca. Wreszcie gdzieś daleko usłyszałam kukanie kukulki, a jeszcze później krzyk gęsi i poszczekiwanie psów. Poszłam w tym kierunku. Wreszcie przez las prześwitywało jakieś pole i chata z chlewikiem, otoczona plotem z gałęzi sosnowych. Na długim dragu w górę, dla odstraszania drapieżników, które napadały na drób, wisiał nieżywy jastrząb. W zagrodzie krzątał się jakiś chłop. Z dala krzyżąc zapytałam o drogę do Parzyna.

— Tec to tu dalek nie je! — odkrzyknął i ręką wskazał mi glinianą drogę prowadzącą do Laski. Zbliżyłam się i w człowieku tym poznałam Sisielę.

— A tu je Poloszek? — zapytałam zdziwiona.

— Tu je Poloszek! — zawołał przekonywująco bo aż tupnął nogą.

A więc to jest ten Sisiela — myślałam — który kiedyś swojemu dokuczliwemu sąsiadowi Okuniew-

skiemu dał siekaczem po głowie za roznoszenie plotek. A że stało się to w czasie wojny, Niemiec wsadził go do przyzy.

Skierowałam się w kierunku drogi, która prowadziła do Laski, ale Sisiela zawrócił mnie cierpliwie tłumacząc:

— Ale dziewczę! Te leziesz w opaczna stronę! Do Parzyna lez na prawo!

Poszłam wskazaną mi leśną drogą bardzo niepewnie. Po 20 minutach drogi ujrzałam zieleń starych drzew i zabudowania, za którymi błysnęło jezioro. Zdziwiona przystanąłam i przyglądałam się wsi. Byłam tak zagubiona, że w pierwszej chwili nie poznałam Parzyna.

W domu była ciocia z dziewczynkami. Janek był w Babiej Łacie, gdzie pomagał przy suszeniu siana. Odrabiał za paśnik dla naszych owiec. Okazało się, że w tym czasie był u nas jakiś agent z ubezpieczenia, który ubezpieczał od ognia zabudowania. Zaczął od Windorpskiego, który pochwilił się wzmówionym mu przez agenta zyskiem i ubezpieczył swoją zagrodę. A że był najchytniejszy, cała wieś poszła za nim. Najpierw ludziska byli bardzo zadowoleni i opowiadali sobie, jak to Lellerowi spod Leśna spaliła się dziurawa chata, a za tysiące, które otrzymał z ubezpieczenia, postawił murowany dom.

Na stole leżał gruby list zaadresowany do mnie i pocztówka z Grudziądza z pozdrowieniami od Broni Lipskiej. Zapytywałam, czym mam już pracę? Potem rozdarłam kopertę. Była to odpowiedź odmowna na mój wniosek o pracę i zwrot odpisów świadectw. Straszna rzecz nic nie robić. Byłam przygnębiona. Czulałam, że tkwię w tej wsi bez żadnej perspektywy. Zateśkniłam nagle do dawnych, dobrych ludzi, których znałam i utraciłam. Dla ratowania takiej sytuacji jak moja, inne dziewczyny wychodziły za mąż. A za kogo miałam wyjść? Schlebiał mi bezrobotny Florian Okuniewski. Zauważyłam to, kiedy całą gromadą byliśmy na grzybach. Nic nie mówiąc, wrzucił mi parę zdrowych borowików do mojego koszyczka, a przy wędkowaniu kilka większych ryb do mego worka. Ale tym miłości się nie wzbudza. Złamana takim niepowodzeniem postanowiłam pójść w niedzielę do domu ubogich. I tak jak mama, dać tam drobną ofiarę, by niewidoma Kuliszka i garbata Rózela wymodliły mi pracę.

Przyszła niedziela, a że ojciec już rano sięgnął po modlitewnik, wiedziałam, że do kościoła trzeba iść piechotą. Idąc samotnie przyglądałam się mijającym mnie mężczyznom, ale żaden z nich mi się nie podobał. Szczególnie ci na rowerach w rozpiętych marynarkach, którzy mijali piechurą niby diabły. Gniewało mnie, że my, dziewczyny jesteśmy od nich tak bardzo zależne. Smutna ze łzami w oczach szłam piaszczystą drożyną, aż wyszłam z lasu i w dali ujrzałam spiczastą wieżę kościoła. W promieniach słońca dostrzegłam fruujące i igrające z sobą dwa motyle.

Weszłam do domku ubogich kobiet, w sieni skręciłam na prawo. Obie starszki przyglądały mi się długo, bo mnie nie poznały. Powiedziałam im, czyją jestem córką. Wtedy rozplakały się, że mojej matki już dawno nie widziały i na pewno idzie jej dobrze, co daj Boże. Dałam im 20 groszy aby modliły się w mojej intencji. Tej scenie przyglądało się ciekawie wielu innych ofiarodawców.

(cdn.)

Nad jeziorem ⁽⁵⁾

Anna Łajming

Minał pewien czas i w którąś niedzielę Cecylia pojechała do kościoła. Przed karczmą stały tłumy ludzi i głośno rozprawiali o Polsce. Niektórzy chłopcy wrócili z frontu niemieckiego do domu. Niemieccy urzędnicy wyprowadzali się z Polski do Niemiec. Na Pomorzu był bezpański czas. Dlatego Frąck Wesiara, sterany kilkuletnią tułaczką i całkiem już wyłysiały, postanowił wreszcie pokazać się. Stał więc przed karczmą jak inni. Ludzie wytrzeszczali na niego oczy. Wobec tego wszedł do kościoła i rozglądał się ciekawie.

Nagle w tłoku ujrzał zamyślony profil Cecylii. Na głowie miała ładny kapelusz z różami ale chuda twarz wyrażała przygnębienie. Od czasu do czasu poruszała wargami, to znowu je zaciskała i wtenczas twarz jej nabierała wyrazu jakiejś zawziętości. A kiedy ziewnęła i on ziewnął. Nagle tłum zafalował bo na kazalnicę wszedł ksiądz i kapelusz z różami zniknął. Znowu zobaczył Cecylię podczas kazania. Słuchając kazania wzdychała głęboko. Aż oczy zmrużył, kiedy przypomniał sobie ów podejrany szelest w tamtą deszczową noc... Kazanie się skończyło i ludzie tłoczyli się do kazalnicy z wspominkami i twarz Cecylii znów zniknęła. Ksiądz odmawiał zdrowaśki za dusze poległych i zaginionych na wojnie, za szczęśliwy powrót z niewoli. Frąck wspinał się na palcach by zobaczyć, czy i ona zbliży się do kazalnicy, lecz kapelusza z różami nie zobaczył. Dopiero po skończonym nabożeństwie, kiedy tłum pchał się do wyjścia, ujrzał ją samotnie klęczącą na posadzce z twarzą ukrytą w dłoniach, którymi jednocześnie ocierała oczy jakby płakała.

Po zniknięciu Aleksieja Cecylia zadreślała się swoją samotnością, która ją przerażała. Przygnębiona nie rozumiała co się z nią dzieje. Pocięchy nie mogła szukać u nikogo. Przerażała ją samo słowo stodoła i widok siekiery, a siekiera była jedna jedyna. I tą siekierą rąbała chrust na klocek akurat w chwili, kiedy w zagrodzie pojawił się, teraz swobodny już, Frąck Wesiara. Tak jak zawsze na jego widok się ucieszyła, ale coś ją zaniepokoiło. Mogłaby poprosić go o pomoc w gospodarstwie, ale zdawało się jej, że jak zapytał o Antoniego, podejrzliwie spojrzał na stodołę, na siekierę i znowu na nią. Prędko też rozmowę skończył i odszedł.

Cecylia cierpiała na bezsenność. A zaczęło się to od wielkanocnej spowiedzi, kiedy nie otrzymała rozgrzeszenia. Ksiądz nie patrząc na nią, kazał jej grzech ten wyznać jawnie i natychmiast się odwrócił. Do domu wróciła zalamana. Postanowiła przezwyciężyć siebie. Poszła do stodoły i otworzyła ją na oścież. Śmiało spojrzała na gumnisko. W roku na piasku leżało zaledwie parę snopków słomy... Przerażona westchnęła głęboko. Wiele by dała za to, aby to nie było prawdą, tak jak to czasami bywa w złym śnie, że się przebudzi z czystym sumieniem i znowu będzie po dawnemu.

Wrota stodoły zamknęła z łoskotem ale zrobiło się jej lżej. Zajrzała jeszcze do konia, który chrupał sietkę i obrócił ku niej głowę. Na jego ciepłych plecach spokojnie drzemał sobie kot. Wszystko więc było na miejscu po dawnemu. Wyszła ze stajni i spojrzała na niebo. Zbierało się na deszcz. Postanowiła pójść do lasu po suche gałązki. Gdzieś na dalekim południowym horyzoncie błyskało się.

Szła lasem po nierówną zoraną linią przeciwpożarowej by dojść do jodłowego gradełka, w którym kiedyś znalazła mnóstwo grzybów. Teraz nie było tam ani jednego a burza zbliżała się. I znów dręczy-

ły ją myśli o tym późnym wieczorze i nocy, kiedy do rana pluskał deszcz a ona nie zmrużyła oka. W tej chwili daleko zagrzmiało. Zbierając gałązki życzyła sobie, aby ta burza, w tym lesie, ją zabiła. Wszystko miałyby poza sobą. Zlekła się jaszczurki, którą spłoszyła rujnując jej przejście do nory zamaskowane chrustem. Przystanęła na moment bo usłyszała turkot. To hałasował gdzieś w lesie pociąg. Słońce schowało się za nadciągające ciemne chmury. Cecylia skrzyła pod stare, ciemne jodły, gdzie było mroczniej, ale tu była razem z Aleksym, tu przyglądali się uwijającym wokół swoich kopców mrówkom. Miała dla niego wielką miłość tak jak teraz wielki żal, że gdy zobaczył żandarmów, uciekł i zostawił ją samą. Tyle razy w lesie szukała jakiegoś śladu po nim...

Nagle las się rozszumiał i Cecylia zarzuciła chrust na plecy. Ciężkim krokiem stąpała po suchym, szeszczącym mchu.

Gałązki zwała pod ścianę szalasu. Córeczka siedziała na progu chaty i bawiła się kamyczkami. Wtedy zobaczyła zbliżającą się do ich pustkowią, zawsze fałszywie uśmiechniętą i ciekawą Zużę z nowym parasolem pod pachą. Zaraz też błysnęło i gdzieś zagrzmiało. Zuza skierowała się wprost do Cecylii, że ta aż zdretniała.

— Cuda niewida, co się dzieje?! — wołała z daleka. — Czulaś, że ten twój jesz nie przeszedł z wojne nazód? Jeże to prowadzi?

— No co, że nie przeszedł? Taczych je wiele — odrzekła Cecylia, siłąc się na spokój.

— Może dlatego jesz tak zasmulono? A podobno ten waju sąsod z Gwizdowa miał od niego pięćdziesiąt marek do dostania za narajenie jemu gbursci córce, a teru on łbem o scanę wali nibe o te detczy?

— To jo piersze czuję — powiedziała Cecylia zdziwiona i aby zmienić temat, zapytała: — Mosz ładny parasol. Kto ce go doł?

— Nicht mnie go nie doł a samo go sobie kupiołam. Spiewom na weseliskach, a za to ledze wiedno cos w pazurę wetkną... — A że Cecylia wyciągnęła po niego rękę, sama rozwinęła go z takim zamachem, że ukłuła Cecylię w twarz.

— A lez mnie z tym parasolem bo jesz mnie ślepią wekolesz! — przyknęła niecierpliwie Cecylia. — Lepi od razu rzeknij, po co przelazłaś i na co dulczysz?

Zuza wywróciła oczy ku niebu, które błysnęło i zapytała: — Jo dulczę? Co bem jo od ciebie mogła chceć ciede jem bogatszo niż te. Czo! — dodała wystraszona bo w tym momencie głośno zagrzmiało.

Na progu chaty pojawiła się Stazja i zabrało dziecko. Cecylia także skierowała się do chaty.

— Tak się też noleży, żebe wlesc do izbe, bo jesz w nos grmot pęknie — rzekła Zuza i poszła za nią. Weszła do mrocznej izby, chwalać Boga. Przywitała się ze Stazją, dygając po pańsku. Ciekawie oglądała dziecko i mówiła przymilnie: — Nie sposób żebe bec na podwórzu a nie wlesc do izbe i oboczec, cze wa żyjeta?

Szalktowa milczała i nawet nie poprosiła jej aby usiadła.

— Co to jo chcałam rzec a nie zełgac. — dalej ciągnęła Zuza natarczywie. — Wiedno chcałam oboczec to małe z bliska, jak oni jemu tę wargę zeszełi?

— A wez i napas swoje ślepią wiele chceś — powiedziała Stazja rozdrażniona i niespokojnie oglądała się na błyski w okienku.

— Cuda niewida! Że też to ledze umiać tako igła nawet wargę zeszec — dziwiła się Zuza, oglądając dziecko w świetle błyskawicy.

Stazja nadęta zwróciła się do córki: — Jo tak na cę wżerom, jak te łazysz i łazysz, jakbes szukała wielkanocnygo jaja. Wiedno w tym lese sedzysz a tymczasem jastrząb chapnoł nom kurę! Halalaś przenojmij chrustu?

— Halalaś — odrzekła Cecylia i wyszła do alkierza.

— A chłopca jak ni ma tak ni ma? — spytała Zuza. — Może dlatego Cecela mo tako merze na kwintę?

— Tec to sę zdorzo, że ledze po wojnie tak zarunie przeleżać nazód — odrzekła Stazja. — Ale on jesz przyndze.

— He, he! Żebe on mógł przyndz, to on be muszoł stąd nopierwi wyjndz. A on podobno do wojska nie dojechał. O tym wa nie wieta, że ledze różnie sę docagają?

Stazja milczała, bo słowa te, nie wiedziała dlaczego, ale ją zaniepokoiły. Po chwili jednak rozgniewana odcięła się: — Te staro pleskotnico! Ni mosz o czym inszym do kłopotaniu? W nasze sprawie swoją snebe tkosz! Jesz wiedno tobie je żół, że nasza Cecela sę ożeniola a te ostalas starą frejdyno?!

— Wiele razy jo to ju czuła?! Znowu staro frejdyna, ale na weselu spiewac, to bołam dobro.

— Z cekawosce aż piszczysz i kłotczy po ledzach roznosysz!

— Jo kłotkuję? — zapytała Zuza i znowu wywróciła oczy w chwili kiedy błysnęło i zagrmiało.

— Po całi parafii zwonisz, że nasza Cecela w jedni koszuli szlub brała, i że na weselnym stole nie boło świńskiego mięsa le owcze. Pleskotnico! Warem cę oparzę!

— Wez i spróbuj? Bo to, co mówiolaś, je prawda!

Szałtkowa szkopkiem nabrała z garnka ciepłej wody i chlusiła jej w twarz. Woda z szkopka, którym Stazja uderzyła Zużę w nos, rozprysnęła się na podłogę. Zuza rzuciła się na nią z parasolką i obie przez chwilę się szamotały.

— Ruten z tobą! — wołała Stazja. Ale w tej chwili głośno zagrmiało, że aż szyby zadrzały. Zapłakało dziecko. Na dworze lunął deszcz. Do izby wpadła Cecylia. Kobiety jeszcze wymyślały sobie.

— Diobli ją skuseli, że ona tu przelazła — zawołała Cecylia zrozpaczona.

Zuza płacząc odgrażała się: — Wszetcim powiem, że wa gosca bijeta i wypychota z izbe na grzmot i deszcz! Niech ledze wiedzą... A jo wama tego nie zaboczę jak żyw żywota!

— Mówię ce ruten! — krzyczała Stazja.

— Dejta ji poku, mammo. Na wse pado deszcz. Niech sobie oddychnie — nagle powiedziała Cecylia i niepospiewanie podala, jej stołek aby usiadła. Kobiety się uciszyły. Cecylia zmoczyła szmatkę w wodzie i zrobiła zimny okład na krwawiący nos.

— Trzymej leb do góre — mówiła — żebe kraw nie lecala.

— Tec trzymom — powiedziała Zuza i próbowała otrzeć izy.

— Doma ce to co moma — rzekła Cecylia pojednawczo i sięgnęła po durszlak, z którego wypadła kula białego twarogu, którą zawięła w szmatę.

— Jo nie chciałam lecho — uniewinniała się Zuza, wycierając nos w fartuch i przygarbiła chude plecy udając zmaltretowaną. — Ale żebe jo ni mogłam taczim dobrym ledzem jak wa jesta, głośno dobrze życzec...

— Lepi nie grzeb pazurama w cedzych zachach! — odezwała się Stazja. — Nom też je dzewno, że Antoni jesz nie przeloż nazód, ciede inszi...

— Niech mama do poku Antoniemu — przerwała jej Cecylia

— Teru ju nie pado, to niech Zuza leze swoją drogą.

Sięgnęła po chustkę i nakryła głowę, aby ją odprowadzić choćby tylko do Bożej Męki. Może od niej jeszcze usłyszy, co myślą ludzie o zniknięciu Antoniego. Lecz Zuza powiedziała, że burza może się cofnąć i w drodze w nią uderzyć, jak w owego zidio ciałego Katurbę, którego ludzie nieprzytomnego mu-

sieli szybko zakopać po szyję w ziemi. — Przeszedł do siebie — dodała — ale cóż, ciej on od tego czasu je szmergnięty...

— Tec to ma wiema! Przecę to je staro zachę — przerwała jej Stazja. — I nie opowiediej nom starych dziejów! Teru sę rozjasniło, to sobie lez skąd przeszłaś.

Zuza choć nierada musiała odejść. Podala rękę Stazji jakby nic nie zaszło i razem z Cecylią wyszły z chaty. Deszcz jeszcze kapał z gałęzi drzew i Zuza, przytrzymując zawiniątko pod pachą, otworzyła parasol. Podczas drogi Zuza jakby umyślnie milczała. Kiedy doszły do Bożej Męki, która stała na skraju lasu u rozwidlenia drogi, przystanąły. Burza odeszła daleko i była cisza. Tylko z drugiej strony jeziora, od pustkowia Gwizdowo słychać było poszczekiwanie psa. Kobiety stały naprzeciw siebie milcząc.

— Dalabem ce kosek masła ale jo jesz nie cierpieńola — wreszcie odezwała się Cecylia, która zapragnęła czyjejs serdeczności. Pragnęła wyznać komuś swoją makabryczną tajemnicę, którą w sobie nosiła, ale przecież nie Zuzie.

— To nie je trzeba — odrzekła Zuza skromnie. — Na dredzi roz dota tego maselka. — I znowu milczała, chytrze wpatrując się w udręczone oblicze Cecylii. Zamknęła parasol i obróciła twarz w stronę pustkowia Zimnej Kawy, skąd słychać był daleki krzyk gęsi. Zuza nie mogła odżałować, że z tak dalekiego pustkowia wrócić ma do domu z niczym. Oganając się od natrętnych, cieniutko bzykających komarów, postanowiła sprawę Antoniego poznać jaśniej i dlatego wdychając, wyrzekła ostrożnie:

— Jo Bóg wie, gdzie on teru może bec...

— Nibe kto? — zapytała Cecylia choć wiedziała o kogo chodzi.

— No ten twój...

— Jo, Bóg wie... westchnęła Cecylia — ale wiele to jesz chłopów nie przeszło nazód...

Zuza niby obojętnie zapytała: — A nie pisał on jak i co?

— Tec on pisac nie umioł.

Wtedy Zuza z udanym współczuciem znowu westchnęła:

— Mój Boże! Je to ale lecho, jak kobieta nie wie, gdzie je ji chłop.

— A cze te co chciała od niego? — również sztucznie zapytała Cecylia.

— Tec jo le sę dzewuję...

— A zaprzestań sę dzewowac! Co to ciebie oblaży? — rozgniewała się Cecylia. — Że też te, zamiast mnie pocieszec, piknolcem we mnie szturosz. Dzewujesz sę!

— Ale Cecylko! Gze jo ni mogę z tobą rozmowiac jak człowiek z człowiekiem? Ledze chcą wiedzec prawdę. To może igła zdzinąc, ale nie chłop! Tak le pomedytuj.

Cecylia, zamiast przyznać jej rację, zadygotała ze złości i zwymyślała ją: — Co te chcesz z moim chłopem? Lotosz dokoła tego jezora jak pies za swoim ogonem, żebe cos lechigo wecknąć. A tede bes sę rzechotała! A niechże w ciebie ciężci piorun trzasnie! Odwróciła się i ruszyła do domu, zostawiając mówiącą coś jeszcze Zużę.

Stazja Szalktowa po wyjściu Zuzy po raz pierwszy zastanawiała się, co mogło się stać z Antonim. Oboje z mężem nie tęsknili za nim, ale teraz objął ją strach. Przypomniła sobie, że po jego odejściu często wyl pieś, i że ostatnio Cecylia krzyczy przez sen a nawet zrywa się z łóżka. Mogła to mieć po ojcu, który również mówi przez sen. Stazja wyjawic chciała swój niepokój Cezaremu, który leżał w łóżku i stękał na bóle reumatyczne, ale przez okienko ujrzała w zagrodzie jakiegoś umundurowanego człowieka. Był to żołnierz w rogatywce. Cecylia prawie wracała od Bożej Męki i na jego widok przybladła.

Stazja widząc wojskowego, zawołała do męża: — Czujesz stary! Polsci żołnierze! Welęz z łóżka i wezdrzj bez okno, a chyże!

Cezary wygramolił się z łóżka i pokuśtykał do okienka. Był to jeden z żołnierzy strzeżących pobliskiej, prawie co ustalonej nowej granicy państwa polskiego, który szukał kwatery. Radość na widok polskiego

żołnierza i powstałej Polski przytłumiła niepokój Szalktów i o Antonim prawie zapomnieli.

Nastala jesień. Niektóre drzewa do połowy już obnażone z liści wrożyły wczesną zimę. W alkierzu, w którym siedział Cezary, była cisza. Brzęczała tylko duża mucha. Wpatrzony w okienko ziewał i przyglądał się, jak wiatr porusza gałęziami drzew i strąca żółte liście. W rękę trzymał fajkę, która została po Antonim. Odkaszlując, splotał na podłogę. Jego lachmany, polatana na lokciach, przesycone były tabaką. W drugiej izbie w kominku, z którego często dymiło na izbę, dopalały się kępki torfu. Cecylia, która stale szukała jakiegos zajęcia, dołożyła parę gałązek. Po nieprzespanych nocach miewała uczucie, że traci zmysły. Chwyciła gęsie skrzydło i omiotła pajęczynę ze ścian. Weszła do alkierza po miotłę i patrząc na podłogę z wymówką zapytała ojca: — Wiele razy jo godola, żebe tata nie pluł na podłogę a szedł na wiec chrochlac?

— A nie gdocz, jucho! Tec jo ledwo łążę — odrzekł i niezgrabnie napełnił fajkę machorką.

Cecylia już z miotłą w rękę kierowała się do drzwi, gdy ktoś w nie stuknął. Drgnęła. Do alkierza wszedł sąsiad zza jeziora, z pustkowi Gwizdowo. Przywitał się z gospodarzem, który się bardzo ożywił, ale gość był zafrasowany. Przybył specjalnie, aby dowiedzieć się coś konkretnego o zaginionym Antonim. Siadając nie od razu zapytał o niego, a najpierw narzekał na daleką drogę i mokradła.

— Przekłete plute! — rzekł. — Nim je człowiek dokola obindze, to mo dosc; ciede na prostaka, bez jezora le pazurę podac. A od północe tacz cygnie wiatr jak paralusz. Pewno będzie padało.

— Jak na świętygo Michała od północe wiatr wieje, na pogodę lecho je nadzieja — odrzekł Cezary i schował fajkę a zaczął szukać w kieszeniach tabaki. — Dłotego mnie dzys je zemno. Ju diego nie pożyję...

Gość niecierpliwie machnął ręką. — Chójka co skrzepi diego stoi — rzekł.

— Hm... — mruknął Cezary i podał gościowi tabakierkę. — I wej tak — westchnął. — To żes mnie nawiedzoł... Mnie też dzys prawo ręka swędzoła, tede będiesz się witoł, a jak lewo swędzy, detczy dostaniesz.

— Detczy... A kto ce je do? — zapytał gość i wykrzywiając twarz wciągnął nozdrzami tabakę.

— Teru, ciej je Polska, człowiek wiedno mo nadzieje na lepsze czasy — mówił Cezary, którego odwiedziny sąsiada cieszyły i zrobił się rozmowny. — Jako to je szkoda, że Szymon i Tomasz nie żyją. — westchnął. Potem mówił jak sąsiad z Zimnej Kawy pomógł mu skosić dojrzałą tatarkę i jak resztę już zrobiła tega i mocna Cecylia. Aby różweselić gości, wspominał nawet młode lata, czasy, w których kobiety nosiły spódnice na obręczach, krynoliny. Jego matka nie mogła kupić sobie takich sprężyn ale zrobiła je sama z sosnowych korzeni, które jak się zeschnęły, polamały się w tłoku w kościele.

Z drugiej strony drzwi Cecylia z miotłą w rękę przyłożyła ucho do szpary w drzwiach, a że była mowa o dawnej modzie, poniechała podsłuchiwanie. A sąsiad osowiały tylko czekał, kiedy gospodarz skończy mówić o krynolinach ale ten, patrząc na smutną twarz sąsiada, sam przerwał i zapytał:

— Mosz cos na żołądku?... Bo jakżem się roz najodł cepłygo chleba prosto z pieca, przylepił on się mnie do żołądka i żoden piolun go oderwac ni mógł. A może tobą poszedło krący?

Gość zaprzeczył ruchem głowy. Przysunął się tylko z krzesłem bliżej i ciszej zapytał: — A wej... No, ten waju Antoni, jak z wojne nie przeszedł tak nie przeszedł? A je mnie winien piędziesiąt marek, jesz nie mieccych...

— Hm... — mruknął gospodarz po chwili. — No niech le on z wojne przynźde nazod, tede...

— He, tede... powtórzył. — Ale jo czułem, że wa dło Cecyli znowu szukata chłopca?

Cezary odrzekł podejrzliwie: — Cheesz mnie znowu jaczigo niegodzewygo ludra namówić? Przece Antoni może jesz przynźd!

— A matyzernoga! Niegodzewygo ludra? Ani be mnie więcj do lba nie przeszedł! — zawołał oburzony

gość a potem przysunął się jeszcze bliżej i cicho mówił: — Le ta Zuza, rozumiesz, klekoce tacz swoje cuda niewida. A jesz ktos innych chły aż za porę lot przeloż nazód! — zawołał i oburzony aż uniósł rękę do góry.

Cezary odsunął krzesło hałaśliwie i wyszeptał zdziwiony: — Na swiece boscim!

— Dzewujesz się, ale ledze nibe kłękocą i czasem rychtich weklekocą

— Ledze, jucho, gdoczą bele co — odrzekł Cezary. — Jak się chce psa uderzec, ciej się naleze. Wej, po francusci wojnie niejedyn chły aż za porę lot przeloż nazód! — zawołał i oburzony aż uniósł rękę do góry.

— Tec jo bem choć, żebe Antoni przeloż nazód. Piędziesiąt marek to nie je bele co — mówił sąsiad.

Cezary posępnie zapatrzył się w okno. Na podwórku szczekał pies, ale nie dlatego patrzył przez okno na podwórze. Miał taki zwyczaj kiedy miał kłopoty. Nagle ujrzał na podwórku dwóch umundurowanych mężczyzn. Pies szczyrzył zęby i doskakiwał do ich nóg. Jeden z mężczyzn także szczyrzył zęby, rzucił w psa jakąś pałką. Pies odskoczył i rozszłoszczony ujadł jeszcze bardziej. Z drugiego końca chaty wyszła Stazja, prowadząc dziecko za rączkę. Zapytali o Cecylię Peploch.

Obaj niepewnie weszli do sieni chatki i potykając się na nierównej posadzce, rozglądali się dziko. Cecylia prawie ukroiła sobie pajdę chleba, którą posmarowała gęstą śmietaną i posypała cukrem. Nie zdążyła jej nawet spróbować gdy do izby weszli policjanci.

W sprawie zaginionego Antoniego najpierw przesłuchiowano Cecylię. Ta jakając się z przerażenia od razu przynależała się do wszystkiego. Wskazała miejsce w gumnie, gdzie wraz z niewolnikiem zakopała zabitego męża. Cezary skamieniał a osłupiały sąsiad zakolysał głową. To spoglądał na Cecylię to na roztrzęsioną matkę i tylko wystraszony patrzył, aby jak najprędzej wymknąć się na Gwizdowo. Cecylię aresztowano.

Szalktowie zostali sami z wnuczką, która sepleniąc jak ojciec, dopytywała się o matkę. W domu panował nieład, obojście zaniedbane. Ryczały krowy, a w polu kartofle czekały na wykopki. Od dnia, w którym w stodole wydobyło ciało Antoniego, zniedołężniały Cezary nie powiedział jeszcze słowa. W niedzielę powziął myśl ucieczki z własnego domu i odruchowo powiół się na wpół przykucniętych nogach na swoje wzgórze, gdzie stała samotna, stara sosna, samosiejka. Z głośnym westchnieniem przysiadł na miedzy i oparł o nią plecy. Kiedyś na tej sośnie pogwizdywał drozd, teraz krakała wrona. Jej szerokie gałęzie kołysał szumem wiatr. Przyglądał się suchym badyłom, na których pajaki uprzedły białe weloniki babiego lata, to uważnie wśluchiwał się w daleki turkot pociągu w lesie, jakby to było najważniejsze. Pod niebem pojeżdżąc leciały szare żurawie. Spojrzał na rozległe jezioro i trzęsawiska i wtedy w dali na płowej drodze, biegnącej wzdłuż jeziora, zobaczył ciemny punkcik. Jechała furmanka. Jaki ten świat jest piękny a życie ciężkie, ludzie niegodziwi... — medytował. Jest stary i gdyby mu Bóg darował życie od nowa, takie same, podziękowałby za nie, wolałby umrzeć. Otrząsnął się bo poczuł lzy w oczach i sięgnął po tabakę. A tymczasem wóz się zbliżał. Siedziała na nim jakaś skulona postać a druga szła obok wozu. Koń idąc stępa, grzął w piasku i często przystawał jakby prosił o pomoc. Wtedy człowiek ponaglał go szarpiąc lejce i pomagał mu pchając wóz. A kiedy się zbliżyli, wóz nagle się zatrzymał i ktoś zawołał do Cezarego:

— Hej le! Tacz te mosz dobre czasy, że sedzysz sobie pod chójką i popuszczasz pasa jak za króla Sasa!

Zdziwiony Cezary przyjrzał się krzyczącemu przybyłszy i skulonej postaci siedzącej na wozie.

— Teru te nie wetrzesczkiej ślepi a wstań! — wołał chłop.

Dopiero wtedy Cezary poznał kuzyna Anzelma i starego stryja Benedykta. Nic nie mówiąc wstał i razem z Anzelmem podreptał za wozem w stronę swego domu.

KONIEC

Książę Bogusław X (1454–1523) nazwany Wielkim, był najwybitniejszym władcą pomorskim. Od 1474, po śmierci ojca Eryka II, zostaje władcą księstwa szczecińsko-słupskiego – a od roku 1478, po śmierci stryja księcia Warcisława X, nieprzejednanego wroga Brandenburgii, włącza do swego państwa również księstwo wologoskie.

W 1497 książę Bogusław odbywa podróż do Ziemi Świętej w celu umocnienia swojej pozycji, zarówno u papieża jak też u cesarza Niemiec. Poprzez małżeństwo z Anną, córką króla Kazimierza Jagiellończyka, zostaje szwagrem kolejno panujących królów polskich: Jana Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta.

Dążąc do uporządkowania i umocnienia państwa zawiera pokój z agresywną Brandenburgią,

której książęta rościli pretensje do tronu pomorskiego. W wypadku bezpotomnej śmierci Bogusława księstwo pomorskie, na mocy układu, miało przejść pod panowanie dynastii Hohenzollernów.

Bogusław X w wojnie polsko-krzyżackiej był stronnikiem Królestwa Polskiego. Za jego panowania otwierały się szanse połączenia Pomorza z Polską. Szczególną rolę w zacieśnieniu kontaktów pomorsko-polskich, zarówno za panowania Eryka II, jak i Bogusława X, odegrała matka tego ostatniego księżna Zofia, wnuczka księcia mazowieckiego Siemowita IV.

CZESŁAW KURIATA

Czesław Kuriata

Bogusław Dziesiąty

(fragmenty poematu)

I

PROLOG

2.

Wśród książąt pomorskich wielkim był Bogusław Dziesiąty o tym imieniu słowiański Gryfita —
O nim więc posłuchajcie pieśni nieudolnej
Spisanej w jego miejscu rodzinnie najbliższym.

I ty posłuchaj mowy przodków, sławny Bogusławie —
W mowie tej odnajdziesz głos najbliższej Anny,
Która wyszywając twój herb śpiewała o szczęściu synów.
Jak wieki później w tęsknocie białe orły haftowano —

Spójrz, Bogusławie, na słowiański swój kraj —
Oto Gryf i Orzeł na flagach zwycięskich —
A my wypełniając testament pomorskiej historii
Wciąż pamiętamy o tobie równym królówi —

II

Słuchajcie nieszczęśni Pomorzanie
Opowieści drugiej o księciu naszym,
Który w zły czas na polowanie
Wybrał się w gęste Wkryujścia lasy.

Wściekły wilk w skórze jeleniej
Tam go napadł w wielkiej złości —
I zadał księciu straszne cierpienie
Otwierając drogę do serca na oścież.

Jeleń ostrym rogiem niczym sztyletem
Wątrobę i płuca śmiertelnie naruszył —
Jeleń, co jak każdy był łagodny przedtem,
Teraz rogiem uderzył potężnie jak z kuszy

To zwierzę jakby nasłane przez elektora —
Lecz Brandenburczyk na tronie nie siądzie,
Bo las pomorski śpiewa już błagalny chorał,
By ozdrowiał nasz miłościwy książę —

Zanoście Pomorzanie do nieba modły,
Aby Bóg przedłużył księciu wiek Chrystusowy,
Aby Bogusław, nasz pan wielki i szczodry,
Panował nam szczęśliwie jak przedtem zdrowy.

Oto sługa rękami wszystkich Pomorzan
Zabił złego jelenia o wilczym wnętrzu —
I tak się spełniła wola ludu i boża.
By nikt z nas w niewoli nie jęczał.

Więc pieśń, co była smutna jak niewola,
Znowu nam świeci słońcem słowiańskim —
Książę jeszcze długo będzie panował
Nadając naszej krainie siły i blasku.

Śpiewajcie pieśni szczęśliwi Pomorzanie —
Książę znowu przemierza kraj na swym koniu;
Niech radosne odtąd rozlega się granie.
Nikt nie zabrał Gryfitom ich tronu —

VI

OSTATNIA ROZMOWA KSIĘCIA BOGUSŁAWA Z ANNA

— To ja, Anno,
Jestem przy Tobie
— Widzę Cię, Panie,
Ja nigdy nie straciłam Twego obrazu

— Ty dałaś mi więcej szczęścia
Niż którakolwiek z kobiet świata

— Nie jedź na polów samotnie,
Lasy wokół tak ciemne

— Za oknem już świta,
Nowy dzień wstaje
— Do króla pošlij Jerzego
I Barnim go także niech ujrzy

— Nie drżij już, Anno,
Tyś państwa ratunkiem
— Zimno tak strasznie
W zamku tym ciemnym

— Zapłacą srogo mieszczanie,
Oni przyczyną Twego cierpienia
— Przebac im książę,
Błądzili jak ludzie

— Zbyt droga mi jesteś
Bym zemsty nie czynił
— Jeśli mnie darzysz miłością
Nie rób nikomu nic złego

— Anno, błagam, zaczekaj,
Otwórz oczy raz jeszcze
— Widzę Ojca w koronie;
Ojcie, za chwilę przybędę

— Anno, jutro wracamy
Do zamku w Szczecinie
— Książę, chroń biednych,
Którzy z Tobą zostaną

VIII

JAKBY I ŚMIERĆ KSIĘCIA ZA JEGO WŁASNYM PRZYZWOLENIEM

Książę Bogusław już na śmiertelnej pościeli
W cichym domku na szczecińskim cmentarzu —
Patrzy w sufit i widzi swego życia blaski
które pelgają w półcieniu światłem świecy

Cisza wokół i nie ma żadnego z synów —
Nie chce by zobaczyli jego siły konanie
Tylko na śmierć wrogów Gryfitom patrzeć wolno
Zbyt często śmierć ich ród nawiedzała —

*Zawsze byłem gotów na ostatnią
godzinę swego życia*

Pod ciężkimi powiekami twarz królewskiej Anny
Ciepła łagodność jej spojrzeń pod powiekami —
To ona jego celu największym spełnieniem
Szczęścia miłości i ratunku Ojczyzny —

Sam własną godzinę wszystkim przepowiedział
Więc odesłał służbę by godnie w samotności
Wejść w sen z którego nie będzie już powrotu —
Więc jakby i śmierć za jego własnym przyzwoleniem

*Zawsze byłem gotów na ostatnią
godzinę swego życia*

Wick na weselësku

Stanisław Janke

Tego lata bëła festno ceplota. Deszcze nijak nie chcałë padac. Żebë choc zdzebko skropiło te piôsczi, to bë zarôzku jinaczi bëło, a tak to wszëtko wësychało.

Wëj, Lëpkowscziëgo błota całkiem wëschłë, a jego dzecë le karase z nich wënoszëlë całëmi bulewneimi koszami.

Stôri Miączkowsczi gôdôł, że to je skôranie bosczy za tëch lëdzy, co to wnet zeblekli chodzą po wsë. Toc piérwi tak cos nie bëło. A wele, porząd ni lëdze muszą za nich cerpiec. Wezmë — Antonowi Zdebekowsczimu trafiło së prawie weselësko w tęg gorąc. Wszëtczi tortë së roztopilë, że do jedzeniô nie bëłë. A gosce gôdale wiedno, że weselësko së nie zdarzëlë. Le jeden człowiek bëł z niego zadowolony...

Brifka Lënkowsczi nigdë na Mëgowsczi Pustczy nie zajëdzôł, jaż terô, po jiles tam latach, przëszło mu jachac. Muszôł on zawiezć lëst, chtërny bëł napisony do Wicka. Chtëż temu posylô lëst-të? Toc ten człowiek z biédą go przeczëtô, bôc

ukuńcił le sztëre klasë i nijak nie chcôł dali së uczëc — mësłôł so Lënkowsczi. Lëst jednak muszôł zawiezć, chobë nie wiëm co, taczim bëł sëmiennim brifką.

Czie ju dojachôł do Mëgowsczi Pustczy — a ko sztowało to wiele syl — bëł baro cekawi, co tëż w tim lësce piszą. Szukôł tédë chwatkô Wicka po oborze, bë mu dac lëst. Nigdzie go jednak nie nalôżł. Szukôł może dzesëc minutów, a czë go jesz tédë nie nalôżł, zaczął miec gôrz.

— Do paralusza, co je, czë tu decht żôdnég gburu nie mdę widzôł! — zarëczôł z cali mocë.

Nicht së nie odezwôł. Szukôł tédë dali z zakwaszoną gëbą naszég Wicka. Wreszce go nalôżł, czie ten leżôł do górë brzëchem na pëku sanna kawałk za stodołą.

— Czemu të, chłopie, së wcale nie odzëwôsz, czie jô ce wolóm? — spitôł së rozgorzony brifka.

— Toc jô nie chcôł spłoszë ptôcha, chtërny bëł kole mie — rzekł na to Wick.

— Wele, co za mądrala, jesz smie taczì glëpo-

të mie opowiadac. To je doch prôwda, że lëdze z pustków opacznie mądrzeją.

Wick na to nic nie rzekł, le grizł zębami zdebko trôwë, jakbë go nic poza tim nie obchodzëło.

— Lëst do ce móm — rzekł ju całkiem ze złością Lénkowszczi.

— Lëst ?

Wick z miesca sę wësztatrowôł, a buksë od sana czëszczil, jakbë przed nim sóm szôłtës stanął.

— Pokôżce go, Lénkowszczi.

— A widzisz të, terô të zarôzku jinaczi gôdôsz.

Brifka wëcagnął lëst z taszë i podôł go Wickowi. A Wick chwëcył go chwatkò, jakbë to nie wiém co bëło. Obezdrzôł go ze wszëtcich stron, a macôł, a wëchôł i nijak sę ni mógł jemu nadzëwic.

— Otwierôjce chwadzy — rzekł rozpôlony brifka.

Wick dwignął głowë i zaczął uważni zdrzec na Lénkowszcziëgo.

— A to jak jô mdę chcôł, a nié wë mdzece mie rozkazëwec — machôł mu lëstem kol oczu Wick.

— Wele, jaczi sę z niego zrobił wôżny knôp.

— Wôżny nié wôżny, le nijak nié możece zaprzeczë, że lëst je písóny do mie.

— Lëst to może kôżdi dostac, toc to nie je zôdni cud.

— Nô, chto wié, czë wszëścë dostają, a jesz do tego w taczì kuwerce?

— Pfi..., téz cos!

— Le tak nie gôdôjce, bo czile jô go odemknę, to wóm oczë zblakną.

Wick pomalénku lest odmikôł, a brifka z wielgą cëkawoszą na to zdrôł. Po jaczis chwili Wick wëcagnął z kuwertë sztiwnô kôrteczka i te zarôzku sę zasmucył, bo doch taczì malënczi kôrtczì nie chcôł dostac. Czie uzdrzôł jednak rozradowóną gëbë Lénkowszcziëgo, zarôzku uwôżnie zaczął czëtac, co je napisóné w lësce. Długo wzérôł, a głową kręcył, jaż w kuńcu rzekł:

— Przeczëtôjce le wë, Lénkowszczi, bo mie sę zdôwô, że móm oczë popsëté.

Brifka wziął lëst, a pod nosem sę mreknął i zaczął czëtac: „Më, Lénka Karczewskô i Antón Zdebekowszczi, mómë zaszcëtnosc zaprosëc wôs, Wicka z Mëgowsczych Pustków, na naszì weselësko, chtërny mdze u nôs doma, a sę zacznie drëdziëgo czerwca tego roku zarôzku z rena”.

— A widzycë Lénkowszczi, jô so tak zarôz mësłôł, że to je co wôżnégo.

— Czë to je możlëwé, zëbë të bël zaproszony na weselësko, choc wa nie krewni?

— A je możlëwé, bo Antón Zdebekowszczi gôdôł, że jesz czidës mie sę baro wënagrodzi za tego prosôka, co zem mu sprzedôł — rzekł na to Wick i z głową podniosł do górë szedł od nowa lezec za stodolę.

Od samuszcziëgo rena w dzëń, w chtërnym Wick miôł jic na weselësko, bëła fajna pogoda a porôc. A nôs Wick rëkowe sę ukrepowôł a bôtë pucowôł, a czëszczil, a przed lëstrem sę muckowôł, że wëdrzôł, jakbë go pchlë grëzlë.

Nôjgorszi zmartwienię miôł z ancuchem. Doma bëło le taczì po nieboszczëku tatku, a że Wick bël cenczi jak knëpel, za nic w swiece an-

cuch nie chcôł pasowac. Długo go przëmiërzôł a obzérôł zmartwiony, jaż zawzł sę zrobiëc jinaczi z tim upartim ancuchem.

Wzł tedë nôjpiërw obuł wszëtczi westczy a cwëtrë, jaczi bëłë doma, a tedë jesz wziął oblëkl biôłą koszulë. Na nogôwczi téz obuł wszëtczi spôdne buksë, jaczi znalôżł, a tedë na to wszëtko oblëkl ancuch. Grëbi sę stôł tedë jak pakôwka, le nijak sę tim nie martwił. Tëli, co kapelinder wsadzyl na lëpsko, a szedł wieldze zadowoloni z zëcô. Czie uszedł dosc tëleszny kawalk drodżi, zaczął sę pocëc jak koscelnô mësż, a stëkôł i dmuchôł pod nosem, a piszczôł, że mogło sę zdawac, co to jakôs maszineria gnô przez pustczy. Le to jesz nie bëło nick, bo czie dochodzyl do wsë, to tëli, co nogama szlapôł, a oczë mu całkiem na wiërzch wëlazlë. Dolôłz jednak do weselny chëczë. Pomalénku, cziej stark jaczis, a nié młodi knôp.

Wszëscë ju z koscoła przëszlë. Muzëkancë gralë całą mocą. Do stolów jedzenië podôwalë, a gosce ju po kątach popijalë a jedlë. Tedë do jizbë wlôżł Wick, taczì jaczis stroskôny, bo doch w tim pierszim momencie nie wiedzôł, co je rich-tich tu grône. W samim progu letko sę zdził, kapelinder zdrzucył a cëcho rzekł:

— Niech mdze pochwalony...

Nicht go jednak nie zauważył a nie uczul. Wick ni mógł pojąc, czemu ti lëdzëska tak pësczi rozdërają a hałasują, że jich we wsë je czëc. Po jaczims dlëższym momencie uzdrzala go stôrô Redlińskô.

— Czë to nie je czasama Wick z Mëgowsczych Pustków, bo ten knôp mie tak całkiem szlachuje za nieboszczëkiem Antónim? — zagôdala do stôri Makowszczi.

— Wick? Toc Wick je całkiem chudi, a ten knôp je czësti pëkôla. Czë może on tëli zgrëbiôł, bo dëcht długo jô go nie widzala.

— Czëkôjle, jô go zawolóm.

— Hejże, knôpie, pudżë tu! — zawrzeszczala stôrô Redlińskô.

Wick czësto sę przëstraszył, bo czie widzôł, że na niego zdrzq dwie stôrë babë a oczama wiercą, to jaż mgłoscë mu naçhodzëlë. A czie szedł w jich stônë, te nodzi mu sę zdżinalë, zëbë bëłë z zylcu.

— Co wa chcala? — spitôł sę stôrich bôb.

— Më tu tak na ce zdrimë a sztridëjemë sę, czë të jes Wick z Mëgowsczych Pustków, czë nié — odrzekla stôrô Redlińskô.

— Toc tu wiele nie je do sztridowaniô. Kôżdi doch wié, że jô jem Wick i szlôs.

— To të muszôł sę baro poprawic, bo czie jô ce widzala rôz we wsë, te të bël taczì chudi a taczì czësto mer, cobë ce piërszi lepszi wiater przewrócył — rzekla Makowskô.

— Nô, nô, le nie gôdôjce taczich glëpotów!

— Téz pewnie — odezwala sę Redlińskô — bo chto, to czul, zëbë taczëgo knôpa wiatrë przewrócalë. Sadni le so, Wicku kole naji, a wëz so sztëk miësà a bulew. Najëdz so, cobë të wiedzôł, że të na weselësku bël.

Wick sôł tak, że z lewi stronë miôł stôrą Redlińską, a z prawi Makowską. Babë do mëszi mu dokôladalë a frikasów po stole

szukałë, żebë le Wick sę dobrze najôdl. A on, biédaczësko, stëkôł a diszôł, cziebë bëł przë czężczy roboce. Do tego jesz babë go przëcyskałë a zaczęłë z jedny a drëdżi stronë przëgrzewac, że jemu sę zdało, co bëł w chłëbowim piecu. Czie ju so fest podjôdl a pas na ostatny zac popuszczil, tedë bialczy wlałë mu w bacherk sztrich wôdci i kôzałë wëpic. Wick powôchôł a zarôzku chwatkô głowë do górë dwignôł, bo jemu sę zdało, że chce mu sznobel ukrëcëc. Babë jednak nie dałë mu puku a zaczęłë kuszcë i bacherk mu pomagac dwigac, że Wick, choc wzdrigôł sę jak diôbel przed swięconô wodô, wëpil. Tëdë oczë mu całkiem na wiërzch wëlazłë i on zaczął dmuchac, pëskiem krziwic, że babë mëslałë, co we wëstrzôdku mu sę pôli. W tim całim strachu Redlińskô budlë chwëcëła a wôdci jesz w bacherk wlała i Wickowi podała. Ten sę wiele nie namësłôł i z bacherka wszëtko wëpil, le tëdë on mëslôł, że to ju z nim naprôwdë kuńc. Włosë mu na głowie sę dwigałë, kaszlësko go chwëcëło i rëkama zaczął wëmachiwac w të i wëwhtë, że babë wiëcy nic, le go mocno chwëcëłë a zaczęłë po puklu walëc. Czie Wick przëszedł do se, na babë zaczął dzëko zdrzec, a potëmu – nie wiëm czëmu – głupkowato sę zaczął smiôc. A te je dnô razô chwëcyl stôrô Redlińskô w pól a ze sedze

niô dwignôł i zaczął z nią tancowac, że jaż ji szorc podlôtiwôł do górë. Redlińskô krzikała, jakbë ja psë miałë grëzc, bo ten Wick doch tancowac nie umiôł. Za każdim razem na palce ji nadeptiwôł a mëslôł, że fejn pojmuje tancowac.

Czie sę ju richtich rozsëtolił, tëj wëzdrzôł jakbë go mëdżi oblazłë. Wszëtlich wkôł zaczął kuskac a ze wszëtczimi tancowac i krzicac, że to je nie do pomësleniô, cëż to chłôpisko wëstwôrzało. Lëdze sedzele a na gorôc narzëkalë i z dusz noscë nie chcało jim sę tancowac. Nôsż Wick wcale na tãczy rzecë nie zwôzôł. Lëdze zdrzelë na jëgo szalenie a głowamã kiwalë, a sę dzywovalë, że z tãczego spokôjnego knôpa, wej, stôł sę tãczy robëstnik.

Do rena Wicka sëlë nie opuszczalë, bo czie zaczął od obiôda szôlec, to drëdżiego dnia reno nic a nic nie oprzestôł. A czie ju weselësko sę skuńczëło, tëj on jaż do samich pustków, jak narzôd szedł, tańcowôł a krzicôł.

To ju bëło pewnie kole wieczora, czie Wick sę zbudzył. Mëslôł, chłôpisko, że go mocko głowa boli, a to go tëlë bôtë uwiëralë, bo ten czôrt spôł nogama na zôglôwk. A czie tëdë zdrzôł wkôł po jizbie, to mu sę zdôwało, że wszëtko je do górë nogama.

(12)

Przed układem kępińskim

Interludium

Jan Powierski

ARCYBISKUP PRUS ALBERT SUERBEER
WKRAČZA NA ARENĘ

Podczas gdy nad dolną Wisłą jesienią 1248 i w następną zimę toczyły się pertraktacje, mające przynieść stabilizację państwa krzyżackiego w Prusach, ożywił swoją działalność arcybiskup Prus i Inflant, Albert Suerbeer. Ten źle przez Krzyżaków, jako ich konkurent na terenie Prus, widziany dostojnik kościelny ożywił swoją działalność przede wszystkim na obszarze Inflant. Te ostatnie były w innej sytuacji politycznej niż Prusy, bowiem daleko korzystniejszy dla biskupstw podział kraju powodował, że Zakon Niemiecki nie łatwo zdobywał tu sobie wyraźną przewagę. Arcybiskup mógł więc nawiązać w Inflantach kontakty, dzięki czemu spełnił zapewne polecenie papieskie z 5 grudnia 1247 r., aby wyswięcić na biskupa Semigalii siostrzeńca arcybiskupa mogunckiego Zygryda (który był filarem papieskiego stronnictwa w Niemczech), Henryka z Luksemburga, bowiem ten ostatni rzeczywiście występuje potem jako biskup semigalski. Luksemburczyk nie miał zresztą wielkiej pocięchy ze swej diecezji, w praktyce kontrolowanej przez Litwinów.

Suerbeer nawiązał także jakieś kontakty z Aleksandrem Jarosławiczem (Newskim), księciem Nowogrodu Wielkiego, doniósł bowiem papieżowi Innocentemu IV, że ów niedawny pogromca Inflantczyków skłonny był uznać zwierzchnictwo papieskie nad kościołem ruskim i zbudować łaciński kościół w Pskowie. Dla Aleksandra Newskiego był to zapewne zabieg, mający na celu odsunięcie niebezpieczeństwa niemieckiego od strony Inflant przed swą podróżą do wielkochańskiej stolicy Mongołów w Karakorum, a za-

razem w czasie, gdy północnej Rusi groziła wojna domowa, grożąca interwencją ze strony Mongołów. W praktyce Aleksander Jarosławicz mógł co najwyżej godzić się na budowę kościoła łacińskiego w Pskowie, z którym mógłby być związany za przykładem Nowogrodu Wielkiego kantor niemieckiej Hanzы kupieckiej. Papież jednak przyjął informację arcybiskupa pruskiego za wiarygodną i 15 września 1248 r. wystosował do Aleksandra „króla” Nowogrodu list, w którym z uznaniem witał jego postawę i polecił mu nawiązać bezpośredni kontakt z Albertem Suerbeerm. Arcybiskup pruski uzyskał zarazem od wdzięcznego papieża, który marzył o poddaniu swej obediencji Rusi, zezwolenie na dyspensowanie jednego z arcybiskupich kandydatów na któreś z biskupstw w Prusach lub Inflantach, „cierpiącego na brak w urodzeniu” (zapewne urodzonego poza małżeństwem), i na wyswięcenie tegoż na biskupa. Jednocześnie tego samego dnia (17 września) Innocenty IV wyraził zgodę na to, by trzej z sufragánów arcybiskupa Alberta mogli przejąć zarazem inne beneficja kościelne dla umożliwienia im uzyskania stałych środków dochodu. Można sądzić, że chodziło tu o plany Suerbeera obsadzenia trzech nadal wakujących biskupstw pruskich. Jak wiemy dotychczas obsadzone było tylko jedno biskupstwo na tym terenie – mianowicie chełmińskie, obejmujące w większej części swej diecezji teren polski. Wiadomo poza tym, że w tymże czasie arcybiskup Albert wystął swego pełnomocnika („wicelegata”) na teren Inflant. Był nim franciszkanin Mikołaj, który 3 października 1248 r. poświadczył podział terytorium pskowskiego, rzekomo nadanego biskupstwu dorpackiemu przez Jarosława, ojca Aleksandra Newskiego, między to biskupstwo a Zakon Niemiecki.

Tymczasem zmieniała się sytuacja na wschód od ziem Prusów. Zapewne wiosną 1248 r. obydwaj Romanowicze, Daniel halicki i Wasylko wołyński, oraz Siemowit mazowiecki najechali na Jaćwięż. Jaćwięgowie, mimo zbrojnej pomocy ze strony Prusów (Pogezanów?) i Bartów, nie zdolali powstrzymać polsko-ruskiej wyprawy, która wtargnęła w głąb ich kraju. Jest możliwe, że jednym z przedmiotów narady Siemowita mazowieckiego z jego starszym bratem Kazimierzem kujawsko-łęczyckim (31 grudnia 1248 r.) była sprawa wykorzystania zwycięstwa dla rozszerzenia wpływów polskich na tereny Jaćwięży i południowych ziem Prusów. Jednocześnie akcja jednoczenia ziem bałtyjskich przez władcę litewskiego Mendoga wywołała opór ze strony poszkodowanych przez niego przywódców sąsiednich ludów, wśród których najaktywniejszy był jeden z książąt żmudzkich, Wykint. Ten zawarł sojusz z Romanowiczami, zdołał uzyskać poparcie połowy Żmudzi i Jaćwięgów, a następnie w porozumieniu z Danielem halickim udał się do Rygi, gdzie został ochrzczony, w zamian za co uzyskał od biskupa ryskiego Mikołaja i mieszczan ryskich przyrzeczenie poparcia w walce z Mendogiem.

W ten sposób zarysowała się możliwość rozszerzenia akcji chrystianizacyjnej na terenach bałtyjskich. Arcybiskup Albert Suerbeer, który zapewne osobiście przybył do swej prowincji kościelnej, mianował dominikanina Henryka biskupem Jaćwięży – o innych jego nominacjach na razie nic nie wiemy. Jest jednak zupełnie możliwe, że Albert po zawarciu układu dzierżogńskiego pojawił się także na terenie Prus, bowiem wkrótce potem Innocenty IV w bulli z 11 kwietnia 1249 r. stwierdził, że arcybiskup Prus i Inflant „został wypędzony poza swoją prowincję” i nie mógł już wyświęcić biskupa Henryka. W związku z tym papież upoważnił wszystkich arcybiskupów i biskupów do wyświęcenia dominikanina Henryka na biskupa Jaćwięży. 24 kwietnia Innocenty IV na prośbę arcybiskupa pruskiego zezwolił, by ten wykonywał wszystko, co wydaje mu się niebędące i pożyteczne dla realizacji zleconych mu zadań, bez względu na sprzeciw legatów. Czyżby za tym sformulowaniem kryła się wiadomość o jakimś nieporozumieniu między Albertem Suerbeerm a Jakubem z Liege, który, jak wiadomo, sympatyzował raczej z Krzyżakami? Może doszło nawet do spotkania obu pełnomocników papieża. Może też Jakub z Liege nie chciał poprzeć wcześniejszych nominacji arcybiskupa pruskiego na biskupstwa pruskie.

W każdym razie wiadomo, że Albert w 1249 lub 1250 r. mianował nieznanego z imienia biskupa Natangii (chodzi o późniejszą diecezję warmińską) oraz biskupa Sambii Tetwarda. Jest przy tym interesujące, że obie nominacje dotyczyły tych diecezji, które w całości lub częściowo obejmowały tereny, dotychczas przez Krzyżaków nie opanowane. Nie wykonał wobec tego Albert polecenia papieskiego, by powierzył biskupstwo warmińskie lub inne z biskupstw pruskich kapłanowi Zakonu Niemieckiego, Henrykowi v. Strittberg (11 II 1249). Nie wykluczone zresztą, że gdy to polecenie dotarło już do Alberta, wszystkie wolne biskupstwa pruskie były już obsadzone, bowiem czwarte, poza chełmińskim, natangijskim (warmińskim) i sambijskim, to znaczy pomezzańskie ze stołecznym niegdyś dla Kościoła pruskiego Ścierzem, musiałby przecież arcybiskup zostawić dla siebie.

Jeśli Albert Suerbeer rzeczywiście był na terenie swej prusko-inflanckiej prowincji kościelnej około lutego 1249 r., to wypędzony stąd przez Krzyżaków musiał się udać, drogą przez Lubekę (gdzie był obecny 27 marca), do Lionu, w którym uzyskał wspomniane bulle papieskie i zapewne złożył skargę na Krzyżaków. Jej efektem mogła być próba doprowadzenia do polubownego rozstrzygnięcia sporu. Z polecenia papieskiego wyznaczono termin spotkania między arcybiskupem a mistrzem krajowym Prus Dytrychem v. Grünigen w Lubecie na dzień św. Jakuba (25 lipca). Dytrych rzeczywiście przybył do Lubeki w dniu św. Marii Magdaleny (22 lipca), natomiast arcybiskup zmuszony był w tym czasie załatwiać inne sprawy, nam niestety nieznane, i nie stawiał się na termin. W tej sytuacji Dytrych odczekał 7 dni i gdy zwany na termin arcybiskup nie przybył do Lubeki odjechał, twierdząc, że także ma ważne sprawy do załatwienia, składając oświadczenie wobec dominikanów, franciszkanów i rady miejskiej Lubeki, że spotka się z Albertem w innym czasie. Oświadczenie Dytrycha zostało poświadczane w dokumencie wójta i rajców lubeckich z 30 lipca. Nie wiadomo, czy Albert rzeczywiście miał tak ważne sprawy do załatwienia, że nie mógł zjawić się na termin do Lubeki, czy też uchylił się od spotkania z Dytrychem, nie będąc w pełni przy-

gotowany do dostarczenia argumentów przeciw Zakonowi. Bardziej prawdopodobna wydaje się pierwsza możliwość, wiadomo bowiem, że arcybiskup pruski już wcześniej był wykorzystany przez papieża do działalności dyplomatycznej przeciw stronnictwu cesarskiemu.

KONTRAKCJA ZAKONU

Po śmierci wielkiego mistrza Henryka v. Hohenlohe (16 lipca) spadło z Zakonu w opinii kurii papieskiej to częściowe odium, które było spowodowane jego poparciem dla cesarza Fryderyka II. Tym łatwiej więc mógł mistrz krajowy pruski Dytrych przystąpić do akcji, której celem było zapobieżenie ewentualnym wrogim krokom arcybiskupa Alberta. Dytrych pojawił się w Lionie w październiku. W pierwszej kolejności uzyskał 22 października zatwierdzenie warunków pokoju między Zakonem a Świętoplekciem. Następnie 25 października Innocenty IV wezwał arcybiskupa, aby się zjawił w kurii papieskiej do najbliższej Wielkanocy celem wyjaśnienia sporu z Krzyżakami, co ze swej strony przyrzekł także Dytrych. Papież upoważnił opata z Buch (w Miśni) do dopilnowania, by Albert rzeczywiście stawiał się w kurii. Jednocześnie w tymże dniu Innocenty IV polecił temuż opatowi, by arcybiskup Prus, Inflant i Estonii po otrzymaniu pisma papieskiego nie ośmielił się występować przeciw Zakonowi, lecz popierał Krzyżaków w organizowaniu „pielgrzymów” (krzyżowców), w zbieraniu ofiar i w innych sprawach, a także aby nie ośmielił się z powodu konfliktu wydawać na nich wyrok lub rzucać kłatwę. Gdyby zaś arcybiskup rzucił kłatwę, miała być ona uznana za nieważną jako sprzeczna z poleceniem papieskim. W trzy dni później papież pisał do biskupa chełmińskiego Heidenryka, że Krzyżacy „cierpią ciężkie nieprawości i szkody w swoich posiadłościach i innych dobrach ze strony niektórych [osób]” polecając zarazem Heidenrykowi, by bronił ich, a prześladowców obłożył karami kościelnymi.

Z poprzednimi wiązały się też inne wezwania papieskie. 4 listopada Innocenty IV polecił prałatom z Ratzeburga, by dopilnowali uwolnienia pewnych Lubeczan, zmierzających na krucjatę do Inflant i Prus, uwięzionych przez książąt rugijskich Wisława i Jaromira. Następnego dnia papież wezwał króla duńskiego Eryka Plogpenniga, by zawarł pokój z Lubeczami, gdyż wojna przynosi szkody także sprawie chrześcijaństwa w Prusach i Inflantach. Trochę o zawarciu tegoż pokoju obarczył arcybiskupa lubeckiego i biskupa Schwerinu. Widać wyraźnie, że papieństwo podjęło kroki, mające na celu doprowadzenie do pokoju między Danią i zależną od niej Rugią a Lubeką przede wszystkim ze względu na interesy krzyżackie w Prusach i Inflantach, którym ta wojna szkodziła, uniemożliwiając swobodny przejazd krzyżowców z Saksonii do państwa krzyżackiego. Sprawa przejazdu była dla Zakonu tym ważniejsza, że właśnie przygotowywał się do wyprawy do Prus margrabia brandenburski Otto. Nieoczekiwanie pomoc ta stała się tym ważniejsza, że oto 30 listopada 1249 r. pod Kruke Prusowie rozbili znaczne siły krzyżackie, obejmujące między innymi konwenty Dzierzgonia, Elbląga i Balgi, które zaatakowały tę część Natangii, która w układzie dzierżogńskim nie poddała się Krzyżakom. Na placu boju padło 53 braci Zakonu, nie licząc naturalnie świeckich. Była to więc bardzo poważna klęska.

Musimy teraz poświęcić nieco uwagi dokumentowi arcybiskupa Prus i Inflant Alberta, legata papieskiego, zachowanemu w oryginale i datowanemu na 10 stycznia 1249 r. Wystawca stwierdza w nim, że za pośrednictwem biskupów: dominikanina Heidenryka chełmińskiego, dominikanina Ernesta pomezkańskiego i Henryka warmińskiego, którego można zidentyfikować z kapłanem Zakonu Niemieckiego Henrykiem v. Strittberg, oraz margrabiego brandenburskiego Ottona, zawarł ugodę z mistrzem Zakonu. Obie strony odpuszczały sobie nieprawości i szkody, wzajemnie wyrządzone. Arcybiskup przyrzekł wspierać Zakon i nie oskarżać go przed papieżem czy przed innym sądem w sprawie praw i wolności, posiadanych w Prusach zgodnie z dokumentami papieskimi. Krzyżacy zaś, że nie będą prześladować arcybiskupa, lecz będą go szanować. Przyrzekli także wypłacić w Elblągu arcybiskupowi lub jego prokuratorowi 300 grzywien: 60 przed 2 lutego następnego roku, 40 na 11 listopada a 200 do 2 lutego kolejnego roku. Przyrzekł wreszcie arcybiskup, że nie ustanowi nowej siedziby w Prusach, chyba, że za pełną zgodą Zakonu. Miejsce wystawienia dokumentu nie jest znane.

Dokument ten nasuwa szereg wątpliwości. 10 stycznia 1249 r. nie było jeszcze biskupów: pomezkańskiego i war-

mińskiego, gdyż nie brali oni udziału w zawarciu układu dzierzgońskiego, ani też nie ma innych śladów ich działalności w 1249 r. Jeszcze też 11 lutego tegoż roku papież polecił arcybiskupowi mianować na biskupa warmińskiego Henryka v. Strittberg. Nic też nie wiadomo o możliwości spotkania w tym czasie Ottona brandenburskiego z Krzyżakami i arcybiskupem. Prawdopodobny jest więc pogląd zachodnioniemieckiego historyka Kurta Forstreutera, że w dokumencie zastosowano datację roczną według stylu marcowego, zgodnie z którym rok 1249 trwał do marca następnego roku według naszej obecnej rachuby, czyli 10 stycznia 1249 dokumentu to w istocie 10 stycznia 1250 r. Takie zdanie popiera fakt, że według rękopisu kroniki Dusburga, na której oparł się autor Kroniki Oliwskiej, margrabia brandenburski wyprawił się do Prus w 1250 r. Inne rękopisy Dusburga, które dotrwały do naszych czasów, mają nawet jako roczną datę tej wyprawy rok 1251. W związku z tym niektórzy badacze przyjmowali nawet, że margrabia Otto aż dwukrotnie wyprawił się do Prus, w 1249 i w 1251 r., czego przyjąć nie sposób.

Miejsce zawarcia układu i osobę reprezentanta strony krzyżackiej – Dytricha v. Grünigen znamy z późniejszego dokumentu. Wynika z niego, że układ został zawarty na terenie Prus. Ostatecznie więc możemy z bardzo dużą dozą prawdopodobieństwa zrekonstruować przebieg wydarzeń. Biskup pomezaniański Eryk i biskup warmiński Henryk zostali mianowani i wyswięceni już u schyłku 1249 r., chociaż nie wiadomo, czy przez arcybiskupa Alberta. Do spotkania margrabiego Ottona z Albertem dojść mogło w Lubecie, gdzie widocznie Brandenburczycy załadowali się na statki. Nie wykluczone, że Albert został przymuszony do zawarcia układu, gdyż następnie, i to wkrótce, doszło do nowego wybuchu sporu a Krzyżacy na korzystny dla siebie przecięcie układ nie powołali się.

Z pomocą brandenburską rycerze zakonni podporządkowali sobie przynajmniej część Pogezanii, a może i inne jakieś tereny.

Tymczasem Henryk v. Strittberg wkrótce potem zrezygnował z biskupstwa warmińskiego. Może wpłynął na to ponowny wybuch sporu między Zakonem, którego był członkiem, a zwierzchnikiem kościelnym, jakim był dla Henryka Albert Suerbeer. Zamiast Henryka, niewątpliwie pod wpływem dyplomacji, został wyswięcony na biskupa warmińskiego w Valenciennes we Francji 28 sierpnia 1250 r. inny kapłan krzyżacki, Anzelm. Ten jednak również miał wątpliwości co do prawomocności swej nominacji i konsekracji, gdyż papież w bulli z 6 października musiał go w tej sprawie uspokoić. Chodziło naturalnie nie tylko o uspokojenie sumienia, ale i o umocnienie podstaw prawnych. Zakonowi najwidoczniej bardzo zależało na obsadzeniu diecezji warmińskiej, największej z diecezji pruskich, przez kapłana swojej reguły. Nie miał tych wyżej stwierdzonych wątpliwości biskup pomezaniański Ernest, który jednak nie miał żadnego mianowanego przez arcybiskupa rywala. Stosunki Ernesta z Zakonem nie były wolne od pewnych kłopotów. Zachowały się teksty dwóch dokumentów z 18 i 19 marca 1250 r., wystawionych przez wicemistrza krajowego Ludwika v. Queden i komtura dzierzgońskiego Henryka Stango, dotyczące podziału Pomezanii na władztwa terytorialne Zakonu i biskupstwa, zgodnie z warunkami powołania do życia biskupstw pruskich. W pierwszym z tych dokumentów przedstawiono podział diecezji pomezaniańskiej na trzy części. Pierwsza z nich obejmowała tereny południowo-zachodnie: Kwidzyn z okolicą i południową część Żuławy Kwidzyńskiej, ziemię Rezią w okolicach późniejszych Prabut i Susza oraz większą część ziemi przestawskiej, ale bez pewnych terenów nad Osą. Do części drugiej (wschodniej) zaliczono wschodnią część Pomezanii oraz ziemię pasłęcką, a do części trzeciej (północnej) – północno-zachodnią część Pomezanii, północną część Żuławy Kwidzyńskiej i Żulawę Ścierzską (tzn. Wielką Żulawę). Zastrzeżono jednak, że gdyby biskup wybrał część północną, w której leży krzyżacki gród Dzierżgoń, wówczas ten gród pozostanie w posiadaniu Zakonu, a biskup otrzyma za niego inny ekwiwalent. W drugim dokumencie oświadczone, że Ernest wybrał jako swoje władztwo część południowo-zachodnią. Później jednak, w dokumencie z 22 grudnia 1254 r. biskup Ernest stwierdził, że początkowo wybrał część północną, ale doświadczeni ludzie przekonali go, że część ta narażona jest na ataki pogan, w związku z czym lepiej nadaje się dla Zakonu, niż dla niego. W konsekwencji Ernest zamienił tę część na południowo-zachodnią z Kwidzinem, niedługo zamieszkałym przez chrześcijan. Zda się więc, że wybranie przez biskupa części południowo-zachodniej nie

obyło się bez wahań a może i nacisków Krzyżaków, dla których istotne znaczenie miało posiadanie tak ważnych strategicznie punktów, jak Dzierżgoń i Ścierz. Dodajmy, że Ernest nie nazbyt był zadowolony z wyboru, skoro potem domagał się pewnych rekompensat i rzeczywiście je uzyskał.

ODZYCIE STARYCH KOALICJI

W tym czasie przez cały rok 1249 Pomorze Gdańskie przeżywało okres politycznego spokoju, ale w to miejsce odżyły wewnętrzne spory, chociaż może ujawniły się one na poważniejszą skalę dopiero w roku następnym. Toczył się więc spór między klasztorami w Oliwie i Żukowie o Kępę Oksywską. Jednocześnie rozgorzał konflikt między cystersami oliwskimi a biskupem wrocławskim Michałem o dziesięciny. Biskup rzucił na klasztor klątwę, książe Świętopełk niewątpliwie stanął po stronie klasztoru, który stał przy nim wiernie w czasie długotrwałej wojny, oddając dyplomatyczne usługi. W tej sytuacji odżyła dawna wrogość między księciem a biskupem. Z kolei książe Sambor podtrzymywał swoje przyjacielskie stosunki z Zakonem Niemieckim, z którym, jak wiemy, już podczas pobytu archidiakona Jakuba z Liege zawarł korzystną dla Zakonu ugodę o Wielką Żulawę, zabezpieczającą Krzyżakom między innymi posiadanie leżącego obok Ścierz. Z kolei w pierwszej połowie 1250 r. Sambor nadał biskupowi Michałowi w zamian za 300 grzywien długu, zaciągniętego podczas wygnania, 7 wsi. Jest to świadectwem utrzymujących się nadal dobrych stosunków między Samborem a biskupem wrocławskim. Co więcej, układ w tej sprawie został zawarty najprawdopodobniej w krzyżackim Toruniu, a poza tym nie ulega wątpliwości, że właśnie w Toruniu mistrz krajowy pruski Ludwik wystawił oświadczenie, nie tylko stwierdzające zawarcie powyższego układu, ale także wyrażające zgodę na nadanie. Oznaczało to powtórzenie sytuacji z 1241 r. i zarazem naruszenie uprawnień zwierzchnich Świętopełka jako pomorskiego seniora. Jak widać, odżył sojusz między Krzyżakami, biskupem wrocławskim i księciem Samborem, godzący w interesy Świętopełka.

W lipcu i sierpniu przebywało w Lionie poselstwo cystersów oliwskich, może sam opat klasztoru, który przecież zobowiązany był stawić się do francuskiego Citeaux na generalną kapitułę cystersów, która z reguły odbywała się we wrześniu. Nie wiemy, czy reprezentowali oni także Świętopełka, niewątpliwie natomiast zadbali o interesy klasztoru. Oto 7 lipca Innocenty IV w liście skierowanym do biskupa Michała polecił zdjąć z opata i konwentu oliwskiego ekskomunikę, i jednocześnie nakazał archidiakonowi kaliskiemu i skarbnikowi kapituły gnieźnieńskiej, by dopilnowali wykonania tego polecenia. Potem 28 lipca papież wezwał Świętopełka do zwrócenia cystersom oliwskim zabranej (i przekazanej norbertankom z Żukowa) części Kępy Oksywskiej, a w innym piśmie polecił arcybiskupowi Prus i Inflant, by wezwał księcia pomorskiego do zwrócenia zakonnikom wspomnianych dóbr. Z 3 sierpnia pochodzą dalsze przywileje papieskie dla opactwa oliwskiego.

Nas tu najbardziej interesuje fakt wyboru arcybiskupa Alberta na egzekutora polecenia papieskiego w sprawie Kępy Oksywskiej. Można przyjąć, że wybór ten był zgodny z życzeniem opata oliwskiego, który z kolei musiał dobrze wiedzieć, że Albert jest w stanie wpłynąć na księcia, a więc tym samym, że obaj są ze sobą w dobrych stosunkach. Jest to pierwszy źródłowy ślad nawiązania stosunków między Świętopełkiem a Albertem Suerbeerm, niewątpliwie związanych wspólnym interesem zwalczania Krzyżaków. Istotnie wkrótce potem arcybiskup Prus wraz ze swym sufraganiem biskupem Natangij przebywał na Pomorzu, gdzie obaj duchowni oraz Świętopełk zapośredniczyli układ o Kępę Oksywską między klasztorami w Oliwie i w Żukowie. Informacja o tym pochodzi niestety tylko z późniejszego dokumentu (z 1279 r.), w związku z czym niczego więcej o pobycie Alberta i jego sufragana na Pomorzu nie wiemy. Nie ulega jednak wątpliwości, że ich stosunki ze Świętopełkiem były wówczas przyjazne. Wskazują na to także dalsze wydarzenia, a zwłaszcza rola, jaką wobec Świętopełka miał w niedalekiej przyszłości odegrać drugi nie związany z Krzyżakami sufragan arcybiskupa Alberta, biskup sambijski Tetward.

Krzyżacy musieli być dobrze poinformowani o zbliżeniu między Świętopełkiem a arcybiskupem Prus. Już wkrótce potem spotykamy pewne ślady ich reakcji. W jakiejś mierze świadczy o tym zadbanie Zakonu by, jak wspomniano, na

miejsce wahającego się widocznie Henryka v. Strittberg osadzić innego członka Zakonu, Anzelma. List papieski do Anzelma, rozstrzygający jego wahania co do prawomocności jego nominacji i konsekracji na biskupa warmińskiego (w sytuacji gdy istniał już inny biskup tejże diecezji — biskup Natangii), został wysłany 6 października, a więc niedługo po wystosowaniu innej bulli papieskiej, która niewątpliwie wiąże się z interwencją krzyżacką w kurii łódzkiej. Oto 27 września papież Innocenty IV odebrał arcybiskupowi Albertowi pełnomocnictwa legackie i zabronił mu bez ewentualnego nowego mandatu papieskiego mianować biskupów w Prusach, Inflantach i Estonii. Nic dodać, nic ująć. Wnioski nasuwają się same.

Wkrótce potem papież wezwał Alberta do Lionu. Zjawił się tu również nasz stary znajomy, Dytryk v. Grüningen, ponownie jako mistrz krajowy Prus i Kuronii. Co najmniej od początków lutego 1251 r. toczyły się w kurii przetargi, dotyczące rozstrzygnięcia sporu między obu stronami. W trakcie przetargów odwołano się, jako do eksperta, do byłego wieloletniego legata papieskiego Wilhelma z Modeny, który był teraz kardynałem-biskupem Sabiny. Wilhelm 21 lutego oświadczył, że przy podziale Prus i Inflant dwie trzecie kraju winny przypadać Zakonowi, który ma także otrzymywać z tych części dziesięciny. Interesujący jest tu fakt zrównania warunków podziału w Inflantach i w Prusach, będący w stosunku do pierwszego z tych krajów co najmniej uproszczeniem dawnych postanowień. W równoczesnym oświadczeniu, dotyczącym przynależności Kuronii do Prus lub do Inflant (z czym właśnie wiązały się odmiennie zasady podziału między Zakon a biskupa), Wilhelm opowiedział się za korzystniejszą dla Krzyżaków pruską przynależnością Kurlandii. Jak widać, Wilhelm i na starość pozostał stronnikiem Zakonu Niemieckiego. 24 lutego trzech kardynałów (wśród nich Wilhelm) stwierdziło zawarcie za ich pośrednictwem ugody między Zakonem a arcybiskupem Inflant i Prus Albertem. Obie strony darowały sobie wyrządzone wzajemnie szkody. Arcybiskup uznawał prawo Krzyżaków do pobierania ekwiwalentu za rezygnację z wykonania ślubów krucjatowych i przyrzekał popierać ich w głoszeniu krucjat. Przy podziale Prus i Kuronii dwie trzecie obszaru poszczególnych diecezji miały przypadać Zakonowi i jedna trzecia miejscowemu biskupowi. Krzyżacy uznawali prawa świeckie arcybiskupa

poza terenem Prus i Kuronii, ale jurysdykcja arcybiskupa miała rozciągać się również na te kraje. Albert przyrzekał dalej nie wyrządzać w jakikolwiek sposób zła Zakonowi, ani zawierać przeciw niemu sojuszy z chrześcijanami (co miało zapobiec zwłaszcza ewentualnemu sojuszowi ze Świętoplekciem) i poganami. Zobowiązano Krzyżaków do wsparcia Alberta i jego sufraganów w działalności misyjnej, gdyby poganie jakiejkolwiek ziemi chcieli nawrócić się na chrześcijaństwo, ale bez naruszenia przywilejów samego Zakonu. Na razie nie było mowy wprost o wyeliminowaniu przyszłej siedziby arcybiskupstwa z Prus, ale pośrednio na to wskazuje zmiana kolejności w tytułowaniu Alberta: jest on teraz określony nie jako arcybiskup Prus i Inflant, lecz jako arcybiskup Inflant i Prus.

Sprawa siedziby arcybiskupa została rozstrzygnięta przez tych samych kardynałów 3 marca 1251 r. Zdecydowano, że siedzibą arcybiskupa ma być Ryga. Jeśli biskup ryski (Mikołaj) zechce wymienić swoją diecezję na jakąś inną, ma być ona natychmiast przekazana arcybiskupowi, w przeciwnym wypadku arcybiskup otrzyma ją po śmierci Mikołaja. Jednocześnie do diecezji ryskiej włączono zlikwidowaną w tym celu diecezję semigalską, której aktualny biskup Henryk z Luksemburga został w zamian mianowany biskupem kurońskim.

9 marca papież zatwierdził układ między Albertem Suerbeemem a Krzyżakami i polecił biskupowi ołomunieckiemu Brunonowi dopilnowanie, by został on wcielony w życie. W 5 dni później Innocenty IV zatwierdził też postanowienia, dotyczące diecezji ryskiej, semigalskiej i kurońskiej, polecając wykonanie ich biskupowi ożylińskiemu. Już 7 marca papież nakazał prowincjałowi dominikanów w Polsce wysłanie braci zakonnych do nawracania pogan w Prusach i Inflantach.

Układy łódzkie, w gruncie rzeczy wymuszone na arcybiskupie Albercie, oznaczają w swych skutkach przekształcenie arcybiskupstwa Prus i Inflant w arcybiskupstwo ryskie, a zarazem — po myśli Krzyżaków — wyeliminowanie politycznej roli arcybiskupstwa na terenie Prus. Nie od razu jednak mogły one wejść w życie, gdyż biskup ryski Mikołaj nie zgodził się na zmianę diecezji, a arcybiskup niewątpliwie, z wyników układów nie był zadowolony. Konflikt między nim a Zakonem Niemieckim nie został zakończony. (cdn.)

Opowieści rybaków

Opowiada Antoni Korczyński

I

Obecnie jestem latarnikiem, pracuję w latarni morskiej w Czołpinie a mieszkam w Klukach położonych nad jeziorem Łebsko. Tutaj przyjechałem bezpośrednio po wojnie, osiadłem wśród miejscowej ludności, Słowińców, żyłem z nimi, poznałem ich obyczaje i wydaje mi się, że stałem się jednym z nich.

Przekonany jestem, że w szybkim zaaklimatyzowaniu się pomogło mi rybołówstwo, które uprawiałem wspólnie ze Słowińcami już od 1946 roku. Wówczas to pracowałem z Kirkiem Albertem, Barno Augustem, Barno Karolem i Kirkiem Wilhelmem.

Brakowało nam wówczas sprzętu. Mielśmy do transportu ryb zaledwie jedną dużą łódź żaglową, którą przewożiliśmy ryby z Kluk, Boleńca do magazynów w Łebie. Przy niesprzyjających dla żeglugi wiatrach podróż trwała nawet do sześciu godzin. Dopiero później, gdy powstały Państwowe Gospodarstwa Rybackie, powoli zaczęło przybywać sprzętu rybackiego. Było już więcej motorów, dzięki którym praca nie była już tak bardzo ciężka.

Tutaj w Klukach rybacy łączyli się w grupy, które otrzymywały nazwę brygad, podobnie zresztą jak na

Półwyspie Helskim, gdzie rybacy łączyli się w maszoperie, ponieważ w gromadzie łatwiej przebiegała praca. Na co dzień jednak łowiło wspólnie dwóch rybaków, co było podyktowane brakiem motorów i w ogóle sprzętu. Do małych żagli i wiosel wystarczyło dwóch rybaków. Natomiast przy użyciu sprzętu stawnego, przy połowach wontonami, drygawicą, żakami, a w okresie zimowym niewodem, łowili wszyscy, cała brygada.

Przy połowach niewodem stosowaliśmy drewniane windy, które przyciągaliśmy na miejsce połowów saniami. W czynnościach tych z reguły brało udział 14—16 osób. Podobnie transportowaliśmy sieci i inny sprzęt. Bywało, że nawet cały dzień marnowaliśmy na przetransportowanie sprzętu, bo odległości były znaczne, nawet do 8 kilometrów. No, a rezultaty połowów były różne. Raz złowiliśmy mniej, innym razem więcej. Pamiętam jeden bardzo udany połów pod lodem w 1947 roku, kiedy to złowiliśmy 70 ton ryby. Muszę tutaj dodać, że w okresie wczesno-wiosennym nasza połowa jeziora, ta od strony Kluk, przy wiatrach przeważnie zachodnich taże jakieś dwa do trzech tygodni wcześniej. Łeba jest jeszcze zarzucona lodem a Kluki już rybę odlawiają. Zjawisko tych zjawisk jest bardzo ważna podczas przy-

gotowań do połowów. I tak pamiętając, że tu wcześniej lód topnieje transportowaliśmy łodzie wówczas gdy lód był jeszcze gruby. Po stopnieniu łodu dojeżdżaliśmy do tych łodzi już ładem. A to jest bardzo ważne, gdyż zaraz spod łodu szczupak idzie na tarło, no a wtedy go się znakomicie łowi. My mieliśmy już kilka ton odłowionych ryb, a Leba jeszcze nie mogła na połów wyjechać z uwagi na lód. Ta różnica w czasie trwała dwa, a nawet i trzy tygodnie ze względu na sprzyjający nam zachodni wiatr.

Przypominając sobie odległe lata nie mogę pominąć Boleńca, który usytuowany na Mierzei Lebskiej, był czymś w rodzaju sezonowej stacji rybackiej, nazywanej niejednokrotnie „sieżą rybacką”. Kiedyś, gdy było w Klukach więcej rybaków, na Boleńcu było chyba ze sześć domków. Co roku kilku rybaków z Kluk wybierało się na Boleńcie i przebywali tam tygodniami, bo z uwagi na odległość (prawie 10 km do Kluk) i niesprzyjające wiatry, nie opłacało się codziennie na wiosłach, ewentualnie pod żaglami pokonywać tę trasę. Toteż praktycznie późną wiosną, lato i wczesną jesień spędzali na Boleńcu. Od strony otwartego morza łowili „małą rybkę”, tak nazywali kraby — przynętę zakładaną na haki. Haczyki na węgorze rzucali przy brzegu i całe miesiące spędzali na tych zajęciach. Na Boleńcu wszyscy rybacy pracowali wspólnie, dzieląc między siebie poszczególne prace. Jeden gotował obiad, drugi szykował sprzęt, trzeci odławiał kraby i tak dalej. Wspólna była praca, ale również i podział złowionej ryby był równy i sprawiedliwy. Do Boleńca przyplływała nasza duża łódź żaglowa, zabierała rybę i woziła do Leby. A rybacy cały czas łowili, do domów w Klukach przyjeżdżali tylko raz w tygodniu po prowiant. W Boleńcu rybacy mieli nawet piękny ogródek z drzewkami owocowymi. No, a teraz to wszystko uległo zniszczeniu. Obecnie stoi tam tylko jedna szopa rybacka i to też w bardzo kiepskim stanie. Chałupy w Boleńcu zbudowane były konstrukcją szkieletową, ściany między belkami wypełniała glina wzmocniona patykami, dachy były z trzciny. Po raz ostatni rybacy wyprawili się tam i mieszkali chyba w 1948 roku.

Chciałby jeszcze opowiedzieć o łodziach, jakich używano w Klukach. Do tradycyjnych, związanych tylko i wyłącznie z jeziorami Lebsko i Gardno, należały tzw. czołna lebskie albo słowińskie. Były to bardzo ciekawe łodzie. Początkowo tylko one tutaj występowały, ja też na nich pływałem. Później tych łodzi było coraz mniej, bardzo szybko zanikały, ponieważ PGR-y dawały nowy sprzęt. Kilka z tych zabytkowych już czołen zdołałem uratować od zniszczenia. Podczas kasacji, gdy trzeba było łodzie porąbać lub spalić, żeby nie płały się gdzieś po jeziorze, niektóre czołna przewiozłem i zatopiłem w kanale. A teraz właśnie je wydostałem i oddałem do muzeum w Helu. Do 1946—47 roku używaliśmy wyłącznie czołna słowińskie, innych jednostek nie było. Dopiero w latach 1948—49 zaczęto wprowadzać nowe. Wspominałem już dużą łódź żaglową którą nazywaliśmy — łodzią Barnowa. Stacjonowała ona w Klukach i odwoziła ryby z Kluk i Boleńca do Leby. Obsługiwało ją trzech ludzi, ale załoga tej łodzi nie była stała, wymieniała się. Razem z mną przez pewien czas jeździli na niej Barno August i Kirk Albert. Ta łódź również zaginęła, ale prawdopodobnie uda mi się ją odnaleźć, wydobyć z jeziora i przekazać do muzeum.

Łodzie słowińskie budował Albert Kirk. Prawdopodobnie wszystkie łodzie w Klukach i okolicy wykonał Albert ze swoim pomocnikiem Irwinem Kirkiem. Szkutnicy ci już nie żyją. Trzeba tutaj dodać, że budowanie łodzi w ich rodzinach było tradycją, która przechodziła z ojca na syna. Łodzie te budowali jeszcze przed wojną, teraz takich łodzi już się nie buduje.

II

Opowieści tej jest ciąg dalszy. Członków Klubu Ochrony Środowiska „Między morze”, działającego przy Muzeum Rybołówstwa w Helu, szczególnie zafascynował fragment, w którym Antoni Korczyński opowiada o Boleńcu — sezonowej stacji rybackiej. Miejsce to

stało się punktem docelowym wycieczek etnograficznych organizowanych przez klub. Niestety, z dużą przykrością i żalem trzeba stwierdzić, że za każdym naszym pobycem widać było kolejne postępujące zniszczenia na skutek braku jakiegokolwiek opieki, mimo, że pozostałości stacji reprezentowały sobą duże wartości historyczne, etnograficzne, no i oczywiście zabytkowe (początki stacji sięgają XVI w.). Efektem ostatniej naszej wycieczki etnograficznej w okresie 24—26 listopada 1978 r. jest szczegółowy zapis w kronice klubowej, który przytaczam prawie w całości:

„Zbliżał się powoli wieczór. Za nami, na tle zachodzącego już słońca, pozostał wyniosły Rowokół. Czołno pchane silnymi uderzeniami wiosel parło z szumem do przodu, pozostawiając za sobą szlak na gładkiej dziś powierzchni jeziora Lebskiego. Drogowskazem na horyzoncie wśród lasu i wydm był bijący prosto do nieba słup dymu — cel naszej wyprawy. Monotonny i jednostajny rytm pracy dulek trochę nużył. Z trzciny wyleciały z krzykiem łyski spłoszone naszym zbliżaniem się. Rozpędzone wąskie czołno, szurając dnem po piasku, dobiło do brzegu. Wysiedliśmy, prostując nogi i plecy. Tymczasem silne, nawykłe do tej pracy ręce milczących przewoźników, chwyciły czołno i wyniosły dalej na brzeg. W oddali, w zapadającym mroku wśród drzew, widać było dość wysoko podbudowane szałas z trzciny, pośród których stała chata, także trzcina i sitowiem kryta. Z niej to dochodził wesół gwar i rubaszne śmiechy słowińskich rybaków, po udanych połowach. W powietrzu czuć było woń pieczonej ryby, w którą wkładał się specyficzny zapach suszących się sieci, zgnilego sitowia i dymu. Gdzieś obok zarżał cicho koń...”

Tak być może było kiedyś, a dziś? Dzisiaj dochodzimy tam piechotą, turystycznym szlakiem podczas jesiennej dokuczliwej mżawki. Naszym oczom ukazuje się ruina. To niestety resztki jednej z chat rybackich w Boleńcu. Smutny to widok. Szczególnie teraz, gdy liście już opadły z drzew. Próbuje robić pomiary tego co pozostało. Chata zbudowana była na płaskim terenie, prostopadłe do jeziora w odległości około 30 m od brzegu. Tuż za nią, grunt powoli się podnosił, aż dochodził do utrwalonej, porośniętej wydmą. Z chaty o szkieletowej konstrukcji, pozostała tylko lekko pochylona zachodnia ściana i druga równoległa do niej, ale tylko o długości 5 m. Wewnątrz stojących ścian leżały zbutwiałe krokwie dachu wraz z pokrywającą je trzcina, oraz część muru z cegły (z paleniska). Na resztkach stojących ścian zewnętrznych i wewnętrznej murowanej leżały jeszcze dwie belki stropowe. Połowa ściany wschodniej leżała na zewnątrz chaty. Wśród belek i trzciny z dachu od strony jeziora znaleźliśmy stare, nadgniłe sieci. Według naszej wstępnej oceny, sieci były wiązane ręcznie z włókna konopnego.

Surowcem, którym wypełniono konstrukcję szkieletową chaty była glina wymieszana z drobno posiekaną trzcina wzmocniona wbitymi łupanymi drewnianymi kolkami. Tego rodzaju rozwiązanie usztywniało wypełnienie, jednocześnie zapobiegało wypadnięciu części ściany na przykład na skutek przypadkowego uderzenia. Chata nie posiadała fundamentów, całość spoczywała na kamieniach. One też regulowały odpowiednie zachowanie poziomu. Nie udało nam się ostatecznie stwierdzić jakie było podłoże wewnątrz chaty, możemy tylko przypuszczać, że był to rodzaj glinianej polepy-klepiska, spotykanego także w zabudowaniach gospodarczych w Klukach. Chcąc się czegoś bliższego dowiedzieć o Boleńcu, zadaliśmy parę pytań pan Keczowi, opiekunowi Muzeum Etnograficznego w Klukach. Otóż pan Kecz powiedział nam, że obok chaty, której resztki widzieliśmy, stały jeszcze inne chaty i szałas o podobnej konstrukcji, których przeznaczenie było różne. Chowano tam sprzęt i narzędzia połowu, konserwowano sieci. Służyły one także jako schronienie i pomieszczenia dla rybaków, a jeden nawet za rodzaj stajni dla koni. Konie były potrzebne szczególnie zimą, gdy trzeba było sieci i sprzęt pomocniczy wozic saniami na tonie jeziora, podczas połowów pod lodem.

Podobne chaty i szałas zbudowane były nad jeziorem dalej na wschód od Boleńca. Służyły one

także jako schronienie rybaków i schowek na sprzęt rybacki.

W oparciu o zachowane resztki ustaliliśmy wymiary jedynej już chaty w Boleńcu. W refleksjach końcowych można chyba wyrazić życzenie, aby zebrane przez nas dane (przechowywane w muzeum w Helu) mogły w przyszłości się przydać do — tylekroć zapowiadanej — rewaloryzacji dawnej stacji rybackiej w Boleńcu.

Pieski świat i dziecięcy optymizm

Jerzy Samp

W dorobku literackim Jana Piepki znajdują się dwie publikacje z wyraźnym adresem czytelniczym. Są to książki, które poza innymi cechami wspólnymi łączy również ten sam edytor: Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Pierwsza z nich „Wieża z domem”¹⁾ ukazała się w roku 1974, druga w grudniu ub. r. Ta ostatnia zatytułowana „Torbus i reszta zgrai”²⁾ zniknęła z półek księgarskich jako mikołajowy upominek już po kilku dniach od ukazania się na rynku.

Indagowany na temat adresatów wymienionych tekstów autor niezmiennie posługuje się efektywnym zwrotem mówiąc, iż obie książki dedykowane są „wszystkim Maluchom od lat pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu”. Wydawca okazał większą ostrożność ograniczając rozpętość wieku czytelników np. „Wieży z domem” na 10—15 lat. W przypadku najnowszej publikacji, granicę tę musimy jeszcze nieco zaniżyć.

Krytycy twórczości Jana Piepki (Staszków Jana) wielokrotnie zwracali uwagę na fakt, że pisarz we wszystkich swych powieściach dokonuje szczególnego rodzaju eksploatacji kaszubszczyzny, czerpiąc z dziejów i kultury tego regionu elementy istotne dla problematyki danego utworu. O ile jednak w tekstach czytanych przez odbiorcę dojrzałego nie budzi to niczyjej wątpliwości, ponieważ mamy do czynienia z czytelnikiem dysponującym stosunkowo zasobnym już bagażem wiedzy, o tyle eksploatacja tego samego źródła w przypadku adresata dziecięcego, i dodajmy — ogólnie polskiego naraża autora na szereg dodatkowych trudności. Powstaje pytanie, czy Piepka z zagrożenia takiego potrafił wyjść obronną ręką?

Pomimo dużej poczytności obu wymienionych książek odpowiedź na postawione pytanie nie jest ani łatwa, ani jednoznaczna. Bohaterowie „Wieży z domem” są dziećmi z miasta a także przyjezdnymi z głębi kraju, np. z odległych Pabianic. Ich związek z regionem jest więc dość luźny. Chcąc połączyć przygody i perypetie Młodszych i Starszych Kandydatów Bosmanów z tradycją pomorskiej ziemi wprowadził pisarz Babcię Siwą, która wnosi ze sobą do powieści niejako nową płaszczyznę fabularną.

W postać tę włożył Piepka wiele liryzmu kreśląc jej portret ze szczególnym kunsztem literackim. Uczynił z niej najwierniejszą przyjaciółkę i opiekunkę bohaterów utworu, dzięki której możliwa do realizacji stała się koncepcja połączenia wątków przygodowych, często sensacyjnych, z iluzją świata, jaki żyje jedynie w gawędach i powiastkach Babci Siwej. W jej urzędowej wędrowce po krainie imaginacji i zakątkach kaszubskiej gadki.

Nie sposób wyobrazić sobie Piepkę — gawędziarza, przemawiającego do dzieci mową pozbawioną tak bardzo zawsze mu bliskich anegdot wziętych z życia i obyczajów wsi. Nic też dziwnego, że i tym razem nie

Do druku przygotowali: Roman i Teresa Klim na podstawie źródeł:

1. Do części I: wywiad z Antonim Korczyńskim nagrany na taśmie magnetofonowej przez Romana Klima w dniu 5. 10. 1973.
2. Do części II: zapis w Kronice Klubu Ochrony Srodowiska „Międzymorze” w Helu, tom III.

potrafił zrezygnować z owego źródła obfitości. Co więcej, gadka, nazwana tu „starszą siostrą książki” dostępuje godności kwiatu mowy ludowej.

Babcia Siwa zyskuje sobie od samego początku aprobatę czytelnika. Powstała postać, której zadaniem jest nie tylko bawić i wychowywać, lecz również uczyć. Z obowiązków tych wywiązuje się znakomicie. Wcale pokazna dawka wiedzy o przeszłości i tradycjach północnego zakątka Polski włożona w usta bezosobowego narratora byłaby nużąca i niestrawna, tu okazuje się niejako integralną częścią opowieści i nie razi dydaktyzmem. Nie przeszkadza, lecz wręcz uroku dodaje dialogom osobliwy i trudny dla młodego czytelnika (po raz pierwszy stykającego się z kaszubszczyzną) język wypowiedzi Babci Siwej, która, jak sama twierdzi — posługuje się „kaszubską polską mową”. Jeśli dodamy do tego, że wszystko to rozgrywa się niejako na kanwie żywej i pełnej przygód fabuły utworu miejscami tryskającego świetnym humorem, możemy przyjąć, że „Wieża z domem” spełniła swoje zadanie.

Bowiem wbrew utartym opiniom dziecięco-młodzieżowy adresat jest odbiorcą wyjątkowo wybrednym i akceptuje jedynie te dzieła, które odpowiadają niepisany, lecz w świadomości czytelniczej bardzo konkretnym regułom. Ich spełnienie ma najczęściej decydujący wpływ na receptę tekstu. I nie ludźmy się, że dla odbiorcy w tej kategorii wieku większe znaczenie posiada takie czy inne zdanie fachowej krytyki na temat jego artystyczno-literackich walorów.

Jak już wspomniałem, obie książki Piepki łączy kilka elementów wspólnych. Zamiarem autora było, zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku stworzenie opowieści wyrastającej z podglebia kaszubskiego. Miały one niezależnie od zasadniczego toku akcji, owej szeroko rozumianej przygody, ukazywać także realia i osobliwości kultury regionalnej; duchowej a po trosze i materialnej, słowem wzbogacać wiedzę dziecka o garść informacji na temat Kaszub i żyjących tam ludzi.

Dziecięcy bohaterowie „Torbusa i reszty zgrai” ukazani zostali nie tylko na tle tej społeczności, lecz w odróżnieniu od postaci ukazanych w poprzedniej powieści, są to wręcz mali mieszkańcy wioski. Rola zbliżoną do przywołanej już wcześniej Babci Siwej odgrywa tu Stark. Już ze wstępu wnioskować można, że będzie on kimś w rodzaju Cicerone dziecięcych wędrowek w świat kszubskich „starożytności”. Autor wyposaża go w znane nam rekwizyty; ludową mądrość, zrozumienie dla pokolenia wnuków i prawnuków, a także ów specyficzny rodzaj powagi wynikający z wielkiej troski o szczęście małych przyjaciół i bezpieczeństwo ich czworonożnych towarzyszy zabaw.

Pomimo uwag oautorskich, w których sugerowana jest żywotność mowy mieszkańców tego regionu, dzie-

cięcy bohaterowie Piepki gwarą się nie posługują. Dialekt jest im obcy, jednak funkcjonuje (w nienajlepszym wydaniu) prawie wyłącznie w wypowiedziach Starka. Powstała więc sytuacja sztuczna, w której wyraźna cezura dzieląca to co aktualnie przecież żywotne od tego, co „muzealne” uzyskała przesadną i nienaturalną ostrość.

Dzieci mówią tzw. językiem „miastowym”, sztucznym, niekiedy mocno przeintelektualizowanym, a w pewnych partiach dialogów nawet trudno zrozumiałym. Jest to — jak na wiejskie dziecko — mowa hiperpoprawna, by nie użyć felietonowego terminu — „telewizyjna”. Brak uzasadnienia w treści utworu dla niezbyt wyszukanych prozaizmów, jak również zwrotów obcojęzycznych typu: „Wsiadać rebiata!”, czy też w rodzaju: „Who is who? — powiedział nawet kiedyś po angielsku Kolumb (przydomek jednego z bohaterów książki, przyp. J. S.), ale on to powiedział „hu iz hu” (...), itp.

Strona językowa utworu nie pozwala przejść obojętne obok stylizowanych na dialekt kaszubski wypowiedzi Starka. Rozumiem trudności z zapisem gwarowym, który na ogół zniechęca młodego czytelnika do zmagania się z niełatwą materią uduchowionego słowa. Jeśli już jednak autor zdecydował się na urozmaicenie tekstu zwrotami kaszubskimi, należało to uczynić bardziej starannie.

Zapis szeregu wypowiedzi Starka nie tylko razi tych, którym nieobcy jest dialekt, lecz również wprowadza w błąd adresatów książki. W istocie rzeczy niektóre dialogi bardziej przypominają mowę Polaków z kresów wschodnich niż autentyczną kaszubszczyznę. „—Nó i lecą za nórdowe morza” — powiada bohater. Zastosowanie „ó” każdorazowo odczytywanego jako „u” jest bezzasadne. Zmienia ono brzmienie i melodię gwary, a przecież większość wypowiedzianych przez Starka sekwencji zaczyna się właśnie od niefortunnego „—Nó...”

Niezwykle ubogo wypadła tym razem warstwa folklorystyczna, a więc również poznawcza „Torbusa i reszty zgrai”. Poza kilkoma dość zdawkowymi uwagami o Smętku, kłucze sołeckiej i błędnych ognikach obszerniejszego komentarza doczekało się jedynie nieznane podanie o Rycerzu Piracie. To co stanowiło niezaprzeczalny walor „Wieży z domem” tu okazało się niewykorzystanym atutem.

W zamian Piepka wprowadził do tekstu serię dialogów psa Dżo-o z Gwiazdą Polarną. Ich osobliwość leży właśnie w warstwie leksykalnej, zostały one bowiem skonstruowane w ten sposób, by możliwie najlepiej oddać brzmienie... psiego zawodzenia. Rojno tu więc od środków onomatopiecznych, aluzji brzmienio-

wych, asocjacji i metafor dźwiękowych. Język tych partii tekstu poddany więc został świadomie procesowi silnej instrumentacji. Pośród rozlicznych powtórzeń dźwiękowych i glosolalii ustawicznie eksploatowane są wyrazy z rozbudowaną grupą samogłosek „o”. Począwszy Torbus brzmi „To-ooo-rbus”, dom — „doooo-o-m”, upolowali go: „Upo-oo-lowali gooo”, a wykrzyknikowe o! — brzmi w tekście „Oo-ooo!”

Nie mam nic przeciwko tak znakomitej zabawie w psie wycie. Z artystycznego punktu widzenia eksperyment, który w wydaniu Tuwimowskim, czy Staffowskim przyniósł efekty wręcz znakomite ma rację bytu. Szkoda tylko, że zabieg ten poważnie opóźnia i tak już niezbyt wartką akcję utworu.

Pewne partie konwersacji psa Dżo-o z Gwiazdą Polarną utrzymane są w stylu przypominającym drukowane przed laty na łamach „Rejsów” „Rozmowy z Cieszkim”. Sporo w nich zdań urywanych a także niedomówień i myśli w rodzaju: „-?!-?!-?!”, z pewnością nie ułatwiających maluchom lektury.

Główny wątek fabularny „Torbusa” sprowadza się do kilku niezbyt skomplikowanych epizodów z życia bohatera tytułowego książki. Przypomnijmy, iż jest on wyjątkowo zasłużonym psem wojskowym, który dla ratowania ludzkiego życia dwukrotnie naraża na zagładę swój smutny, pieski świat. Podobnie, jak w całej „zaangażowanej” literaturze dziecięcej, tak i tu natrafiamy na aspekty społeczne mówiące o odwadze i ofiarności żołnierzy, efektach pracy kolektywnej i solidarności, oraz zawierające krytykę okrucieństwa, pijaństwa etc.

Piepka wprowadza swoich czytelników w wymagowany świat dziecięcej psychiki i wyobraźni, a zarazem usiłuje zrekonstruować kategorie dziecięcego wartościowania istot, rzeczy i zjawisk. Stąd też na wzór wydanej pięć lat wcześniej „Wieży z domem” niektóre z nich pisze z dużej litery; „Pewien Wiecór”, „Ścieżka”, „Inżynierka”, „Milicjant”, „Śmierć”, „Nuda”... Przy pewnym wysiłku i skupieniu czytelnik dorosły jest w stanie rozszyfrować intencję autora, i choć nie bez trudności śledzić tok rwącej się miejscami akcji. Mam jednak obawy, iż faktycznemu adresatowi utworu nie stanie cierpliwości, a może również optymizmu. Obym był jednak złym prorokiem, bo sam Piepka w niedawnym wywiadzie radiowym zapowiadał możliwość kontynuacji dzieł bohater-skiego wilczura Torbusa w następnej książce.

1. J. Piepka, *Wieża z domem*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1974.
2. J. Piepka, *Torbus i reszta zgrai*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1978.

W KLUBIE SIEDMIU KOLORÓW

Klub Siedmiu Kolorów przy Oddziale Gdańskim ZK-P działa już czwarty rok. Powstał on z inicjatywy uczestniczek pierwszego kursu haftu kaszubskiego i zrzesza już ponad 130 osób, z których wiele zgłosiło zarazem akces do naszego Zrzeszenia. Zainteresowania klubu wiążą się nie tylko z haftem, również szerzej z Kaszubami — ich sztuką ludową, interesującymi ludźmi, literaturą itp. Od jesieni 1978 roku spotkania klubowe, początkowo organizowane w siedzibie Wojewódzkiego Domu Kultury w Gdańsku, odbywają się w gdańskim Pałacu Młodzieży, z którym oddział nawiązał kontakt współuczestnicząc w przygotowaniu konkursu „Ja i moje miasto”.

Klub Siedmiu Kolorów od początku działalności prowadzi kronikę; jak z jej notowań wynika od stycznia 1978 roku odbyły się 43 ogólne zebrania klubowe, w tej liczbie

5 z udziałem pisarzy (m. in. wieczór poezji kaszubskiej przy świecach) i jedno z językoznawcą dr. Edwardem Brezą. Klub zorganizował też dwie udane wycieczki autokarowe (przy współpracy dr. K. Grzędzickiego) i trzy piękne wystawy haftów. Członkinie klubu dwukrotnie uczestniczyły w dorocznym Święcie Tulipanów, w stoisku wydawnictw Zrzeszenia prezentując swe prace i udzielając porad hafciarskich zwiedzającym, a od chwili otwarcia naszej głównej siedziby przy ul. Szewskiej w Gdańsku zaopatrują w hafty stoisko sprzedażne i współdziałają w jej wyposażaniu. Zasluga klubu są przede wszystkim piękne haftowane firany, nad którymi, obok hafciarek: Marii Nowickiej i Anny Konkel, pracowało społecznie kilkanaście osób. Wartość ich pracy wynosi ponad 3,5 tys. zł. Oddział Gdański ZK-P, a również Zarząd Główny zawsze też mogą li-

czyć na pomoc klubu w organizacji uroczystości, gdy potrzebne są zaproszenia z haftami i in.

Na koniec trzeba powiedzieć o zespole tych osób, które pracą klubu kierują. W początkach br. w skład zarządu wchodziły: jako sekretarz (jest dwóch) Barbara Pedzisz i Irena Kożuszek, jako skarbnik — Genowefa Kopińska, jako kronikarka — Jolanta Szymańska, jako członkowie — Zygmunt Lewicki, Zuzanna Kotarska, Jadwiga Motyka i Halina Niemyska. Prezesem klubu od początku jego istnienia jest kierowniczką wszystkich gdańskich zrzeszeniowych kursów haftu kaszubskiego, będąca zarazem członkiem zarządu Oddziału Gdańskiego ZK-P, Barbara Rezmer. I jej to właśnie energii, pomysłowości, inicjatywie, zaangażowaniu społecznemu Klub Siedmiu Kolorów największą w swym dorobku zawdzięcza.

(it)

W połowie grudnia ub. roku zakończył się dziesiąty, jubileuszowy, kurs haftu kaszubskiego prowadzonych przez Oddział Gdański ZK-P. Z 45 osób, które się zgłosiły, kurs ten ukończyło 37, w tej liczbie dwóch panów, z wynikami, co warto podkreślić, nie gorszymi od pań. Ogólnie zresztą poziom tego właśnie zespołu kursantów był bardzo dobry; zdaniem zarówno kierowniczki, Barbary Rezmer, jak drugiej instruktorki, Jadwigi Motyckiej — ponad połowa osób haftowała znakomicie. O wysokim poziomie świadczyła także piękna wystawa pokonkursowa.

Na udanym zakończeniu kursu, z udziałem m. in. prezesa Zarządu Głównego ZK-P, red. Stanisława Pestki, najlepszym hafciarkom i — hafciarzowi wręczone zostały, jako wyróżnienia, wydawnictwa oddziału, które otrzymali: Henryka Baszanowska, Edward Mickiewicz i Zofia Kwiatkowska. Ponad 10 osób zgłosiło po kursie akces do Klubu Siedmiu Kolorów. Na zajęcia jubileuszowego kursu pomieszczenia udostępniła, nie po raz pierwszy zresztą, Szkoła Podstawowa im. Stefana Czarnieckiego we Wrzeszczu.

Jeszcze przed zakończeniem kursu dziesiątego rozpoczął się kurs jedenasty, w Stoczni Północnej, która zwróciła się do Oddziału Gdańskiego ZK-P z prośbą o jego organizację dla swoich pracowników. W styczniu natomiast „wystartował” pierwszy kurs II stopnia, dla osób, które ukończyły któryś z kursów dotychczasowych. (it)

Z PUCKA

W związku z potrzebą dokładniejszego poznania dziejów naszego regionu i jego kultury, zarząd oddziału ZK-P w Pucku zmobilizował swych członków do wzięcia udziału w spotkaniach z cyklu „Polska niepodległa na morzu”. Pierwszy wykład pt. „Marynistyka międzywojenna i folklor kaszubski” odbył się w dniu 17. 11. 1978 r. Odczyty z tego cyklu będą się odbywały raz w miesiącu przez cały rok 1979 w klubie PDK, który jest ich organizatorem.

W pierwszych dniach grudnia odbył się metodyczny kurs haftu kaszubskiego dla przyszłych instruktorów tej pięknej dziedziny twórczości ludowej, jaką jest haft kaszubski. Kurs ukończyło 21 hafciarek — członkiń naszego Zrzeszenia, które też postanowiły utworzyć Klub Mikołajka. Inicjatywa utworzenia kursu wyszła od kol. W. Torlińskiego, kierownictwo kursu powierzono kol. B. Rezmer a sprawy organizacyjne i finansowe przejął zarząd oddziału ZK-P w Pucku. P.T.



Z ŻYCIA ZRZESZENIA

BILANS WYDAWNICZY ZRZESZENIA ZA ROK 1978

W pierwszym numerze „Pomeranii” z ubiegłego roku podaliśmy (s. 45) zestaw wydawnictw wydanych w 1977 r. przez różne ogniw Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Z zestawu tego wynikało, że w 1977 r. łącznie wydano 12 pozycji książkowych lub katalogów (oczywiście poza 6 numerami naszego pisma), z czego Oddział Chojnicki wydał 1, Oddział Gdański — 8, Oddział Wejherowski — 2 i Oddział Pucki — 1 pozycję.

Jaki jest dorobek ubiegłego roku? Oto pełny zestaw tytułów:

Oddział Chojnicki:

1. JAN DURAJ — MALARSTWO I GRAFIKA (katalog). Nakład 250 egz.
2. BAZUNY. Biuletyn informacyjny. (Kolegium redakcyjne: Kazimierz Ostrowski, Zbigniew Stromski, Klemens Szczepański, Stefan Ścisłowicz). Nakład 400 egz.

Oddział Gdański:

3. BOLESŁAW BORK — NAD SLEZĄ. ZARYS WALK KASZUBÓW LESOCKICH. Nakład 1500 egz.
4. WZORY HAFTU KASZUBSKIEGO. SZKOŁA WEJHEROWSKA. II wydanie. Nakład 10 000 egz.
5. JAN KARNOWSKI — WIERSZE PIERWOTNE. Nakład 400 egz.
6. TADEUSZ SADKOWSKI, KRZYSZTOF SZAREJKO — CHATA ZA MIASTEM NA KASZUBACH I KOCIEWIU. Nakład 3000 egz.
7. HAFT KASZUBSKI. WZORY CZEPCOWE. II wyd. Nakład 10 000 egz.
8. WZORY HAFTU KOCIEWSKIEGO MARII WESPOWEJ. Nakład 10 000 egz.
9. FRANCISZEK FENIKOWSKI — NA POCZĄTKU BYŁO OKSYWIE. Nakład 10 000 egz.
10. LEON HEYKE — KASZĘBSCZIE SPIEWĘ. II wydanie. Nakład 800 egz.
11. FRANCISZEK PABICH — PAPIERNIE NAD ZATOKĄ GDAŃSKĄ. Nakład 300 egz.
12. ARKADIUSZ BOR — WIELE SERCU BLISKIE. Nakład 800 egz.

Oddział Gdański wydał również 4 okólniki (nr 10 do 13), posiadające od nr-u 11 tytuł: PRZEDNIK oraz powielił referat Bolesława Faca pt. „Prawdy i przypuszczenia na temat rodowodów literackich w kręgu kultury kaszubskiej i pomorskiej” przygotowany na VIII Spotkaniu Twórców Literatury Kaszubsko-Pomorskiej (Wdzydze, wrzesień ub. r.).

Oddział Wejherowski:

13. MORZE I KRAJOBRAZ KASZUBSKI W MALARSTWIE MARIA-NA MOKWY. Katalog wystawy wydany wspólnie z Muzeum PiMK-P. Nakład 500 egz.
14. HENRYK POLAK — 60 ROCZNICA ODBUDOWY PAŃSTWOWOŚCI POLSKIEJ NA ZIEMI WEJHEROWSKIEJ I PUCKIEJ. Przewodnik po wystawie, wydany wspólnie z Muzeum PiMK-P oraz WAP w Gdańsku. Nakład 2000 egz.

Obraz wysiłku aktywu Zrzeszenia w zakresie wydawniczym będzie pełny jeżeli dodamy, że Zarząd Główny wydał 6 kolejnych numerów „Pomeranii”.

W. K.

Odbiorcom „Pomeranii” bardziej znana jest twórczość ludowa obecna woj. gdańskiego, gorzej części Kaszub i Borów Tucholskich leżących w woj. bydgoskim, a bardzo mało wiemy o twórcach Pomorza Środkowego. Tych ostatnich otacza specjalną opieką Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, które rozpisuje często konkursy na twórczość ludową i pamiątkarstwo. W ubiegłym roku na taki konkurs wpłynęło 476 proc wykonanych przez twórców z województw słupskiego, koszalińskiego i pilskiego. Biorąc pod uwagę, że w pierwszym konkursie, rozpisany w 1976 r., otrzymano 64 prace od kilkunastu autorów — stwierdzić można poważny rozwój twórczości ludowej na Pomorzu Środkowym.

Nie jest jednak tak dobrze, jak by to wynikało z liczb. Krytyczny osąd obecnego stanu „podopiecznych słupskiego muzeum” przedstawił Jerzy Lissowski w artykule „Blaski, cienie, ciemności...” na łamach „Głosu Pomorza” (nr 263 z 19 listopada 78 r.).

Z ogromną satysfakcją odnotować należy stały, dynamiczny rozwój w Słupskim (Człuchów, Bytów, Słupsk i okolice), Pilskim (Złotów) i Koszalińskim (Darłowo) kipiącego autentycznym folklorem (przeważnie kaszubskim) hafciarstwa. Można cenić się o to, czy niezbyt sztywno trzyma się ono katalogowych wzorników ornamentalnych, czy nie mało w nim elementów zindywidualizowanego przetworzenia gotowych wzorów, nie sposób jednak nie stwierdzić, iż haft pomorski, do którego coraz bardziej garnie się młodzież, a nawet dzieci, znamionuje zwykłą sprawność i dojrzałość warsztatową. (...)

Znaczącą pozycję w twórczości ludowej naszego regionu zajmuje też — nie od dziś zresztą — rzeźbiarstwo. Jego ludowość i regionalizm są uprządkowane, poza nielicznymi przypadkami, dość problematyczne i znajdują swój wyraz wyłącznie w tematyce czerpanej z życia dawnej wsi, nie zmienia to wszakże istoty rzeczy: rzeźbiarstwo prosperuje na Pomorzu Środkowym całkiem dobrze. (...)

Inne dziedziny twórczości ludowej, niestety, nie skłaniają do zbyt optymistycznych refleksji.

Wyraźnie zanikową tendencję wykazuje rodzime plecionkarstwo. Na dobrą sprawę jedynie Albert Speiser z Motarzyna pod Bytowem zaprezentował warsztat godny mistrza dużej klasy (przepiękne koszyki z korzenia sosnowego); warsztat wart pochwały i z tego powodu, że stanowi kontynuację nieskalanej sztuki ludowej.

Jerzy Lissowski uważa, że ginie również sztuka obrzędowa, nie robi się już dobrych pisanek ani

dobrych słomiano-bibułkowych cacek, tkactwo, kowalstwo i zabawkarstwo jest w zaniku. Dalej pisze: *słupski konkurs unaocznili wreszcie i tę smutną prawdę, że z pamiątkarstwem regionalnym jest u nas absolutnie źle. Honor miejscowych pamiątkarzy ratował wyłącznie Edmund Rydzkowski z Bobolic. Jego miniatura krosna to prawdziwy majstersztyk...*

W pamiątkarstwie więc kicz i sztampa, a to dotyczy już całego Pomorza. Jerzy Lissowski uważa, że jest tak dlatego, iż pamiątkarstwo pojmuje się zbyt ortodoksyjnie i sztucznie się je oddziela od ludowego rękodzieła artystycznego. (wj)

O IMIENIU POMORSKIEJ KSIĘŻNICZKI DĄBRÓWKI

Imię pewnej księżniczki pomorskiej z XIII w. w jednym z dwóch wydań księgi zmarłych klasztoru norbertanek w Żukowie występuje w postaci *Damroca*, w drugiej zaś w postaci *Dąbroka*. W pracach historyków imię to podawane jest w wersji *Damroka* lub *Damroca*, albo w wersji *Dąbrówka*. W szerokich kręgach społeczeństwa na Pomorzu imię to funkcjonuje jako *Damroka*. Tymczasem — jak wykazuje Edward Breza w zeszycie 3 z r. 1978 „Języka Polskiego” — zapis *Damroca* i *Dąbroka* odczytać można tylko jako *Dąbrówka*. Córka więc księcia Świętopełka (gdańskiego czy sławieńskiego — ta kwestia nie jest jeszcze przez historyków rozstrzygnięta) — o nią bowiem tutaj chodzi — miała to samo imię, co żona Mieszka I.

W zakończeniu artykułu w „Języku Polskim” E. Breza wyraża nadzieję, że etymologiczna postać *Dąbrówka*, która już wkracza do literatury naukowej, upowszechni się też w szerszych kręgach społeczeństwa. Jednocześnie przypomina, że się coraz bardziej upowszechnia pn. etymologiczna postać *Świętowit*, w miejscu do niedawna powszechnej mylnej postaci *Światowit* itp. (zob. o tym: „Pomerania” 1976, nr 5, s. 52). Dodajmy od siebie, że tak samo już się upowszechnia właściwa postać imienia książąt gdańskich *Mściwuj*, w miejscu nie ortograficznie postaci *Mściwój* (zob. o tym: „Pomerania” 1971, nr 2, s. 80-83). Niestety postać *Mściwuj* jest nieobecna na kartach wydanego w grudniu 1978 r. przez Wydawnictwo Morskie tomu I monumentalnej „Historii Gdańska”: z kart tych stracy potworek ortograficzny *Mściwój*. (Z. Brocki)

STOWARZYSZENIE TWÓRCÓW LUDOWYCH W GDAŃSKU

9 grudnia 78 r. powstał Oddział Gdański Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Do Stowarzyszenia, którego władze naczelne znajdują się w Lublinie, należało 28 twórców ludowych zamieszkałych na terenie woj. gdańskiego. Oddział Gdański pragnie wypełniać zadania statutowe Stowarzyszenia w zakresie rozwoju i upowszechniania sztuki ludowej, a także udzielać wielorakiej pomocy twórcom Kaszub i Kociewia.

Obrady zjazdu założycielskiego otworzył dyrektor Woj. Ośrodka Kultury — Jerzy Kiedrowski. Przewodniczyła obradom Krystyna Szalańska, która z ramienia WOK-u steruje całością spraw związanych z twórczością ludową. Wysłuchano referatu Wojciecha Błaszczewskiego o niektórych aspektach twórczości ludowej w woj. gdańskim.

Zarząd Oddz. Gdańskiego STL ukonstytuował się następująco: Edmund Zieliński (prezes), E. Wendt (wiceprezes), J. Wespa (sekr.) oraz członkowie: I. Rzepa i J. Hinc. Komisji Rewizyjnej przewodniczy A. Zwolakiewicz, członkami wybrano: E. Ebel i J. Potrykus.

Jednocześnie wybrano Radę Programową, w skład której weszli: W. Błaszczewski, J. Kiedrowski, T. Las-sowa, B. Madajczyk, K. Szalańska, L. Malicki, E. Szymaszyk i S. Pestka.

W zjeździe wziął udział przedstawiciel Zarządu Głównego STL — J. Główna. (wj)

IZBA PAMIĘCI W LIPUSZU

W jednej z sal lekcyjnych lipuskiej szkoły podstawowej powstaje Izba Pamięci Narodowej Lipusza i okolic.

Inicjator tego przedsięwzięcia, dyrektor szkoły, mgr Marian Lemańczyk zdołał już zapelnąć ekspozycjami kilka gablot. Najstarszym eksponatem izby jest urna z prochami sprzed 2500 lat, świadcząca o z dawien dawna istniejącym tu osadnictwie. Poza dokładnym opisem dziejów Lipusza, izba posiada bogatą kolekcję dokumentów i fotografii, mówiących o ważnych wydarzeniach i ciekawych sylwetkach tej miejscowości. W przygotowaniu są księgi pamiątkowe, w których zapisuje się wspomnienia mieszkańców wsi. Sięgają one okresu międzywojennego, lat okupacji i tworzenia się w Lipuszu władzy ludowej.

Izba — chociaż jeszcze niedokończona — już teraz warta jest obejrzenia. (s.j.)

DNI OSIEDLA W PRUSZCZU

W dniach od 17 do 26 października 1978 roku w Osiedlowym Klubie „M-6” Spółdzielni Mieszkaniowej Radunia w Pruszczu odbyły się Dni Osiedla. W ramach Dni Osiedla zorganizowano w Amatorskiej Gallerii Artystycznej wystawę sztuki ludowej w oparciu o tzw. „Skrzynię objazdową” Oddziału Gdańskiego ZK-P. Wystawę obejrzało ok. 200 osób. Trwał również kiermasz wydawnictw Zrzeszenia, na którym największym powodzeniem cieszyły się wzory haftu kociewskiego w opracowaniu Marii Wespowej. 17 października mieszkańcy osiedla wzięli udział w przeglądzie filmów krótkometrażowych o tematyce regionalnej. (R.C.)

POMORSKIE NAZWY GEOGRAFICZNE NA -ica

Analiza znaczeniowa i formalna pomorskich nazw miejscowych i terenowych z formantem -ica znajduje się w wydanej w końcu 1978 r. książce Instytutu Słownoznawstwa PAN „Rozwój i zmiany toponimicznego formantu -ica na obszarze zachodniosłowiańskim”, której autorką jest znana badaczka dialektów pomorskich, Ewa Rzetelska-Feleszko. Książka obejmuje także nazwy z innych dzielnic Polski, z Czech, Moraw, Słowacji i Łużyc. Jeśli idzie o nazwy miejscowości z obszaru Pomorza to autorka znalazła ich 185 (z całego obszaru Polski: 649), pięć najstarszych zapisów takich nazw pochodzi już z ostatniego ćwierćwiecza XII stulecia (najstarszy zapis: z r. 1177).

Książka nie obejmuje nazw z obszarów słowiańskich wysuniętych najdalej na zachód, a więc z terenów dawnych Połabian, Obodryców i rozległego obszaru starożytnego terytorium językowego, teryny te bowiem wymagają odrębnego potraktowania. W materiale toponomastycznym tych terenów odbijają się te same procesy germanizacji językowej, co na obszarze Pomorza, Śląska i Łużyc, ale na tych najbardziej na zachód wysuniętych terenach słowiańskich jest bardzo duże — jak pisze autorka — „zaęszczenie zmian wywołanych substytucjami, zwłaszcza w zapisach późniejszych, spowodowane nieprzerwanym, wieloletnim wpływem języka niemieckiego na pierwotny słowiański kształt nazw i wymarciem etnicznie odrębnego żywiołu słowiańskiego, który podtrzymałby rodzime nazewnictwo”. (Z. B.)



Kiermasz wydawnictw Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego Fot. J. Cierpicki



Wystawa kaszubskiej sztuki ludowej

Fot. J. Cierpicki

O DWÓCH LINGWISTACH

W zeszycie 27/28 „Komunikatów Instytutu Bałtyckiego” za czerwiec — grudzień 1978 r., na s. 139—140 jest nekrolog magistra Bernarda Janika (1904—1977), gdańskiego germanisty, długoletniego lektora języka niemieckiego w uczelniach Gdańska i Sopotu, autora kilku prac z zakresu historii słownictwa morskiego, członka Instytutu Bałtyckiego, członka honorowego Gdańskiego Towarzystwa Naukowego. Na s. 140—141 tegoż zeszytu jest nekrolog prof. Ludwika Zabrockiego (1907—1977), o którym „Pomerania” pisała w numerze 4 z ub. r. (Z. B.)

KOSZALIŃSKIE BUDOWNICTWO LUDOWE

Kwartalnik Koszalińskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego — „Koszalińskie Studia i Materiały” — w numerze 3 z ub. r. zamieścił artykuł piora Danuty A. Ptaszyńskiej „Zabytki województwa słupskiego”. W części traktującej o budownictwie ludowym, autorka omawia zagrodę skansenową w Klukach. Wymienia także miejscowości, w których zachowało się zrębowe budownictwo ludowe Kaszubów bytowskich: Kłaczno, Sominy, Nakło, Płotowo, Rynszt i Czarną Dąbrówkę. Część obiektów z tych wsi od 1971 r. — jak pisze autorka — jest gromadzona w zagrodzie skansenowskiej w Sominach. (s.j.)

Na tak postawione pytanie byłoby nam trudno odpowiedzieć. Natomiast odpowiedź na pytanie: jakie książki Jana Drzeżdżona zostały dotąd wydane? — nie powinna sprawiać trudności (mimo znacznego dorobku autora) ani nam, ani innym. Niestety krytycy warszawscy, jak również wydawcy dzieł Drzeżdżona w wykazach opublikowanych książek nie podają jego publikacji kaszubskich. Tak uczynili np. ostatnio redaktorzy Ludowej Spółdzielni Wydawniczej na skrzydełku wydanej w ub. r. powieści „Wieczność i miłość”. Jest to o tyle dziwne, że właśnie te książki, wydane — tak się składa — przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie są rzeczywistymi debiutami tego autora. W zakresie krytyki literackiej jest książeczka o Aleksandrze Majkowskim „Wędrowniki Remusowe po Kaszubach”, debiutem poetyckim jest tomik „Sklanianie pocórë” a prozatorskim zbiór opowiadań „W niedzielni wieczór”. Piszemy o tym dlatego gdyż praktyka uwzględniania z całego dorobku twórczego tylko rzeczy wydanych u tzw. wydawców profesjonalnych jest praktyką złą i niedopuszczalną. W wypadku Jana Drzeżdżona (problem dotyczy nie tylko tego autora) praktyka ta doprowadziła do licznych błędnych sformułowań. Wielu krytyków w licznych esejach i recenzjach ubolewało nad brakiem właściwego zainteresowania pisarzem z Żelistrzewa ze strony najbliższych ziomków i rzekomym nie udzieleniu właściwej pomocy Drzeżdżonowi na Kaszubach. W każdym razie zarzuty te nie są słuszne w stosunku do „społeczności zrzeszonej”.

Pełny wykaz książek Drzeżdżona, w kolejności chronologicznej, przedstawia się zatem następująco (w nawiasie podaję wydawcę i rok wydania):

1. Wędrowniki Remusowe po Kaszubach (ZK-P, 1971)
2. Piętno smętka (WM, 1971)
3. Sklanianie pocórë (ZK-P, 1974)
4. W niedzielni wieczór (ZK-P, 1974)
5. Upiory (LSW, 1975)
6. Oczy diabła (LSW, 1976)
7. Okrucieństwo czasu (LSW, 1977)
8. Tajemnica bursztynowej szkatułki (Iskry, 1977)
9. Leśna Dąbrowa (WL, 1977)
10. Wieczność i miłość (LSW, 1978)

Nie byłby to pełny wykaz, gdybyśmy nie dodali, że Drzeżdżon jest współtwórcą antologii poezji kaszubskiej „Modra struna” (WM, 1973) oraz doprowadził do wydania (wybór, opracowanie i posłowie) tomiku poezji kaszubskiej Stanisława Okonia (LSW, 1975). Dodajmy także, że Jan Drzeżdżon jest laureatem dwóch liczących się nagród literackich, w 1975 roku nagrody literackiej im. Wilhelma Macha i w 1976 roku — nagrody literackiej im. Stanisława Piętaka.

W. K.

W STAROGARDZIE

Starogardzka Stacja Wiedzy o Regionie, w ramach popularyzacji Kociewia planuje na pierwszą połowę 1979 r. szereg przedsięwzięć.

Kierownik tejże stacji, mgr Andrzej Błażyński, przewiduje w dniach od 15 marca do 15 kwietnia zorganizowanie wystawy sztuki amatorskiej regionu. W maju natomiast będzie wystawa prac malarzskich młodego, starogardzkiego plastyka Dominika Rebelki, którego obrazy zostały ostatnio wystawione w warszawskiej „Zachęcie”. Stacja będzie także współorganizatorem „Dni Kociewia”, tradycyjnie trwających w ostatnich dniach maja każdego roku. 23 czerwca w Starogardzie będzie „Noc Kupali”. Także w czerwcu zostanie pokazana wystawa pod nazwą: „Dziad i baba w sztuce ludowej”. Będzie to wybór prac rzeźbiarskich tutejszych twórców.

(s.j.)

O TWÓRCZOŚCI LUDOWEJ I AMATORSKIEJ W „BIULETYNIE METODYCZNYM” WOK-u

„Biuletyn Metodyczny” (do niedawna znany jako „Ziemia Gdańska”) wydawany przez gdański WOK jest przeznaczony dla „pracowników kultury” trzech województw: gdańskiego, elbląskiego i słupskiego. Numer 125 (druk zakończono w styczniu br.) poświęcony twórczości ludowej i amatorskiej zawiera m. in. noty biograficzne rzeźbiarzy: — Adama Zwolakiewicza, Zygmunta Bukowskiego i Stanisława Rekowski, krótkie omówienie plenerów plastycznych (Pieniężno 78, Hel 78), I Turnieju Gawędziarzy Ludowych we Wielu i IV Festiwalu Zespołów Folklorystycznych Polski Północnej. Krystyna Szałaśna omawia twórczość ludową Pomorza Gdańskiego a Krystyna Gerliczowa formy opieki nad plastyką amatorską.

(wj)

Muzeum Narodowe w Gdańsku przygotowało nową, rozszerzoną wystawę XVI- i XVII-wiecznego malarstwa gdańskiego. Część obrazów spośród 73 pokazanych na wystawie zostało udostępnionych publiczności po raz pierwszy. Prace konserwatorskie zasobów magazynowych odkryły dla znawców europejskiego malarstwa barokowego i renesansowego, a także dla publiczności wspaniałe detale, a w kilku wypadkach nieznane dotąd obrazy gdańskich mistrzów: Schonnicka, Möllera, Kriega, Schultza czy Stecha. Pracownicy muzeum poprzez głębszą analizę materiału historycznego a także dzięki przypadkowym odkryciom na materii samego obrazu dokonały nowych interpretacji poszczególnych dzieł. Na przykład na obrazie Jana Kriega „Panorama Gdańska” przedstawiony na pierwszym planie dom pań lekkich obyczajów (jak dotąd sądzono) okazał się świątynią miłości panny młodej przyjmującej weselne gratulacje.

W najbliższej przyszłości gdańskie muzeum zaprezentuje malarzy gdańskich z w. XIX. Bogate zbiory gdańskie prezentowane obecnie w jasnych i dużych salach, przekazują obok walorów czysto artystycznych olbrzymią wiedzę o dawnym, patrycjuszowskim, nadmotławskim grodzie.

(wj)

DRUGA RECENZJA „PISOWNI KASZUBSKIEJ”

W wydanym w grudniu 1978 r. tomie 35 „Slavii Occidentalis” znana badaczka gwar kaszubskich, doc. dr hab. Kwiryna Handke opublikowała recenzję wydanych przez ZG ZK-P „Zasad pisowni kaszubskiej” oprac. przez E. Brezę i J. Tredera według uchwał Komisji do Spraw Pisowni Kaszubskiej. Recenzja jest pozytywna. Recenzentka ma tylko jedno zastrzeżenie merytoryczne (pisownia ó, u) i wykazuje dwa braki, przede wszystkim brak próbek tekstów pisanych według przedstawionych zasad ortograficznych.

W zakończeniu recenzentka pisze, że wszystkie próby opracowania pisowni kaszubskiej wiązały się „z potrzebą zapisywania tekstów formułowanych w tym dialekcie. Silny ruch twórczy związany z potrzebami duchowymi zrodzonymi w warunkach niewoli pruskiej i wyrażający się m. in. w powstawaniu i rozwoju literatury regionalnej, po wyzwoleniu nie osłabł, lecz zmienił charakter i funkcje. Zrodził ideę czerpania ze skarbnicy folkloru oraz tworzenia literatury ludowej i regionalnej, która dążyłaby do osiągnięcia poziomu literatury ogólnopolskiej”.

Przypomnijmy, że pierwsza recenzja „Zasad pisowni kaszubskiej” ukazała się w zesz. 1 z 1977 r. „Języka Polskiego”. Jej autorką jest prof. Hanna Popowska-Taborska.

(Z. B.)

KASZUBI W NOWEJ ZELANDII

Polska emigracja zarobkowa do Nowej Zelandii rozpoczęła się na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Emigranci wywodzili się głównie z zaboru pruskiego.

Osiedlenie się Kaszubów na Antypodach było dziełem dość zabawnego oszustwa. 12 kwietnia 1876 roku 86 rodzin kaszubskich ze wsi Kokoszki wypłynęło na statku „Fryc Royter” z Hamburga, by udać się do Ameryki. Kapitan przekupiony przez kolonizatorów brytyjskich, skierował statek do Nowej Zelandii. Po czterech miesiącach podróży, 4 sierpnia kaszubszy emigranci wierząc, że dopływają do Ameryki, zawinęli do portu Wellington. Osiedlono ich na podmokłych, błotnistych terenach Marshlandu, które obecnie są dzielnicą 200-tysięcznego Christchurch na Wyspie Południowej. Były to tereny dzikie i nieuprawiane, jedynymi sąsiadami przez wiele lat byli miejscowi tubylcy, z którymi ludność kaszubska utrzymywała przyjazne kontakty. Osadnicy szybko doprowadzili błotniste tereny do wysokiego poziomu kultury rolniczej. Dzisiaj „polski” Marshland jest starannie zagospodarowanym okręgiem produkcji warzyw i owoców, a potomkowie dawnych osadników stanowią trzon tutejszej gospodarki.

Kaszubi zachowali resztki rodzinnych tradycji i świadomość odrębności etnicznej dzięki swemu uporowi i głębokiej tradycyjnej więzi rodzinnej, choć przez wiele lat byli pozbawieni jakiegokolwiek pomocy. Do dziś przetrwały nazwiska kaszubskie: Dambrowskich, Witkowskich, Kuklińskich. Pierwszą

instytucją, która wzięła ich w opiekę, był Kościół katolicki. Choć był on przeciwny tworzeniu mniejszości narodowej, a księża Polacy nie stanowili elity politycznej, prowadził prócz pracy duszpasterskiej działalność kulturalno-oświatową. Szczególne zasługi w utrzymywaniu tradycji położył pochodzący z Kaszub — ks. Ulenberg.

Barierą odrębności były przez wiele lat trudności językowe, „kaszubskie błota” były enklawą czy sto polską, a także wyznanie religijne. Później część emigrantów przeniosła się do nowych skupisk, także na Wyspę Północną. Dziś potomkowie kaszubskich osadników tworzą skupiska w Wellingtonie, Auckland, Hamilton, New Plymouth, Napier, Dunedin.

Polska emigracja do Nowej Zelandii zwiększyła się po II wojnie światowej, w Pahiata ośiedlono 755 dzieci polskich. Część tej młodzieży pozostała, zakładając rodziny ze starymi osadnikami, co poważnie wzmocniło Polonię nowozelandzką. Obecnie żyje tam około 3500 Polaków. Od czerwca 1976 roku odbywają się obchody 100-lecia polskiej emigracji w tym kraju. W uroczystości zorganizowanej w Taranaki wziął udział szef ambasady polskiej, przewodniczący parlamentu, przedstawiciel władz lokalnych, arcybiskup Wellingtonu, a prasa, radio i telewizja nadały jej duży rozgłos. Do dziś centralnym miejscem spotkań Polonii nowozelandzkiej jest szkoła w Marshlandzie, gdzie zorganizowano wystawę obrazującą początki kaszubskiego osadnictwa.

Kazimierz Doppke

HAFT BYTOWSKICH DZIECI

W czytelni dziecięcej Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bytowie najmłodsi czytelnicy — w ramach popołudniowych zajęć — uczą się haftu kaszubskiego. Dzieci haftują przed wszystkim małe serwetki i zakładki do książek. Mimo — niekiedy — prymitywnej formy, hafty są bardzo oryginalne — dużo w nich własnych rozwiązań i dziecięcej fantazji. (sj)

O LEONIE ROPPLU

W 1964 r. Leon Roppel otrzymał Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka „za osiągnięcia w podnoszeniu i upowszechnianiu kultury regionu kaszubskiego”. W „Słowie Powszechnym” przypominano wówczas powojenny dorobek laureata. Charakterystykę tę przedrukowano w wydanej w 1978 r. „Księdze o Nagrodzie imienia Włodzimierza Pietrzaka (1948—1972”, s. 196—197. Na wklejce po s. 112 jest fotografia Leona Roppla. (zb)

KASZUBISTYKA W INSTYTUCIE SŁAWISTYCZNYM PAN-u

Wydany w listopadzie 1978 r. rocznik III „Biuletynu Sławistycznego” ma charakter monograficzny, poświęcony jest tylko jednej placówce naukowej: Instytutowi Słowiańszczyzny Polskiej Akademii Nauk — jej dziejom od pierwszych zespołów badawczych i dorobkowi publikacyjnemu tej placówki. Dużo miejsca poświęcono tutaj pracom w zakresie kaszubistyki. Najpierw scharakteryzowano wykonany w Instytucie „Atlas językowy kaszubszczyzny”, który miał ponad 20 recenzji, m. in. napisanych przez dialektologów gdańskich. W związku z pracami nad tym Atlaseм rozwinęły się badania słownictwa, które mają ambicję wielostronnego ujęcia problemu i uwzględnienia szerokiego tła słowiańskiego. Prace takie publikowane są przede wszystkim w wydawanych przez Instytut „Studiach z Filologii Polskiej i Słowiańskiej”, w specjalnym dziale tego wydawnictwa: „Z kaszubskich studiów leksykalnych”. Rocznik III

„Biuletynu Sławistycznego” nie zawiera bibliografii, natomiast wymienia wyselekcjonowane publikacje Instytutu i jego pracowników. Wśród nich wymieniono wiele prac z zakresu dialektologii kaszubskiej. (Z. B.)

BRUSY — DOBRA PERSPEKTYWA

W październiku ub. roku w Leśnie (gmina Brusy) oddany został do użytku Wiejski Dom Kultury. Nie wielki, ale z bardzo ładną i obszerną świetlicą, przeto zapewniający niezłe warunki do pracy i rozwoju życia kulturalnego. Kierownictwo placówki powierzono młodemu i pełnemu zapału instruktorowi Janowi Szopińskiemu. W Czyżkowach w tej samej gminie Wiejskim Domem Kultury kieruje długoletnia, doświadczona działaczka Wanda Kiżewska i ma świetne wyniki — istnieje tu zespół teatralny (premieri przynajmniej dwa razy w roku), nieduży zespół pieśni i tańca, a placówka rzeczywiście jest ośrodkiem życia kulturalnego wioski. W samych Brusach Gminny Ośrodek Kultury im. Jana Karnowskiego przechodzi właśnie metamorfozę: po wyprowadzce Urzędu Gminy został poddany remontowi i gruntownej modernizacji. Oddany zostanie do pełnego zagospodarowania w maju br., ale mimo to życie w nim nie zamarło. W dostępnych do pracy pomieszczeniach dzieje się wiele interesujących rzeczy. Od kilku miesięcy działają nowo zorganizowane koła i zespoły zainteresowań, m. in. ćwiczy systematycznie kaszubski zespół pieśni i tańca, który zamierza wystąpić z inauguracyjnym programem już na wiosnę. Powołanie tego zespołu stało się możliwe dzięki objęciu nad nim patronatu przez Spółdzielnię Kółek Rolniczych. Na piętrze gmachu znalazła wreszcie wygodne pomieszczenia Biblioteka Gminna. Trwają także przygotowania do otwarcia Izby Regionalnej, która ma być głównie poświęcona pamięci patrona ośrodka — poety Jana Karnowskiego. Inspiratorem tych ciekawie zapowiadających się przedsięwzięć jest nowy dyrektor GOK Władysław Czarnowski, w organizowaniu życia kulturalnego nie nowicjusz. Program działania zamierza oprzeć jak najściślej o tradycje kulturalne Kaszub, a najbliższej okolicy szczególnie. Trzeba życzyć wytrwałości i powodzenia. (ko)

KOMPEDIUM WSPÓŁCZESNEJ WIEDZY O KASZUBSZCZYNIE

Tak książkę prof. Zuzanny Topolińskiej „A Historical Phonology of the Kashubian Dialects of Polish” (The Hague — Paris 1974) nazwał Edward Breza w recenzji opublikowanej w wydanym w grudniu ub. r. numerze 24 za 1977 r. „Gdańskich Zeszytów Humanistycznych”. (Z. B.)

W Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim w GDAŃSKU przy ul. Szewskiej 1/4 można nabyć (lub zamówić wysyłkę pocztą) książki kaszubskie oraz o Kaszubach i Pomorzu. Wydawnictwa ZK-P można również kupić u kolporterów terenowych w następujących miejscowościach:

83-335 BORZESTOWO – Teresa Polejowska
 89-632 BRUSY, Rynek 7 – Jan Szopiński
 85-027 BYDGOSZCZ, Jagiellońska 68/9 – Jadwiga Mazurkiewicz; ul. Sułkowskiego 17/12 – Kazimierz Radtke
 77-100 BYTÓW, ul. Armii Ludowej 18/20 – Janusz Kopydłowski
 83-333 CHMIELNO, kawiarnia „U Czorlińskiego” – Irena Maszk
 89-600 CHOJNICE, Oddz. ZK-P z siedzibą w Bramie Człuchowskiej, ul. 31 Stycznia – Urszula Gawin
 89-650 CZERSK, ul. Dworcowa 12/20 – Irena Borzyszkowska
 89-653 KARSIN – Krystyna Szulc-Wanta
 80-330 KARTUZY, Muzeum Kaszubskie, ul. Ludowego Wojska Polskiego – Barbara Wieczorek
 84-300 LĘBORK, ul. Mariana Buczka 5/4 – Bernard Berlik; ul. Krzywoustego 2/2 – Henryk Pawelczyk

83-132 MORZESZCZYN, ul. Dworcowa 9/4 – Jan Wespa
 83-130 PELPLIN, Plac Mariacki 7 – Jan Ropel
 83-304 PRZODKOWO – Małgorzata Deyk
 84-100 PUCK, Oddz. ZK-P, ul. Gdańska 1 – Otylia Grabowska
 83-200 STAROGARD GD., ul. Hermanów 3 – Melania Domjan; ul. Krasickiego 4/35 – Bernard Janowicz
 83-110 TCZEW, Biblioteka Publiczna, ul. Kościuszki – Grażyna Żeśko
 WDZYDZE KISZEWSKIE – 83-406 Wąglikowice Józef Wiśniewski
 84-200 WEJHEROWO, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, ul. Sobieskiego – Edmund Kamiński
 89-654 WIELE, ul. Derdowskiego 20 – Edmund Konkolewski
 50-206 WROCŁAW, ul. Cybulskiego 8/1 – Jerzy Czarnobaj

WYDAWNICTWA ZRZESZENIA KASZUBSKO-POMORSKIEGO

BIOGRAFIE, MONOGRAFIE, OPRACOWANIA

Lech Bądkowski, Wawrzyniec Samp: POCZET KSIĄŻĄT POMORZA GDAŃSKIEGO (45 zł)
 Tadeusz Bolduan: APOSTOŁ NARODOWEJ SPRAWY (Antoni Abraham, 15 zł)
 Tadeusz Bolduan: GRYF – GODŁO POMORZA (10 zł)
 Tadeusz Bolduan: ZAPIS MŚCIWOJA II (komunikat bibliograficzny, 3 zł)
 Bolesław Bork: NAD SLEŻĄ. Zarys walk Kaszubów lesockich (40 zł)
 Krystyna i Konrad Ciechanowscy: Tajna Działalność kulturalno-oświatowa na Pomorzu w latach 1939–1945 (25 zł)
 Wojciech Kiedrowski: SŁOWNIK BERNARDA SYCHTY (wybór recenzji, 30 zł)
 Kazimierz Ostrowski: PIEŚNIARZ Z ZIEMI JEZIOR (Wincenty Rogala, 35 zł)
 Kazimierz Ostrowski: Z KASZUBSKIEJ GLEBY (o Janie Karnowskim, 14 zł)
 Franciszek Pabich: PAPIERNIE NAD ZATOKĄ GDAŃSKĄ (80 zł)
 Stanisław Pestka: EMISARIUSZ NIEPODLEGŁOŚCI (Józef Wybicki, 14 zł)

Stanisław Pestka: STAN I PERSPEKTYWY PAMIĘTNIKARSTWA (ref. wygłoszony na Zjeździe Twórców Literatury Kaszubskiej, 10 zł)
 Leon Roppel: ZWYCIĘSTWO PIEŚNI (o Lubomirze Szopińskim, 20 zł)
 Tadeusz Sadkowski, Krzysztof Szarejko: CHATA ZA MIASTEM NA KASZUBACH I KOCIEWIU (o ludowej architekturze wiejskiej, 45 zł)

POEZJA

Arkadiusz Bór: WIELE SERCU BLISKIE (25 zł)
 Hieronim Derdowski: O PANU CZORLIŃSCIM CO DO PUCKA PO SECE JACHOŁ (25 zł)
 Franciszek Fenikowski: KAMIENNE KRĘGI (20 zł)
 Franciszek Fenikowski: NA POCZĄTKU BYŁO OKSYWIE (30 zł)
 Andrzej Grzyb: SKRAJEM LASÓW (14 zł)
 Leon Heyke: KASZEBSCZIE SPIEWÉ (30 zł)
 Jan Karnowski: WIERSZE PIERWOTNE (50 zł)
 Alojzy Nagel: ASTRÉ (27 zł)
 Jerzy Samp: CYROGRAFY (25 zł)
 Jan Trepczyk: ODECKNIENIÉ (45 zł)
 Jan Zbrzyca: POŁUDNICA (30 zł)

GADKI I FELIETONY

Konstanty Bączkowski: GAWAŃDY KOCIEWSKIE
KUBI Z PIŃCZINA (20 zł)

Józef Bruski: GADKI JÓZEFA BRUSKIEGO (6 zł)

Aleksander Labuda: KUKUK (20 zł)

**POWIEŚCI, OPOWIADANIA,
SZTUKI SCENICZNE**

Lech Bądkowski: LEGENDA O PUSTELNIKU (18
zł)

Jan Drzeżdżon: W NIEDZELNI WIECZÓR (opow.,
14 zł)

Bolesław Fac: ZAKONNICA DLA KSIĘCIA (sztu-
ka, 30 zł)

Anna Łajming: GDZIE JEST BALBINA (sztuka, 13
zł)

Anna Łajming: SYMBOL SZCZĘŚCIA (opow., 20
zł)

Aleksander Majkowski: POMORZANIE (pow. 25
zł)

Aleksander Majkowski: ŻECÉ I PRZIGODÉ RE-
MUSA (pow.), dzel pierszi (25 zł), dzel drugi
(25 zł), dzel trzeci (25 zł)

Aleksander Majkowski: STRACHÉ I ZRĘKOWJINÉ
(sztuka, 20 zł)

WSPOMNIENIA, PAMIĘTNIKI

Hieronim Gołębiewski: OBRAZKI RYBACKIE (25
zł)

Jan Mazurkiewicz: LOS ŻOŁNIERZA (30 zł)

Juliusz Pobłocki: NA KASZUBACH PRZED 100
LATY (20 zł)

Feliks Rogaczewski: WŚRÓD SŁOWIŃCÓW (30
zł)

BAŚNIE I BAJKI

Józef Ceynowa: SKARB I MOC (20 zł)

Bernard Janowicz: BAJKI KOCIEWSKIE (20 zł)

Alojzy Nagel: NENKA RODA I JI DZOTCZI (20
zł)

PIEŚNI

Henryk Jabłoński: GROMICZNIK (25 zł)

Władysław Kirstein, Leon Roppel: PIEŚNI Z KA-
SZUB (20 zł)

Jan Trepczyk, Juliusz Mowiński: RÓDNO ZEMIA
(25 zł)

PRASA

GRYF (jednodniówka, 5 zł)

POMERANIA (roczniki opracione) 1973 (155 zł);
1974 (180 zł); 1975 (220 zł); 1976 (220 zł);
1977 (220 zł); 1978 (220 zł) oraz pojedyncze
numery z lat 1968–1979

BAZUNY (biuletyn Oddziału Chojnickiego ZK-P
za rok 1978, 20 zł)

TEKI HAFTU KASZUBSKIEGO I KOCIEWSKIEGO

HAFT CZEPCOWY (wyd. II, 60 zł)

WZORY HAFTU KOCIEWSKIEGO (80 zł)

WZORY HAFTU WEJHEROWSKIEGO (wyd. II,
80 zł)

WYDAWNICTWA WOJEWÓDZKIEGO OŚRODKA KULTURY W GDAŃSKU I INNE

Władysław Bukowiecki: PIEŚNI KASZUB (10 zł)
Stanisław Dziadoń: GAZETA GDAŃSKA (mono-
grafia, 15 zł)

Franciszek Fenikowski, Wanda Dubanowicz:
GDAŃSKIE KURANTY (pieśni, 16 zł)

Władysław Kirstein: PIEŚNI Z KOCIEWIA (30 zł)

Jan Kolasiński: TAŃCE KASZUBSKIE (8 zł)

Anna Łajming: SZCZESCE (sztuka, 9 zł)

Leon Łukaszewski: PIEŚNI Z KASZUB (8 zł)

Zofia, Zenon Mojscy, Kazimierz Podolski: DZIE-
RZGONĲ (monografia, 15 zł)

Pietów Tóna: ORZECHE DO UCECHE ABO POŁ
TÉSACA KASZĘBSKICH ZAGÓDK (5 zł)

Zygfryd Prószyński: ZIEMIA PUCKA W OPOWIA-
DANIU, BAŚNI I ANEGDOCIE LUDOWEJ (30
zł)

Leon Roppel: Z KSIĘGI MĄDROŚCI MORZAN
(12 zł)

Paweł Szeffa: GWIŹDZE (widowisko, 7 zł)

Paweł Szeffa: SOBÓTKA (widowisko, 7 zł)

Paweł Szeffa: TAŃCE KASZUBSKIE (zeszyt 1, 30
zł, zeszyt 2, 20 zł, zeszyt 3, 20 zł)

Tadeusz Tylewski: 10 PIEŚNI Z KASZUB (8 zł)

Jan Michał Wieczorek: 5 PIEŚNI Z KASZUB (10
zł)

Adolf Wiktorski: 12 PIEŚNI Z KASZUB (12 zł)

OSKAR KOLBERG NA POMORZU (materiały z
sesji, 35 zł)

WSPÓŁCZESNA SZTUKA LUDOWA KASZUB
(folder, 8 zł)